

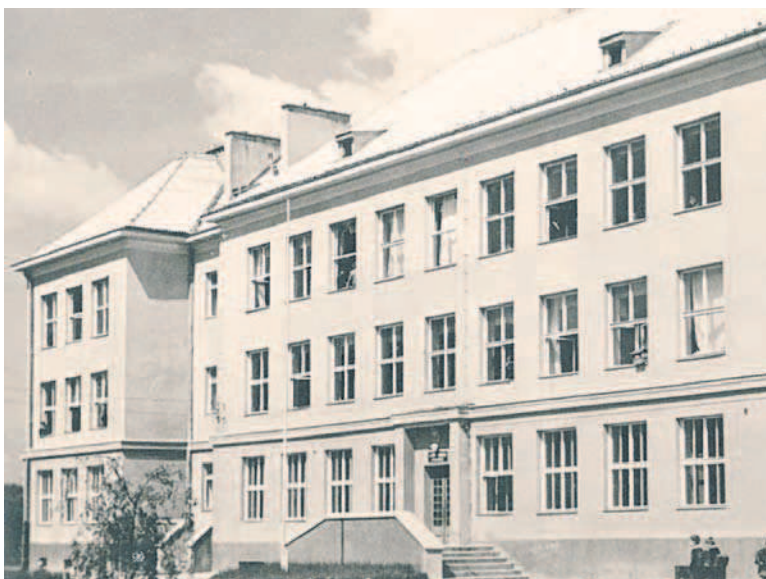
Mieszkańcy wspominają

3

Małgorzata Kawka-Piotrowska



Łapmy stare Piaseczno



Mieszkańcy wspominają

część 3

Małgorzata Kawka-Piotrowska

Wydawca:

Urząd Miasta i Gminy Piaseczno
ul. Kościuszki 5
05-500 Piaseczno
tel. 22 70 17 650
ISBN 978-83-951312-1-9
Piaseczno 2018

Projekt okładki:

Tomasz Pawlak

Skład:

Tomasz Pawlak

Konsultacje i dobór zdjęć oraz przypisy redakcyjne:

Małgorzata Szturomska, Stanisław Hofman

Korekta:

Małgorzata Idaczek

Zdjęcia:

Jacek Mrówczyński, Małgorzata Szturomska, Małgorzata Kawka-Piotrowska,
archiwum Muzeum Regionalnego, archiwa rodzinne

Przypisy:

Małgorzata Kawka-Piotrowska

Spis treści:

Wstęp	5
Jacek Andrzejewski <i>Opowieść o moich rodzicach</i>	7
Aleksandra i Andrzej Fuskowie <i>Opowieść o życiu wuefisty w liceum przy Chyliczkowskiej</i>	17
Zofia Granosik <i>Opowieść o Reytanach i ulicy Mickiewicza</i>	29
Andrzej Koprowski i Piotr Obłóza <i>Opowieść o żaglach i harcerskim granatowym mundurze</i>	41
Anna Morawska-Ryll <i>Opowieść o Marii i Konstantym</i>	55
Grażyna Natowska <i>Opowieść o skromnych, wielkich ludziach</i>	63
Jadwiga Samek <i>Opowieść o piaseczyńskiej akuszerce</i>	73
Janina Samojlik <i>Opowieść o domu rodzinnym</i>	87
Grażyna Sierańska <i>Opowieść o ludziach z mojej ulicy</i>	105
Elżbieta i Tadeusz Trzeciakowie <i>Opowieść o życiu z pasją</i>	117
Grzegorz Zieliński <i>Opowieść o pięciu pokoleniach z ulicy Sienkiewicza</i>	133

Słowo wstępne

Po raz trzeci pisarka Małgorzata Kawka – Piotrowska zdecydowała się przeprowadzić wywiady z osobami ważnymi dla historii miasta Piaseczna. Ciszące się dużą popularnością wśród mieszkańców Piaseczna opowieści o losach rodzin, których los związał na kilka pokoleń z podwarszawskim miastem, są fascynujące jak najciekawsza powieść. Tajemnica powodzenia książek tkwi w tym, że są tu opisane historie prawdziwe, wszystkie przedstawione zdarzenia naprawdę wydarzyły się i są częścią historii piaseczyńskich rodzin i miejsc. Książka ma wartość dokumentacyjną, jest źródłem wiarygodnej informacji o tym, co wydarzyło się w różnych okresach dziejów miasta. Jednocześnie trzeba tu koniecznie stwierdzić, że każdy z opowiadających swoje losy i losy swojej rodziny, czy historię szkoły, patrzy na wydarzenia subiektywnie i może się zdarzyć, że Czytelnik zakrzyknie – To nie tak było! To nie w tym miejscu był ten sklep, czy restauracja. Książka ta zdecydowanie porwie naszą wyobraźnię w odległą przeszłość.

Opowieści fascynują tych, którym bliskie są opisane tu miejsca, ale też ciekawi są tych opowieści nowi mieszkańcy, którzy od niedawna zamieszkali w Piasecznie. Książka budzi też zainteresowanie wśród osób nie związanych z miastem, a lubiących sagi rodzinne. Dlaczego? Bo dla tych, którzy lubią książki historyczne i biograficzne, ta pozycja literacka jest ważna, dająca większe spektrum wiedzy o stylu życia i pracy zawodowej człowieka wciągniętego w wir dziejów Polski.

Sukces wydawniczy dwóch pierwszych książek i doping Czytelników domagających się dalszych historii o Piasecznie był zachętą dla Autorki i Wydawcy do wznowienia poszukiwań osób mogących i chcących opowiedzieć o swojej rodzinie, pracy i mieście. W tej części książki Czytelnik odnajdzie przede wszystkim wspomnienia nauczycieli uczących w placówkach oświatowych miasta. Książka stanowi 11 opowieści, w których Czytelnik przeczyta wspomnienia nauczycieli o pracy z młodzieżą, organizacji pracy w powstających szkołach, ale też jest tu przekaz uczniów o wychowawcach, którzy mieli duży wpływ na ich dalsze życie i pielęgnowanie wartości, jakie im zostały przekazane przez wychowawców. Teksty Małgorzaty Kawki – Piotrowskiej czyta się z zapartym tchem i muszę uprzedzić, że trudno jest odłożyć książkę, gdy się już zaczęło ją czytać.

Bardzo ważną jest tu strona artystyczna publikacji. Dobrane do tekstu zdjęcia są niezwykle interesujące, w większości publikowane po raz pierwszy, często bardzo osobiste dla osób, które dały je do oglądania Czytelnikowi. Fotografie pokazują, jak na przestrzeni wielu dekad zmieniał się miasto, i jak wyglądali bohaterowie opowieści. Dzięki tym ilustracjom i tekstom bohaterowie opowieści mają ogromną szansę na przetrwanie w pamięci ludzi, a to było główną ideą tej publikacji.

Zachęcając do czytania:

Małgorzata Szturomska

Wspomina Jacek Andrzejewski

Opowieść o moich rodzicach

Moi rodzice, Janina i Roman Andrzejewscy, byli nauczycielami związanymi z piaseczyńskim szkolnictwem od czasów przedwojennych. Mama pochodziła z Jasieńca, tata z Promnej. Oboje skończyli seminaria nauczycielskie. Mama żeńskie seminarium w Warszawie, tata – męskie w Mogielnicy, po którym odbywał służbę wojskową w szkole oficerskiej. Wiem, że mama jako młoda dziewczyna była wysportowana - jeździła na nartach, pływała, chodziła po górach.

Janina Andrzejewska jako młoda nauczycielka,
koniec lat trzydziestych XX w.

Fot. z archiwum Jacka Andrzejewskiego



Pierwszą posadę mama otrzymała w szkole w Goszczynie, potem nauczała w Grójcu, następnie w 1936 roku decyzją władz oświatowych została skierowana do Piaseczna. Kierownikiem piaseczyńskiej szkoły podstawowej był wtedy pan Józef Reszczyk. Mama wynajmowała pokój w jednym z domów przy ulicy Czajewicza. W szkole uczyła języka polskiego, organizowała obozy wakacyjne dla dziewcząt. Zapewne dała się poznać jako dobra nauczycielka, bo szybko dostała w szkole etat państwowy, co było wówczas awansem społecznym.

Janina Andrzejewska, Piaseczno,
ul. Kopernika 18, lata pięćdziesiąte XX w.
Fot. z archiwum Jacka Andrzejewskiego



Rodzice pobrali się w 1938 roku, ślub odbył się w kościele w Jasieńcu. Po ślubie tata przyjechał do Piaseczna i rodzice wynajęli mieszkanie u państwa Bobrowskich przy ulicy Kopernika 18¹. Mama jako nauczycielka zarabiała sto sześćdziesiąt złotych a komorne wynosiło siedemdziesiąt.



Janina i Roman Andrzejewscy, rok 1938
Fot. z archiwum Jacka Andrzejewskiego

Budynek był piętrowy, murowany, bez kanalizacji, ogrzewany piecami. Mieszkaliśmy tam do lat pięćdziesiątych. Z czasów mojego dzieciństwa pamiętam, że naszymi sąsiadami byli państwo Życińscy, państwo Stefańscy, którzy mieli dwóch synów: Henryka i Lolka, byli państwo Grobelscy - pan Grobelski był kolejarzem, jego żona jako akuszerka pracowała w piaseczyńskim szpitalu.

¹ Obecnie ul. Wojska Polskiego, dom nie istnieje - red.

Na piętrze mieszkała pani Jadwiga Broniszowa z synem Dzikim, który z moją siostrą, Grażyną, chodził do *Platerówki*. Po drugiej stronie ulicy Sienkiewicza, obok kina, stał dom, w którym mieszkali moi koledzy Wojtek Poncyliusz i Jacek Nader. Dom należał do państwa Poncyliuszów, przed wojną mieli w nim restaurację.

Roman Andrzejewski, lata trzydzieste XX w.
Fot. z archiwum Jacka Andrzejewskiego



W pamięci zachowałem również wiele osób mieszkających przy ulicach położonych nieopodal naszego domu. Na rogu ulic Świętojańskiej i Krótkiej mieszkała pani Wojciechowska z dwójką dzieci - Ewą i Stasiem. Jej mąż, Edmund², syn przedwojennego prezydenta Polski, Stanisława Wojciechowskiego³, zmarł w obozie koncentracyjnym w Auschwitz⁴. Przy ulicy Kniaziewiczza mieszkali państwo Wagnerowie. Pan Antoni Wagner, przedwojenny oficer w stopniu kapitana, w czasie wojny był zaangażowany w działalność Armii Krajowej, jego żona była nauczycielką, pracowała z moją mamą i przyjaźniły się. Przy tej samej ulicy, w oficynie nieistniejącego dziś domu państwa Bobrowskich, mieszkali państwo Mitkiewiczowie, oboje byli nauczycielami. Przy Mickiewicza, w domu z werandą, mieszkała spokrewniona z Wojciechowskim pani, która udzielała lekcji francuskiego. Pamiętam, że jako małe dziecko, odprowadzałem siostrę na te lekcje. Bawiąc się na werandzie zapamiętywałem różne słówka i zwroty podpowiadając je czasem Grażynie. Przy ulicy Mickiewicza do dziś mieszka mój kolega Jurek Rowiński. Jest dziennikarzem muzycznym, pracuje w radio RDC⁵, prowadzi tam program *Filharmonia Radia dla Ciebie*.

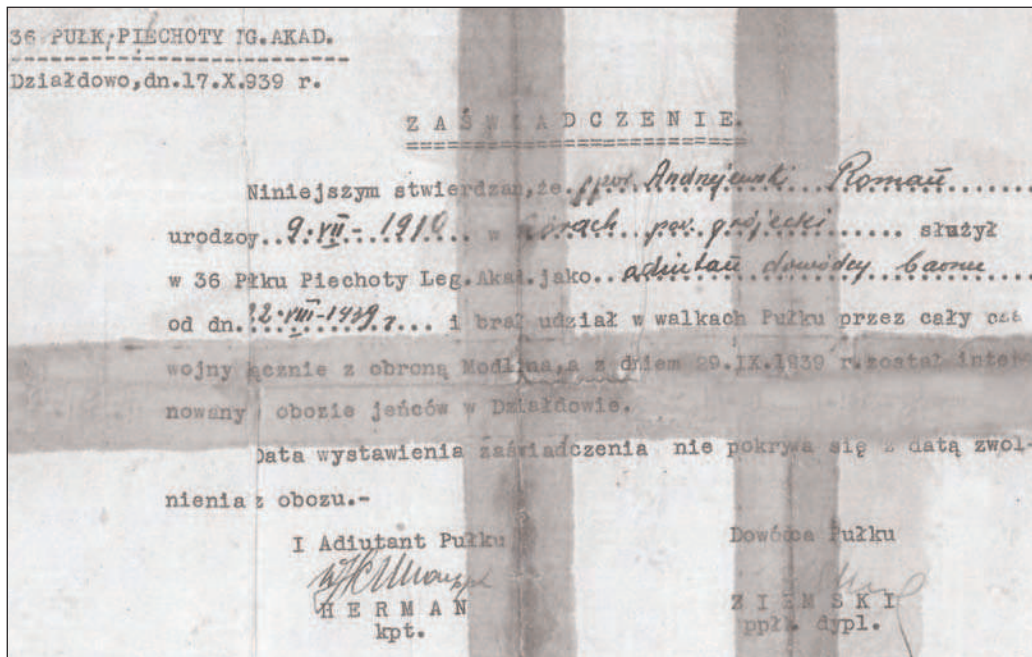
Z opowieści mamy wiem, że przy ulicy Czajewicza w domu stojącym za willą zwaną Zameczkiem mieszkała pani Emilia Zgirska, siostra znanej w Piasecznie lekarki Zgirskiej-Bagieńskiej. Pani Emilia uczyła przed wojną muzyki.

² Edmund Wojciechowski (1903-1941) - adwokat, aresztowany w 1940 roku przez Niemców, był jednym z adwokatów odmawiających zgody na wykreślenie z listy adwokatów osób pochodzenia żydowskiego, źródło: <https://histmag.org>

³ Stanisław Wojciechowski (1869- 1953) – działacz Polskiej Partii Socjalistycznej, twórca polskiego ruchu spółdzielczego, prezydent II Rzeczypospolitej w latach 1922 – 1926, w czasie okupacji niemieckiej i Powstania Warszawskiego mieszkał w Warszawie, odmówił podpisania oświadczenia o nielegalności polskiego rządu na uchodźstwie, czego zażądali Niemcy w zamian za zwolnienie aresztowanego syna Edmunda, źródło: <https://dzieje.pl>, <https://histmag.org>

⁴ Obóz koncentracyjny Auschwitz (1940-1945): utworzony na przedmieściach Oświęcimia największy z czterech niemieckich obozów koncentracyjnych założonych na okupowanych ziemiach polskich, (pozostałe: Majdanek, Płaszów, Warszawa), źródło: www.auschitz.org

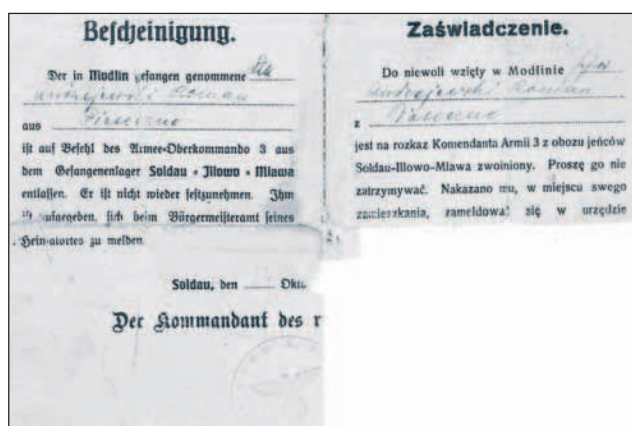
⁵ Polskie Radio RDC (Radio dla Ciebie) – regionalna rozgłośnia radiowa nadająca na terenie Warszawy i Mazowsza, istnieje od 1994 roku, źródło: www.rdc.pl



Zaświadczenie potwierdzające udział ppor. Romana Andrzejewskiego w walkach o twierdzę Modlin oraz jego internowanie do niemieckiego obozu jeńców w Działdowie, 17.09.1939 r.
z archiwum Jacka Andrzejewskiego

We wrześniu 1939 roku ojciec został zmobilizowany do wojska. Walczył w obronie Modlina w forcie Pomiechówek nr 3⁶, wrócił do domu po kapitulacji twierdzy. W czasie wojny oboje rodzice byli zaangażowani w konspirację. Ojciec, tak jak wielu jego kolegów, działał w Armii Krajowej. Mama prowadziła tajne nauczanie. Ktoś oskarżył ją o to do władz niemieckich i była wzywana na posterunek żandarmerii. Poszła tam z moją malutką siostrą na rękę i jakoś udało jej się wybronić przed aresztowaniem. Nie wszyscy mieli jednak tyle szczęścia.

Zaświadczenie potwierdzające
zwolnienie Romana
Andrzejewskiego z obozu
jeńckiego wraz z nakazem
zameldowania się w niemieckim
urzędzie po przybyciu do miejsca
zameldowania, 1939 r.
z archiwum Jacka
Andrzejewskiego



⁶ Fort III Pomiechówek – jeden z fortów Twierdzy Modlin, obrona trwała od 14 do 29 września 1939 r., w czasie walk Niemcy posłużyli się mieszkańcami Pomiechówka tworząc z nich żywą tarczę dla swoich żołnierzy, źródło: www.forttrzepomiechowek.org

Pani Iza Umecka, która mieszkała przy ulicy Kniaziewicza, też działała w AK. Rodzice opowiadali, że w dziecięcym wózekku przewoziła broń ukrytą pod pościelą, na którym leżał jej mały synek, Krzyś. Ktoś panią Izę wydał. Po aresztowaniu trafiła na Pawiak, skąd bezskutecznie próbowano ją wykupić. Z Pawiaka wywieziono panią Izę do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück⁷. Przeżyła obóz i wróciła po wojnie do Piaseczna. Mój ojciec mówił o niej: prawdziwa bohaterka.

Spośród znajomych moich rodziców zginął pan Wojciechowski. Państwo Wojciechowscy mieszkali przy ulicy Zagrodowej, on był przedwojennym oficerem, ona nauczycielką, pracowała razem z moją mamą w szkole podstawowej przy Świętojańskiej. Pana Wojciechowskiego Niemcy rozstrzelali przed jego domem, na oczach żony i dwóch synów. W Powstaniu Warszawskim zginął mieszkający przy ulicy Rejtana Jacek Nowakowski, przedwojenny oficer Wojska Polskiego, działał w AK, używał pseudonimu Jacek Nowicki.

Ofiar wśród mieszkańców Piaseczna było dużo więcej, ale o wymienionych przeze mnie osobach opowiadali mi rodzice.



Janina Andrzejewska z grupą uczniów, Piaseczno, szkoła podstawowa przy ul. Chyliczkowskiej, lata 50/60. XX w.
Fot. z archiwum Jacka Andrzejewskiego

Po wyzwoleniu Piaseczna w kinie *Mewa* odbyła się uroczysta akademicka, którą współorganizowali piaseczyńscy nauczyciele. Chociaż moja siostra miała wtedy tylko pięć lat, zagrała podczas uroczystości na pianinie. Nasi rodzice doceniali rolę muzyki w rozwoju dziecka, tym bardziej, że sami byli muzykalni, mama ładnie śpiewała, ojciec grał na skrzypcach, na akordeonie. Oboje z siostrą nauczyliśmy się gry na fortepianie. Instrument kupiła mama w czasie okupacji od pani,

⁷ Obóz koncentracyjny Ravensbrück (1939- 1945), największy obóz koncentracyjny powstały na terenach niemieckich, źródło: www.ravensbruck.pl

która pracowała w ambasadzie francuskiej i mieszkała w Piasecznie przy ulicy Rejtana. Pamiętkowy fortepian stoi do dziś w domu mojej siostry. A umiejętność gry przydawała mi się w szkole, grałem na chyba wszystkich akademiach.

Zaraz po wojnie wznowiła działalność szkoła podstawowa przy ulicy Świętojańskiej. Obok szkoły stał stary, drewniany, duży budynek, w którym były mieszkania dla nauczycieli i przedszkole, do którego, jako trzylatka, zapisali mnie rodzice. Początkowo byłem bardzo nieszczerliwy z tego powodu. Uciekałem do szkoły i szukałem klasy, w której mama prowadziła lekcję, ale szybko polubiłem przedszkolne życie. Miałem bardzo miłą wychowawczynię, panią Wąsowską.

Szkołę podstawową zaczynałem przy Świętojańskiej. W 1957 lub 1958 roku kilka klas, w tym i moja, zostało przeniesionych do budynku szkoły przy Chyliczkowskiej. Razem z uczniami przeszli niektórzy nauczyciele, m. in. moja mama, pani Cieślakowa ucząca geografii, pani Kazimiera Kędzierska - nauczycielka śpiewu, która pięknie grała na skrzypcach.

W nowej szkole wychowawczynią mojej klasy była pani Stefaniak. Bardzo ją lubiliśmy. Często były organizowane autokarowe wyjazdy do Warszawy, jeździliśmy do teatru, najczęściej do Pałacu Kultury. Pani Stefaniak spokojnie i miło tłumaczyła, jak się zachować w teatrze. Taka nauka zostaje na całe życie. Co jakiś czas przyjeżdżał do szkoły operator filmowy, nazywany przez nas *panem kinowym*, i na sali gimnastycznej były wyświetlane filmy, co też było dla uczniów wydarzeniem i urozmaicheniem szkolnego życia.

Chyba w szóstej klasie wstąpiłem do harcerstwa, moją drużynę prowadził Andrzej Dudek, przybocznymi byli Leszek Marczak i Grzegorz Peczat. Obydwaj byli wtedy uczniami liceum. Chodziłem na zbiórki, ale nie wyjeżdżałem na obozy harcerskie. Wakacje spędzałem u rodziny w Jasieńcu, a kilka razy byłem z rodzicami na wczasach nauczycielskich nad morzem.

Po podstawówce zdałem egzamin do *Platerówki*, która była bardzo dobrą szkołą z patriotycznymi tradycjami. Uczyła mnie pani Jasiorowska, uczennica mojej mamy ze szkoły przy Świętojańskiej.

W czasie, gdy uczyłem się w liceum, wybudowano w Piasecznie Szkołę Podstawową nr 5 i mama przeszła tam do pracy. Dyrektorką szkoły była wtedy pani Zofia Żeglińska, żona wspańałego lekarza Stefana Żeglińskiego.

Gdy mama zaczynała pracę w *Piątce*, od dawna nie mieszkaliśmy już przy ulicy Kopernika.

W latach pięćdziesiątych założono w Piasecznie mieszkaniową spółdzielnię nauczycielską. Na wyznaczonym przez władze miasta terenie w obrębie obecnych ulic Orzeszkowej, Prusa i Żeromskiego, dawniej Gruzowej, zrzeszeni w spółdzielni nauczyciele, w tym i moi rodzice, budowali własnym sumptem domy jednorodzinne. To były małe budynki z trzema pokojami, holem i kuchnią. Z czasem rodzice rozbudowali parter domu, a po latach ja powiększyłem budynek o jedno piętro.

Na terenie osiedla zamieszkali m.in.: państwo Banasiakowie, państwo Syrkowie - pan Syrek był kierownikiem technikum rolniczego, państwo Bystroniowie, państwo Smoluchowscy - pan Smoluchowski uczył matematyki w technikum rolniczym, państwo Zgirszy.

Rodzice byli niezwykle oddani pracy nauczycielskiej, ale tata poświęcał jej o wiele więcej czasu niż mama. W drugiej połowie lat czterdziestych, dzięki staraniom mojego taty w budynku szkoły podstawowej przy Świętojańskiej powstała publiczna szkoła zawodowa dla pra-

cujących. Początkowo dyrektorem był pan Reszczyk, a w roku 1950 stanowisko to objął mój tata. Dwa lata później szkoła została przeniesiona na ulicę Zgoda 14 do budynku sióstr Pasternek.

Piaseczno, dom rodziny Andrzejewskich
przy ul. Orzeszkowej, lata 60/70. XX w.
Fot. z archiwum Jacka Andrzejewskiego



Pod koniec lat pięćdziesiątych szkoła miała przez pewien czas filię w Warce⁸. Filia miała swojego kierownika, ale tata sprawował nadzór nad nią. To był dla niego dodatkowy obowiązek, a pracy miał już i tak bardzo dużo.

Z chwilą, gdy został dyrektorem, z grupą takich jak on zapaleńców, zainicjował budowę szkoły zawodowej. Były prowadzone na ten cel zbiórki pieniężne wśród rodziców, ale najważniejsze było to, że wszyscy - nauczyciele, rodzice, uczniowie - angażowali się w prace budowlane. Tata też brał w nich bezpośredni udział. Pamiętam, jak na plac budowy przy ulicy Czajewicza w menażkach nosiłem mu przygotowany przez mamę obiad. Często odwiedzała nas wtedy pani Hanna Książkiewicz⁹, nauczycielka z Góry Kalwarii. Wspomagała tatę w tworzeniu szkoły dzieląc się swoim doświadczeniem, bo ona w Górze, tuż po wojnie, społecznie budowała od podstaw zawodową szkołę odzieżową.

Kierowana przez tatę szkoła cieszyła się dużym powodzeniem, wielu uczniów dojeżdżało kolejką z odległych miejscowości, nawet spod Grójca. Wiem, że dla uczniów spoza Piaseczna powstał internat, a dla tych, którzy dojeżdżali, tata przy współpracy z kierownictwem kolejki zorganizował na dworcu świetlicę.

⁸ Źródło: www.zspwarka.grojec.pl

⁹ Hanna Książkiewicz (1905 – 2007) – nauczycielka matematyki, mieszkanka Góry Kalwarii od 1945 roku, organizatorka szkoły zawodowej z działami m. in. krawieckim i tkactwa artystycznego, gastronomicznym i przetwórstwa owocowo-warzywnego oraz szkoły rolniczej, źródło: Małgorzata Kawka, *Pasja życia*, Gazeta Podwarszawska Nad Wisłą, czerwiec 2000

Tata był dyrektorem szkoły do 1963 roku. Nie należał do partii i po prostu wymuszono na nim rezygnację z pracy. Przeszedł do pracy w Zasadniczej Szkole Metalowej w Ursusie, gdzie uczył matematyki. Krótco tam pracował, a i tak zdążył zapisać się w ludzkiej pamięci. Do mojego zakładu pracy w Szwecji przyjechał kiedyś przedstawiciel handlowy pewnej polskiej firmy, pan Andrzej Florczak. Zobaczył moje nazwisko na plakietce i zapytał, czy mój ojciec był nauczycielem w szkole w Ursusie. Potwierdziłem, a on opowiedział mi swoją historię. Był uczniem tamtej szkoły. Jako młody chłopak zaczął mocno łobuzować, nie chciał się uczyć i jego matka poprosiła mojego ojca o interwencję. *Pana ojciec długo ze mną rozmawiał. Opowiadał o tym, jak służył w wojsku, o obro- nie Warszawy, o wojnie, o odpowiedzialności i honorze. Słuchałem i zazdrościłem jego dzieciom, że mają takiego ojca. Ta rozmowa miała na mnie bardzo dobry wpływ* – wspominał pan Florczak.

Moi rodzice, jak już mówiłem, byli bardzo oddani swojej pracy i chociaż jestem z nich dumny, to wiem, że w tamtych czasach takich nauczycieli było w Piasecznie wielu. W szkole na Święto- jańskiej pracowali: polonistka pani Zofia Wróblewska, pan Pyczek, który uczył historii, państwo Jadwiga i Romuald Veidt. Pan Veidt miał niemieckie pochodzenie, ale czuł się Polakiem. W czasie wojny nie podpisał folkslisty¹⁰, chociaż zrobił to jego ojciec.

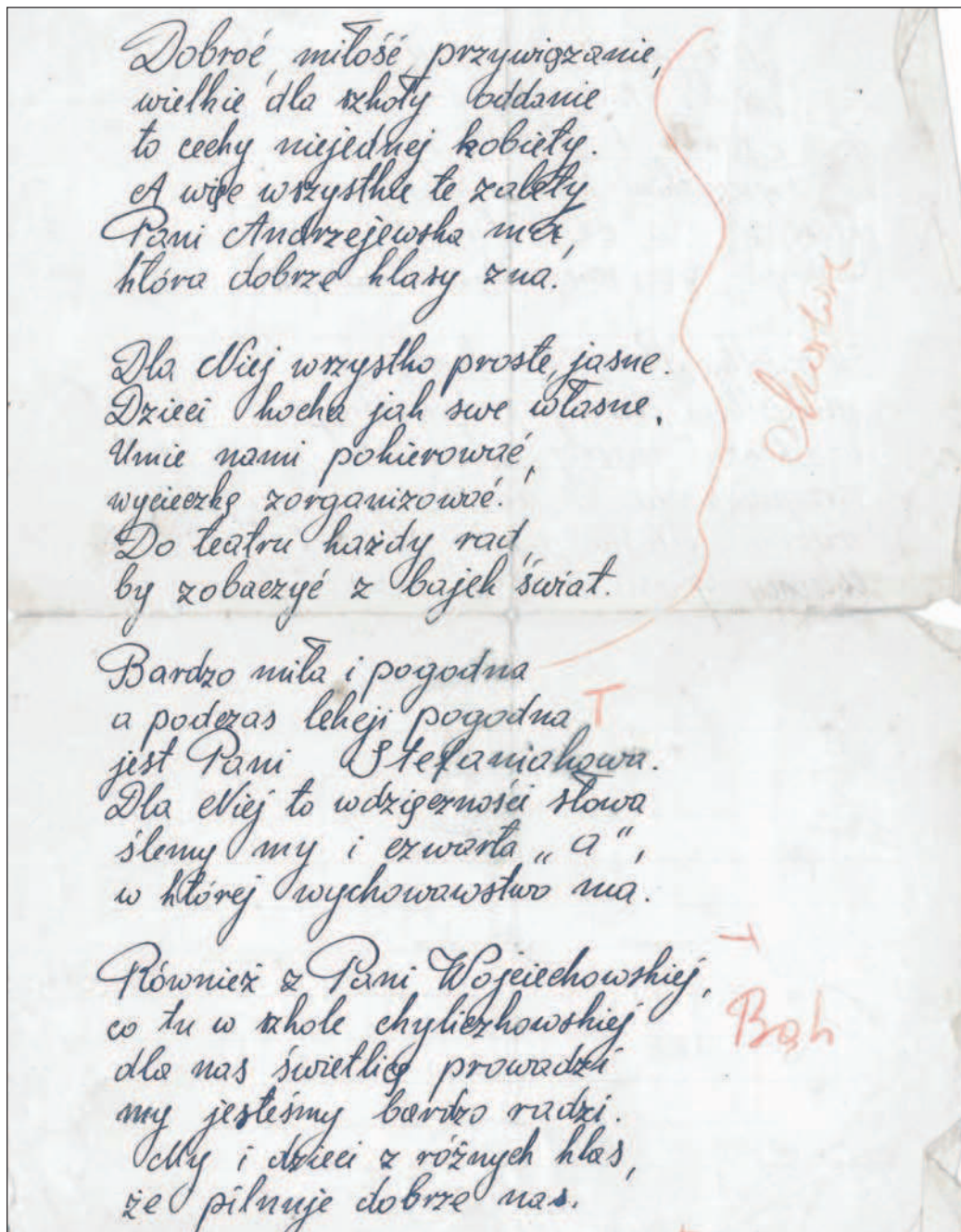


Janina Andrzejewska z uczniami podczas zabawy szkolnej, Piaseczno, szkoła podstawowa przy ul. Chyliczkowskiej, lata siedemdziesiąte XX w. Fot. z archiwum Jacka Andrzejewskiego

Mój tata bardzo cenił też nauczycieli pracujących w kierowanej przez niego szkole. Zajęcia z przedmiotów zawodowych prowadzili pan Jerzy Kaczyński, pan Edmund Skrzyszewski, pan

¹⁰ folkslista (volkslista): w czasie II wojny światowej lista obywateli pochodzenia niemieckiego w okupowanym przez Niemców kraju, którzy zadeklarowali przynależność do narodowości niemieckiej; tzw. podpisanie folkslisty wiązało się z obowiązkowym wypełnieniem wysyłanej imiennie ankiety, po jej dostarczeniu władzom niemieckim urzędnik przydzielał ankietowane osoby do jednej z czterech grup folkslist, odmowa wypełnienia ankiety mogła doprowadzić do wysłania całej rodziny do obozu koncentracyjnego, źródło: <https://nowahistoria.interia.pl>, <https://pl.wikipedia.org>

Kłosiewicz, pan Wielgus, który uczył kowalstwa. Wspaniałe grono nauczycielskie było w Plate-
rówce. Na pewno dobrzy nauczyciele pracowali też w piaseczyńskim liceum. Trudno wymienić
wszystkich z imienia i nazwiska, chociaż każdy na wspomnienie zasługuje. Takie było przedwojenne
pokolenie moich rodziców: patriotyczne, pełne entuzjazmu, oddania i poświęcenia dla pracy.



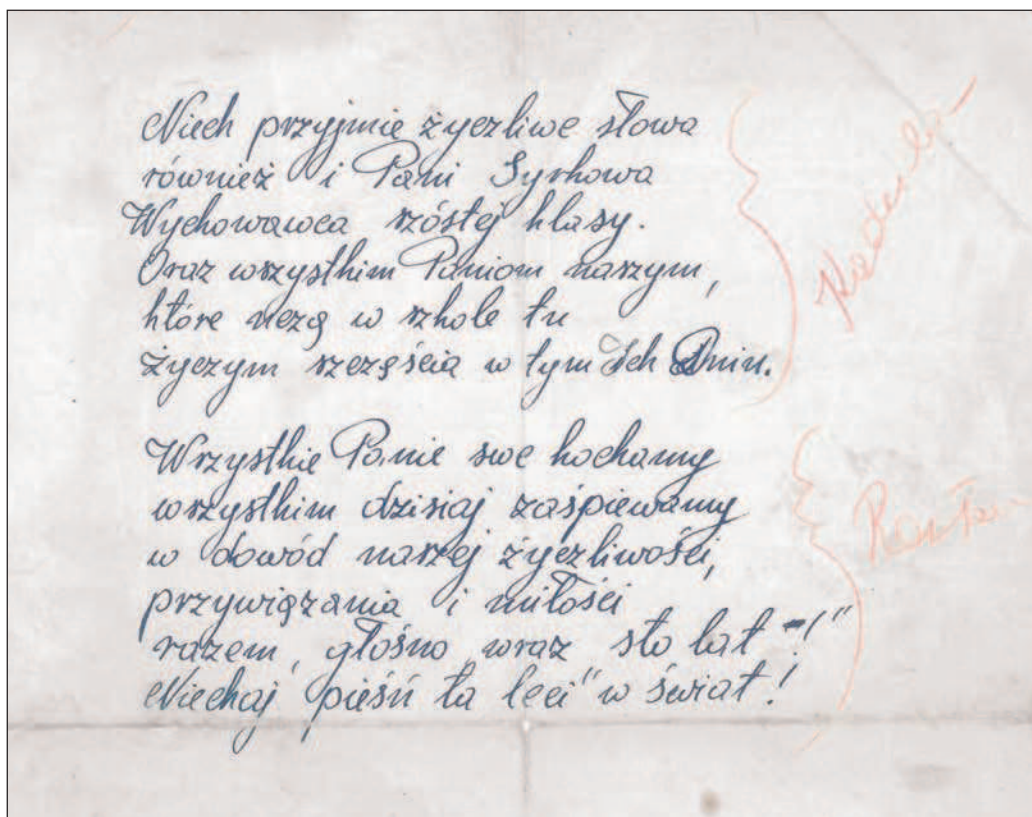
Dobroć, miłość, przywiązanie,
wielkie dla szkoły oddanie
to cechy niezłej kobiety.
A więc wrzysła te słowa
Pani Andrzejowska młoda,
która dobrze klary ma.

Dla ciej wrzysła proste, jasne.
Dzieci swoje jak swe własne,
Umie nam pokierować,
wyieczkę zorganizować.
Do teatru bardzo rad
by zobaczyć z bajek świat.

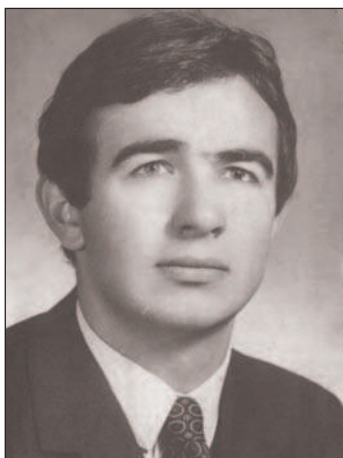
Bardzo miła i pogodna
a podczas lekcji pogodna
jest Pani Stefaniakowa.
Dla ciej to wdzierność słowa
słomy my i exwanta "a",
w której wychowawstwo ma.

Również z Pani Wojciechowskiej,
co tu w szkole chylickowskiej
dla nas świetnie prowadzi
my jesteśmy bardzo radzi.
Jedną i dzieci z różnych klas,
że pilnuje dobrze nas.

Wiersz z okazji Dnia Nauczyciela recytowany przez uczniów szkoły podstawowej przy ul. Chylickowskiej w czasie
akademii szkolnej, lata siedemdziesiąte XX w. z archiwum Jacka Andrzejewskiego



Wiersz z okazji Dnia Nauczyciela recytowany przez uczniów szkoły podstawowej przy ul. Chyliczkowskiej w czasie akademii szkolnej, lata siedemdziesiąte XX w. z archiwum Jacka Andrzejewskiego



Jacek Andrzejewski

Fot. z archiwum Jacka Andrzejewskiego

Wspominają Aleksandra i Andrzej Fuskowie

Opowieść o życiu wuefisty w liceum przy Chylickowskiej



Aleksandra i Andrzej Fuskowie zdjęcie z 1962 roku w czasie balu maturalnego.

Fot. z archiwum Aleksandry i Andrzeja Fusków

Aleksandra pochodzi z Żywca. Andrzej mieszkał w Muszynie. Oboje studiowali na warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego. Ola ukończyła ją w roku 1961. Andrzej miał wtedy przed sobą jeszcze dwa lata nauki. Zanim zdał na AWF studiował na Politechnice Gliwickiej, bo zgodnie z tradycją rodzinną miał zostać inżynierem, jednak miłość do sportu okazała się silniejsza.

Oboje postanowili, że Ola podejmie pracę, a gdy Andrzej skończy studia, wróćą do Żywca.

O pracy w Warszawie Ola nawet nie pomyślała. Aby dostać w stolicy zatrudnienie, konieczny był warszawski meldunek, a ona była zameldowana w rodzinnym domu. Rozwiązaniem było znalezienie pracy w podwarszawskich miejscowościach. Tak się złożyło, że w tym czasie brakowało nauczyciela wychowania fizycznego w liceum w Piasecznie i Ola została do tej szkoły skierowana.

Prof. Andrzej Fusek (w środku)
z uczniami Pawłem Ludwickim
z lewej i Andrzejem Gołąbkim
z prawej, zdjęcie z ok. 1970 r.

Fot. Jacek Mrówczyński



Na spotkanie z dyrektorem szkoły, Tadeuszem Tokarskim, Ola z Andrzejem przyjechali z Warszawy autobusem, wysiedli na końcowym przystanku przy ulicy Puławskiej, weszli na rynek i postanowili czym prędzej z tego miasta uciekać.

- Ulica Kościuszki była smutna i biedna, dookoła rynku stały niskie, odrapane domki, kilka większych kamienic też nie było w lepszym stanie, na bruku leżało pełno słomy i śmieci, bo, jak się później dowiedzieliśmy, to był dzień targowy, wszędzie pusto i cicho, jakby tu nikogo nie było. Byłam przerażona, że przyjdzie mi w takim miejscu mieszkać i pracować – wspomina Aleksandra.



Zdjęcie do pierwszej legitymacji służbowej Aleksandry Fusek.

Fot. z archiwum Aleksandry i Andrzeja Fusków

W kiepskim nastroju doszli do szkoły i przeżyli miłe zaskoczenie.

- Zobaczyliśmy porządnie ogrodzony, piękny, nowy budynek, trawniki z przyszyżoną trawą, wierzbę przed szkołą, śliczne alpinarium¹ z oczkiem wodnym w miejscu, w którym dzisiaj jest parking – podejmuje opowieść Andrzej.

Podniesiona na duchu Ola zdecydowała, że jakoś przetrwa w Piasecznie te planowane dwa lata.

¹ Alpinarium – ogród skalny roślin wysokogórskich naśladujący warunkami siedliskowymi i składem gatunkowym górskie lub arktyczne układy roślinności, źródło: www.pan-ol.lublin.pl

Praca była, ale należało jeszcze gdzieś zamieszkać. Maria Wichrowska, sekretarka, powiedziała, że poprzedniczka Oli wynajmowała pokój w parterowym budynku stojącym na rogu ulic Kościuszki i Kościelnej. Poszli ten lokal obejrzeć.

- Do domu wchodziło się przez bramę od strony ulicy Kościelnej, a przy Kościuszki znajdował się sklepik, którego właścicielka, starsza pani, wynajmowała pokój. Gdy zobaczyła Andrzeja, od razu zastrzegła, że wizyty panów są zakazane, ale tym razem wyjątkowo wpuściła nas oboje. Weszliśmy i okazało się, że ze sklepu do mieszkania tej pani przechodziło się przez przeznaczony do wynajęcia pokój, że główne wejście było bezpośrednio z podwórka, a dla zachowania intymności lokatora, łóżko było zasłaniane zasłonką powieszoną na metalowym pałąku – opowiada Ola.

Nie zdecydowała się na to mieszkanie i wtedy z pomocą przyszedł pan Tokarski. W magazynku sprzętu sportowego przy sali gimnastycznej kazał przesunąć szafę z piłkami tak, aby za nią zmieściło się łóżko i powstał samodzielny lokal.

Ola nie była jedyną nauczycielką mieszkającą w szkole. Zapotrzebowanie na mieszkania było duże, a szkoła dysponowała jedynie dwoma służbowymi lokalami. W drugim skrzydle wejście znajdowało się od tyłu budynku, na parterze była stołówka i pomieszczenia szkolne, na pierwszym piętrze służbowe mieszkanie zajęte przez nauczyciela biologii pana Ojaka, a na piętrze drugim takie samo mieszkanie zajmowali państwo Kądzielowie. Pan Kądziele potrafił wszystko zrobić i wszystko naprawić, a przy tym miał wiele innych talentów. Gdy wylał lodowisko, co robił doskonale, wypożyczał łyżwy i jeździł z tak naturalną elegancją i gracją, że podziwiali go nauczyciele i uczniowie; pięknie śpiewał, a jego syn - też utalentowany muzycznie - został solistą w zespole *Mazowsze*².

Wycieczka w 1969 roku.
Od lewej prof. Andrzej Fusek,
prof. Elżbieta Trzeciak, n.n.,
uczenica Lucyna Blesznowska.
Fot. Jacek Mrówczyński



² Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca *Mazowsze* - jeden z największych na świecie zespołów artystycznych odwołujących się do tradycji narodowej muzyki ludowej, założony przez Tadeusza Sygietyńskiego i Mirę Zimińską-Sygietyńską w 1948 roku, siedziba w Otrębusach pod Warszawą, źródło: www.mazowsze.waw.pl

Obie służbówki były zajęte i nie zanosiło się, aby mieszkający w nich lokatorzy mieli się wyprowadzić. Dyrektor Tokarski starał się więc znaleźć dla bezdomnych nauczycieli choćby niewielki kąt w szkole. W sali ze sprzętem do pracowni fizycznej, także za szafą, mieszkali Elżbieta i Tadeusz Trzeciakowie, w gabinecie wicedyrektora mieszkała Helena Skubijowa, Ludwik Wyszyński - w bibliotece.

- W moim pokoju za szafą mieszkałam sama prawie cały rok szkolny. Andrzej mieszkał w tym czasie w akademiku. Miałam dwupalnikową maszynkę elektryczną, jedzenie szykowałam na parapecie i nieźle sobie radziłam. Najtrudniejsze były popołudnia, gdy na sali odbywały się zajęcia sportowe i naturalny w takiej sytuacji hałas nie pozwalał na odpoczynek - wspomina Ola.

Dwa miesiące przed końcem roku pan Zarzycki, wuefista, przeszedł do Szkoły Ruchu Drogowego MO w Iwicznej i dyrektor zaczął namawiać Andrzeja, żeby podjął pracę na ten czas, który został do wakacji. I Andrzej się zgodził.

Po kilku miesiącach funkcjonowania w magazynie ze sprzętem sportowym pojawiła się nadzieja na własny kąt. Dostali przydział na dwupokojowe mieszkanie w bloku na osiedlu przy ulicy Szkolnej. Jednak marzenia szybko się rozwiały. Tak się stało, że oni z dzieckiem mieszkali w jednym pokoju a w drugim pan Szymański, nauczyciel matematyki. Kuchnia i łazienka były wspólne. Mieli tak wspólnie mieszkać rok-dwa, skończyło się na siedmiu latach.

- To dlatego, że podpadłem partii³. Prowadziłem na sali trening z koszykówki z dziewczynami, a tu przyszedł jakiś partyjny ważniak. Kazał kończyć zajęcia, opuścić salę, bo on będzie dekorował ją na jutrzejszą uroczystość partyjną. Powiedziałem, że treningu nie przerwę, a on może przyjść rano, żeby przystroić salę i zrobiła się afera. Z komitetu partyjnego dzwonili z interwencją, oparło się o dyrektora, który jakoś załagodził sprawę, ale w partii pamiętali, a że wtedy partia miała głos decydujący we wszystkim, więc blokowali przydział mieszkania – opowiada Andrzej.

Mówiło się wtedy, że mieszkania się dostaje, ale one nie były darmowe. Trzeba było mieć zgromadzony obowiązkowy wkład finansowy, poza tym liczyło się - według oficjalnych zasad - zatrudnienie, dochody, warunki mieszkaniowe i czas oczekiwania na przydział. Życie pokazywało, że te zasady były pomijane i łamane. Ot, chociażby w przypadku Bogusława Miczy, który spełniał wszystkie wymogi, czekał w kolejce wiele lat, by w Dzień Nauczyciela dowiedzieć się, że został skreślony z listy i znalazł się na końcu kolejki.

W tym, że Fuskom jednak mieszkanie przydzielono, pomógł sukces drużyny koszykówki prowadzonej przez Andrzeja.

- Było przyjęcie w ratuszu i ówczesna burmistrz Piaseczna Czesława Mazurowa powiedziała, że rozslawiamy imię miasta, przynosimy mu chlubę i za te zasługi należy mi się mieszkanie – mówi Andrzej.

Mieszkanie miało 43 mkw., było z tzw. ciemną kuchnią, do tego zimne, bo na pierwszym piętrze nad klatką schodową a podłoga nie miała izolacji, ale nareszcie byli sami.

³ Polska Zjednoczona Partia Robotnicza – utworzona 1948 roku, masowa partia kierująca państwem i centralnie zarządzana gospodarką, kontrolująca wszystkie przejawy życia społecznego, podporządkowana radzieckiej partii komunistycznej, utraciła władzę po przegranych wyborach w 1989 roku, źródło: <https://encyklopedia.pwn.pl>

Aleksandra i Andrzej wprowadzili w szkole nowość: rozgrywki klasowe w siatkówkę, koszykówkę i piłkę ręczną. Każda klasa wystawiała dziesięcioosobową reprezentację, a pozostali przychodzili dopingować. Andrzej opowiada, jak to rozgrywki odbywały się po lekcjach, a mimo to młodzież przychodziła z transparentami, był gorący doping i wspaniała zabawa. - Na boisko wychodzili też nauczyciele. Włączała się Albina Minnikowa, matematyczka, starsza od nas pani, która świetnie radziła sobie na boisku, grał Bogdan Micza, Ludwik Wyszyński, Basia Górską, Tadeusz Bielecki. To, że grali razem z uczniami zjednywało im sympatię i szacunek młodzieży – dodaje Ola.



Wycieczka młodzieży z liceum, na pierwszym planie (leży) prof. Andrzej Fusek, w środku prof. Elżbieta Trzeciak, z lewej wychowawczyni klasy Elżbieta Kozak.

Fot. Jacek Mrówczyński

Fuskowie wprowadzili też w szkole zwyczaj, że w czasie dużej przerwy na sali gimnastycznej wydawali piłki i uczniowie mogli grać w kosza.

- Chłopcy już przed końcem lekcji byli gotowi do startu, żeby dostać piłkę – wspomina Andrzej.
- Niektórzy nauczyciele irytowali się, że uczniowie wpadali na ich lekcje w ostatniej chwili, ale uważaliśmy, że możliwość czynnego wypoczynku w czasie zajęć jest dla młodzieży czymś pozytywnym.

Nowatorskie były też reguły dotyczące obecności uczniów na lekcji i wystawianych ocen.

Obowiązywała zasada, że uczeń mógł dwa razy w ciągu półrocza opuścić zajęcia bez usprawiedliwienia. Najczęściej młodzież wykorzystywała tę możliwość, gdy lekcje odbywały się na szkolnym korytarzu. Każdy uczeń zaczynał półrocze z oceną bardzo dobrą i od niego zależało, jaka będzie końcowa, stopień był obniżany za brak stroju, za wagary z lekcji.

Powrót uczennic z zajęć wychowania fizycznego w obowiązujących strojach – biała koszulka i granatowe lub czarne spodenki, na zdjęciu Asia Arak i Lucyna Blesznowska, rok ok. 1970.

Fot. Jacek Mrówczyński



- Staraliśmy się nie oceniać uczniów według rygorystycznie narzucanych przez kuratorium norm. Swego czasu zostały wprowadzone sprawdziany, czyli we wrześniu uczniowie obowiązkowo biegali na różne dystanse, a narzucone normy nie uwzględniały różnic wynikających z budowy, z chorób, wydolności organizmu. Trudno było potem zachęcić ucznia do wysiłku fizycznego, skoro miał tak przykre doświadczenie na progu roku szkolnego – z głębokim przekonaniem mówi Ola.

Obojgu bardzo zależało, by młodzież polubiła sport. Wykazywali dużo zrozumienia dla tych, którym brakowało predyspozycji ruchowych, choć jednocześnie Andrzej potrafił szorstko powiedzieć komuś, że nie nadaje się do koszykówki, albo skrytykować czyjeś wybory sportowe. Czasem w ten sposób zniechęcił do sportu, ale byli uczniowie, którzy uparcie ćwiczyli chcąc udowodnić, że się mylił.

Od początku ich pracy bolączką było zaniedbane, piaszczyste boisko z dwiema samotnymi bramkami do piłki nożnej. Andrzej proponował swoim uczniom wspólne wykonanie bieżni i skoczni w dal. Pracowali po lekcjach, a mimo to chętnych nie brakowało, zrobili skocznię, bieżnię i zaczęli wyrównywać boisko.



Boisko szkolne. Obchody 600-lecia Piaseczna, dwie uczennice z klasy prof. Fuska w strojach pań królewskich trzymają księgę dziejów Piaseczna. Po lewej Małgosia Szturomska (Mochorow) i po prawej Dorota Gorecka. Jako Dziejopis Włodek Szymczak.

Fot. Jacek Mrówczyński

- Gdy dyrektor zobaczył, co robimy, zarządził dwa dni przerwy w zajęciach i chłopcy budowali boisko, on też włączył się do pracy i przy wylewaniu asfaltu, tzw. pseudotartanu⁴, wymierzał szlauchwągą⁵ poziom – opowiada Andrzej.

Młodym wuefistom bardzo zależało, by po lekcji wychowania fizycznego młodzież mogła się umyć. Problem polegał na tym, że natryski przy sali gimnastycznej były nieczynne z powodu braku ciepłej wody. Szkoła dostawała z gminy przydział węgla na piec kąpielowy, lecz dyrektor węgiel przeznaczał na ogrzewanie budynku, bo często z braku opału w klasach było chłodno. Ola i Andrzej długo walczyli o zmianę sytuacji. W końcu dyrektor zlecił poprowadzenie w natryskowni, na wysokości około metra nad podłogą rury z kilkoma kranami i wtedy uczniowie, co prawda w zimnej wodzie, ale przynajmniej ręce i twarz mogli umyć.

- Tak było do czasu oficjalnej wizyty w szkole w Płocku. Dyrektor zobaczył wtedy, że tam są natryski z ciepłą wodą, że młodzież korzysta z tego dobrodziejstwa i już w drodze powrotnej powiedział, że u nas w szkole też tak będzie. I było – opowiada Andrzej, a Ola dodaje - Dyrektor Tokarski robił wszystko, aby jego szkoła była najlepsza pod każdym względem. Bywał szorstki, autorytatywny, wprowadzał ostrą dyscyplinę, ale duszą i sercem był oddany pracy.

Dyrektor Tokarski nie lubił osób, które nie były sumienne w pracy, sam poświęcał się jej bez reszty i tego wymagał od innych. Był czas, że zlikwidował pokój nauczycielski, bo zobaczył, że po dzwonku na lekcje niektórzy nauczyciele kawę, czy herbatę dopijali, zamiast iść od razu do sali. Uczył matematyki i był bardzo wymagającym nauczycielem.

- Z grupy młodzieży zdającej do liceum wybierał uczniów zdolnych matematycznie i umieszczał ich w jednej klasie. Na przerwę świąteczną po sto zadań potrafił zadać, ale młodzież z jego klas zawsze zdawała egzaminy z matematyki na studia. Twierdził, że o poziomie nauczyciela świadczy to, jak jego uczniowie zdają na studia – mówi Ola.



Aleksandra Fusek i Bogusław Micza, rozdanie matur, 1978 r.
Fot. z archiwum Aleksandry i Andrzeja Fusków

⁴ Tartan- sztuczne tworzywo stosowane do wykładania nawierzchni stadionów sportowych, źródło: <https://sjp.pl>

⁵ Szlauchwaga - poziomica wodna stosowana w budownictwie składająca się z długiego, gumowego węża zakończonego dwoma szklanymi rurkami z podziałką, źródło: <https://pl.wikipedia.org>

Po egzaminach na studia, Maria Wichrowska jeździła w Warszawie od uczelni do uczelni i sprawdzała, jak uczniowie egzaminy zaliczyli. Biada nauczycielowi, którego uczniowie otrzymali gorsze stopnie niż na świadectwie maturalnym. Podczas rady pedagogicznej nieraz padały pod adresem takiego nauczyciela ostre słowa, bo jak to? na świadectwie piątka, a uczeń zdał tylko na trójkę?

- Pod koniec lat siedemdziesiątych Tokarski został inspektorem w wydziale oświaty, ale tak się złożyło, że wrócił do szkoły. Po powrocie uczył dość krótko, został przeniesiony na emeryturę, na którą niechętnie odchodził. Żał mu było rozstawać się ze szkołą – opowiada Andrzej.

Na emeryturę niechętnie odchodził też woźny Jan Szczepański. Pracę w szkole zaczął, gdy mieszczała się ona jeszcze w budynku przy ulicy Zgoda. To wtedy młodzież nadała mu przezwisko *Gerwazy* nawiązując do mickiewiczowskiego bohatera z *Pana Tadeusza* – Gerwazego Kluczniaka, który *nosił wielki pęk kluczów uwiązany za pasem*⁶. Szczepański też zawsze miał pęk kluczy i był równie surowy oraz porywczy, jak ten z poematu Mickiewicza. Od tamtej pory przez dziesiątki lat o woźnym w szkole i poza nią mówiło się *Gerwazy*.

- Kiedyś chodziłem po szkole z pękiem kluczy do sportowych magazynków, było popołudnie i trwały zajęcia szkoły wieczorowej. W przerwie podeszła do mnie pani uzupełniająca swoje wykształcenie i bardzo miło zapytała: czy to pan teraz nastał jako woźny? już nie ma pana Gerwazego?- opowiada Andrzej.

Szczepański zawsze był szczupły, wysportowany, ponoć w młodości był dżokejem na wyścigach konnych. Andrzej bardzo dobrze pamięta jak *Gerwazy*, starszy już wtedy pan, zademonstrował swoje umiejętności sportowe.

Hol wtedy był jeszcze duży, odbywały się w nim studniówki, akademie. Dopiero po jakimś czasie dyrektor Tokarski zdecydował o dobudowie trzech sal, zamurowaniu pierwotnego wejścia do szkoły i wykonaniu nowego. Zanim tak się stało, pan Szczepański miał swoje stanowisko, stolik i krzesło, pomiędzy dwoma filarami.

- Tego dnia prowadziłem w holu lekcje z chłopcami ze szkoły podstawowej, mogła to być szósta klasa. Uczniowie mieli skakać przez kozła, ale różnie im to szło. Po kolejnym nieudanym skoku, pan Szczepański opuścił swoje stanowisko, stanął karnie na końcu rzędu, a gdy nadeszła jego kolej rozpędził się i perfekcyjnie przeskoczył przez kozła.

Żona Szczepańskiego, Stefania, też pracowała w szkole jako woźna. Dyrektor Tokarski, surowy i pedantyczny, potrafił w sekretariacie palcem przejechać po aparacie telefonicznym sprawdzając, czy jest dokładnie wytarty z kurzu. Czasem kontrola nie wypadła dobrze i wtedy donośnym głosem mówił: *Pani Stefania, kurz tutaj jest*. Pani Stefania bez słowa brała ściereczkę, zmywała, poprawiała, a za nią krok w krok chodził pan Szczepański. Pilnował, żeby porywczy Tokarski na żonę nie nakrzyczał.

- To było dobre małżeństwo. On zawsze mówił do niej Stefcia, ona codziennie na drugie śniadanie szykowała kanapki i na talerzu przynosiła mężowi do tego stolika między filarami. I dobrze syna wychowali. Był oficerem w wojsku, gdy odwiedzał rodziców, a robił to często, przychodził do szkoły, siadał z nimi przy stoliku, rozmawiał, kłaniał się przechodzącym nauczycielom – wspomina Ola.

Gdy Szczepański przechodził na emeryturę, dyrektor urządził mu piękne pożegnanie. Przyszło mnóstwo młodzieży, były kwiaty, przemówienia, podziękowania, ale *Gerwazemu* żał było odchodzić z pracy, bo szkoła była jego drugim domem.

⁶ Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz, czyli ostatni zajazd na Litwie*, Księga Druga, Zamek

Pierwsze wychowawstwo Aleksandra otrzymała z przypadku. Wychowawczynie jednej z klas zrezygnowała z jej prowadzenia po pierwszym roku, a dyrektor zaproponował wychowawstwo Oli.

Po jakimś czasie dowiedziała się od Tokarskiego, że uczennice tej klasy przyszły do niego z prośbą, aby ona została ich wychowawczynią. Odpowiedział wtedy: *możemy spróbować*, bo nie wierzył w tamtej chwili w umiejętności pedagogiczne wuefisty. Z czasem zmienił zdanie i wychowawstwo otrzymywała przez lata, nawet wtedy, gdy była wicedyrektorem szkoły.

- Namawiano mnie na przyjęcie tej funkcji, żeby nie przyszedł ktoś z zewnątrz, narzucony przez kuratorium. Zgodziłam się, ale to był największy błąd mojego życia. Trudno było pogodzić kolidujące często ze sobą obowiązki wicedyrektora z wychowawstwem, a satysfakcję i radość dawała mi nie funkcja kierownicza, lecz praca z młodzieżą – przyznaje Aleksandra.

Andrzej wychowawstwo miał tylko raz. Zgodził się, bo nie sądził, że zgodnie z partyjnymi wytycznymi władze oświatowe zarządzają, aby na godzinach wychowawczych obowiązkowo omawiać po odpowiedniej linii tematy polityczne. Omijał to zarządzenie jak tylko mógł, ale nie zawsze się udawało. Kiedyś wizytator zapowiedział się na lekcję, która zgodnie z planem miała być poświęcona Leninowi. W szkole był film o Leninie, Andrzej przyniósł więc na lekcję taśmę, puścił na projektorze, a ona co chwilę się rwała, uczniowie ją starannie kleili, czas leciał, lekcja się skończyła i pogadanki nie było.



Klasa prof. Andrzeja Fuska, jedyne wychowawstwo w jego pracy w szkole. Lata 1968 – 1972. Na zdjęciu w pierwszym rzędzie od góry: Zbyszek Borecki, Grzesiek Dziadkiewicz, prof. Elżbieta Trzeciak, Stasiek Mokrowiecki, Jola Swaczyk, Danka Andrzejczak, Ela Grelka, Leszek Mencil, Tadek Wichrowski, Dorota Gorecka, Jola Zaniewska, Krzysiek Pasikowski, prof. Andrzej Fusek, siedzą: Zosia Góra, Ewa Seferyniak, Basia Wagner, Julia Koras, na pierwszym planie Wanda Ostrowska.

Fot. Małgorzata Szturomska (Mochorow)

- Dobrze, że wizytator nie był służbistą, bo mógłby podejrzewać mnie, uczniów, czy dyrektora o sabotaż, a tak skończyło się jedynie surowym przykazaniem, żeby omówić temat na następnej lekcji - wspomina.

Z omijaniem zarządzenia większość nauczycieli, wśród nich i Aleksandra, radziła sobie wpisując wymagany temat do dziennika, a rozmawiając o zupełnie innych sprawach. Nie był to sposób doskonały, bo zawsze mógł znaleźć się chętny do poinformowania odpowiednich władz o zaniedbaniach nauczyciela.

- Nie obawiałem się takiej sytuacji. Mnie po prostu najbardziej interesował sport, a zwłaszcza koszykówka, która zawsze była moją pasją, tego chciałem uczyć młodzież - mówi Andrzej.

Interesował go sport, ale zwracał też baczną uwagę na to, jakie wyniki w nauce mieli zawodnicy prowadzonych przez niego drużyn. Potrafił na jednym z obozów sportowych popołudniami przerabiać matematykę z uczennicą, która miała z tego przedmiotu poprawkę. Zawsze zwracał też uwagę na higienę osobistą uczniów.

- Pilnowaliśmy oboje z żoną, żeby uczeń na każdą lekcję miał czysty strój sportowy. To nie mogła być drugi raz założona koszulka. Kończyliśmy lekcje kilka minut wcześniej, żeby młodzież mogła z natrysków skorzystać, gdy już one działały. Ola miała trochę łatwiej, bo zwykle dziewczyny chętniej dbają o higienę niż chłopcy, szczególnie w tym wieku. Ja wprowadzałem pewien rygor. Uczniowie nigdy nie wiedzieli, kiedy podczas zbiórki rozpoczynającej lekcję będę sprawdzać czystość nóg, z której nogi każę zdjąć skarpetkę, pilnowałem, żeby wejście pod natrysk łączyli z porządnym umyciem się. Chłopcy buntowali się trochę przeciw rygorowi, kiedyś nawet odegrali na studniówce scenkę o myciu pod moje dyktando, ale mam nadzieję, że ta moja nauka przydała im się w życiu - mówi z uśmiechem Andrzej.

Rygor w kwestii higieny osobistej budził czasem wśród uczniów bunt, lecz organizowane przez Olę i Andrzeja wycieczki były przyjmowane z radością. Urodzoną w Żywcu Olę ciągnęło w góry, więc na pierwszą wycieczkę tam właśnie pojechali i z czasem wyjazdy w górskie tereny stały się tradycją.



Prof. Aleksandra Fusek
z młodzieżą na wycieczce
w Pieninach w 1980 r.
Fot. z archiwum Aleksandry
i Andrzeja Fusków

- Z klasami pierwszymi jeździliśmy w Góry Świętokrzyskie, w następnych latach były Sudety, Bieszczady i na koniec Tatry. Uczniowie przygotowywali informacje na temat zaplanowanych miejsc i prezentowali je na lekcjach wychowawczych. Wyruszyliśmy z plecakami autobusem do Warszawy, tramwajem jechaliśmy na Dworzec Wschodni, znalezienie miejsc w pociągu wyładowanym ludźmi już było przygodą. A potem były piesze wędrówki od schroniska do schroniska, kolacje i śniadania przygotowywaliśmy sami, trzeba było pilnować zaopatrzenia, nosić w trasę chleby, konserwy. Zdarzały się przygody: a to komuś koledzy włożyli cegłę do plecaka, bo za szybko wędrował, a to ktoś źle drogę wskazał i wszyscy wyszli z Karpacza, by do Karpacza wrócić, chociaż ze świątyni Wang mieli iść na Chojnik, a to dżem zniknął i szukało się sprawcy - wspomina Ola dodając, że do dzisiaj na każdym spotkaniu klasowym dorośli już ludzie z radością wspominają tamte wędrówki.

Aleksandra pracowała w liceum przy Chyliczkowskiej do emerytury, Andrzej wcześniej opuścił szkołę i rozpoczął pracę jako trener koszykówki, czym zajmuje się do dziś.

- Miałam w Piasecznie przepracować dwa lata, Andrzej w ogóle nie planował związania się z nim, a mieszkamy tu ponad pięćdziesiąt lat, dla naszych dzieci Piaseczno jest rodzinnym miastem. Przyzwyczaiałam się do miejsca, do ludzi, czasami jednak nadal budzi się we mnie tęsknota do gór – mówi Ola.



Studniówka w 1984 roku. Pierwsza od lewej prof. Aleksandra Fusek.

Fot. z archiwum Aleksandry i Andrzeja Fusków

Wspomina Zofia Granosik

Opowieść o Reytanach i ulicy Mickiewicza

Piaseczno za czasów mojego dzieciństwa było ubogim, siermiężnym miastem. Przy wybrukowanych ulicach stały stare, drewniane, przeważnie parterowe domy, które okna miały nisko nad chodnikiem, o ile ten chodnik był. Przedwojenne, nieremontowane kamienice wyglądały szaro i nijako. Mnie to wtedy w ogóle nie raziło, taka była rzeczywistość, takie miasto znałam i lubiałam.

Mieszkałam przy ulicy Mickiewicza róg Krótkiej w domu, który należał do pani Wandy Chrostkiewiczowej. Moja babcia, Natalia Pacyna, wynajęła u pani Wandy mieszkanie jeszcze przed wojną, a losy wojenne spowodowały, że osiadło tam i młodsze pokolenie.



Natalia Pacyna,
około roku 1905
Fot. z archiwum Zofii Granosik

Eugeniusz Pacyna,
około roku 1905
Fot. z archiwum Zofii Granosik



Babcia Natalia była wdową po pochodzącym z Pilzna koło Dębicy, Eugeniuszu Pacynie, leśniczym w lasach chojnowskich. Dziadkowie mieszkali w Chojnowie, w drewnianym domu, który rozbudowany, odremontowany i otynkowany stoi do dzisiaj. Mieli czworo dzieci: Tadeusza, Jad-

wigę, Danusię i moją mamę, Krystynę. Gdy w 1923 roku zmarł sprawujący nadzór nad lasami chojnowskim Wiktor Stephan, dziadek został jego następcą. Życie nie oszczędzało mojej babci.

W 1934 roku czternastoletnia Danusia utonęła w Wiśle pod Górą Kalwarią. Stało się to na oczach mojej mamy i innych osób odpoczywających nad rzeką. Jadwiga chorowała na nie diagnozowaną wówczas depresję i w marcu 1936 roku, po wizycie u lekarza, który orzekł, że pacjentce nic nie dolega, popełniła samobójstwo. W następnym roku umarł na raka mój dziadek. Miał pięćdziesiąt pięć lat.



Leśniczówka w Piławie, około roku 1930

Fot. z archiwum Zofii Granosik

Po jego śmierci babcia musiała zwolnić służbowe mieszkanie. Przyjechała do Piaseczna, wynajęła mieszkanie przy ulicy Mickiewicza 25 i planowała kupno domu, bo dostała dużą odprawę od hrabiego Branickiego, właściciela lasów chojnowskich. Zanim przeżyła czas żałoby, zanim zdecydowała się, który dom chce kupić, wybuchła wojna i już nie było mowy o inwestycjach.

Z wybuchem wojny czekało babcię kolejne nieszczęście. W bitwie pod Mławą, 1 września 1939 roku, zginął Tadeusz.

Mojej mamy nie było wówczas w Piasecznie. Rok wcześniej pobrali się z moim ojcem i wyjechali do Gdyni - ojciec był geodetą i tam dostał pracę. W sierpniu 1939 został zmobilizowany do wojska, we wrześniu w czasie walk koło Wejherowa trafił do niemieckiej niewoli. Do swojej żony wrócił dopiero po pięciu długich latach przeżytych w oflagu w Woldenbergu¹.

¹ Oflag II C Woldenberg (obecnie Dobiegniew) – niemiecki obóz jeniecki przeznaczony dla oficerów Wojska Polskiego i ich ordynansów, źródło: <http://www.muzeum.dobiegniew.pl>

Eugeniusz Pacyna,
Pilawa, rok 1935 lub 1936
Fot. z archiwum Zofii Granosik



Mama przyjechała z Gdyni do Piaseczna w pierwszym miesiącu wojny i zamieszkała z babcią.
W czasie okupacji żyły skromnie, tym bardziej, że gościły kuzynów i kuzynki, którym trzeba było pomóc. Niewiele o tym czasie opowiadały, a może ja nie chciałam wtedy ich słuchać. Teraz jest za późno na rozmowy.

Niemcy, oflag Woldenberg,
lata 1939 – 1945, od lewej stoją:
Janusz Rewski, Zbigniew Rewski, n.n., n.n.
Fot. z archiwum Zofii Granosik



Krystyna i Janusz Rewscy, Warszawa, rok 1938
Fot. z archiwum Zofii Granosik

Gdy ja i moje rodzeństwo byliśmy już w przedszkolu albo szkole, mama poszła do pracy. Pracowała w jedynym na cały powiat biurze notarialnym mieszczącym się w niedużym pokoju starej willi przy ulicy Rejtana. Początkowo notariuszem był pan Szemioth, potem inny notariusz kilka razy w tygodniu przyjeżdżał z Warszawy, a mama, często do późnych godzin wieczornych, na starej maszynie do pisania wypisywała dokumentację. Ludzie czekali po kilka godzin w kolejce, była tam przeszklona weranda, która pełniła rolę poczekalni i stali w niej, mróz, nie mróz. Przez trzydzieści lat pracy mama poznała mnóstwo ludzi, nie były jej obce ich rodzinne koligacje, może nawet i tajemnice, ale z nikim nie dzieliła się tą wiedzą, nigdy nie opowiadała o swojej pracy.



Krystyna Rewska, Piaseczno, prawdopodobnie
ul. Mickiewicza, rok 1942
Fot. z archiwum Zofii Granosik

Dziadkowie Rewscy, Włodzimierz i Anna, mieszkali w Białej Podlaskiej, tam przyszło na świat ich troje dzieci: Zbigniew, Wanda i Janusz, mój ojciec. Dziadek studiował prawo w Warszawie, a po ukończeniu studiów w 1904 roku w pracował w sądzie warszawskim. Z przekazów rodzinnych wynika, że już przed rokiem 1914 dziadkowie mieszkali w Piasecznie. Mój ojciec opowiadał, że pamięta ich wyjazd stąd, gdy po wybuchu pierwszej wojny światowej dziadek został zmobilizowany do wojska i skierowany do Odessy. Rodzina wróciła do kraju jeszcze przed zakończeniem wojny i – też zgodnie z opowieściami rodzinnymi – osiadła w Piasecznie.

Z początkiem lat dwudziestych dziadek wypatrzył w Piasecznie miejsce doskonałe na budowę eleganckich domów dla inteligencji warszawskiej. Zbudował i sprzedał jeden dom, potem drugi, pojawili się kolejni chętni do budowy domów i tak powstało osiedle zwane *Rejtany*. Przez jakiś czas przy wjeździe na ulicę, dzisiejszą Rejtana, stał szlaban, podkreślający odrębność osiedla. Dziadek, jako mieszkaniec Piaseczna, brał czynny udział w życiu społecznym miasta, był radnym w pierwszym po odzyskaniu niepodległości w roku 1918 miejskim samorządzie i zakładał spółdzielnię spożywców *Społem*.

Wanda Rewska-Colacino
i Clemente Colacino, rok 1935
Fot. z archiwum Zofii Granosik



Krystyna Rewska, około roku 1938
Fot. z archiwum Zofii Granosik

Wanda została malarką, skończyła przed wojną Akademię Sztuk Pięknych. W 1936 roku wyszła za mąż za Włocha, Clemente Colacino, zamieszkali we Włoszech, ale do wybuchu wojny często przyjeżdżali do polskiej rodziny. Clemente był dziennikarzem, publicystą, oprócz tego był grafologiem i robił ekspertyzy sądowe. W Polsce Ludowej cici odebrano obywatelstwo i po raz pierwszy po wojnie przyjechała do ojczyzny dopiero w roku 1960, najpierw sama, a potem co roku z Clementem. Cicia bardzo imponowała młodzieży swoją niezależnością, elegancją, zainteresowaniami, talentem. Ustawiała w ogródku przed domem sztalugi, malowała dalie, fiolety, ostróżki i pozwalała przyglądać się swojej pracy. Przyzwyczajona do włoskiej tradycji picia kawy w kawiarniach była niemalże stałą bywalczynią *Maskotki*². Czasem szły z nią cienie, które przyjeżdżały do nas z wizytą, czasem ktoś z młodszego pokolenia jej towarzyszył, ale cicia Wanda nie musiała mieć towarzystwa do *małej czarnej*.

Włodzimierz Rewski, około roku 1935
Fot. z archiwum Zofii Granosik



² *Maskotka* - kultowa kawiarnia przy ul. Kościuszki, dziś miejsce obok sądu - red.

Po pierwszej wizycie Clemente bardzo pilnie zaczął uczyć się języka polskiego. Gdy coś udało mu się poprawnie powiedzieć, sam siebie żartobliwie chwalił mówiąc z włoskim akcentem: *dobrze, dobrze panie bobrze*. Bardzo lubił wspólne spacerować nad Jeziorokę, szczególnie podziwiał wysokie sosny, jakich nie ma we Włoszech. Przez dziewięć lat Clemente corocznie przyjeżdżał do nas, nie pojawił się tylko jednego roku, gdy nie dostał wizy i nie mógł wjechać do Polski. Było to po jego artykule o sytuacji kościoła katolickiego w Polsce, który ukazał się we włoskiej prasie, nieoficjalnym współautorem publikacji był ksiądz proboszcz Kazimierz Siwak, ale o tym wiedzieli nieliczni.



Wanda Rewska-Colacino, Piaseczno,
ul. Mickiewicza, lata sześćdziesiąte XX w.
Fot. z archiwum Zofii Granosik

W 1969 roku, w czasie wizyty u nas, Clemente zmarł. W zachowanym w rodzinnych pamiątkach nekrologu zamieszczonym w *Życiu Warszawy* ciocia napisała tak: *opłakują Go rodziny w kraju oraz Italii i przyjaciele. Zwłoki wyjątkowego człowieka spoczną w Polsce, którą znał i kochał*. Clemente pochowany jest na cmentarzu komunalnym w Piasecznie.

Zbigniew był historykiem sztuki, konserwatorem zabytków, jego dorobek naukowy i konserwatorski jest ogromny. Miał dziewiętnaście lat, gdy napisał krótką monografię Piaseczna, której wydanie sfinansował dziadek Włodzimierz, a pod koniec lat pięćdziesiątych zaangażował się w prace związane z regotyzacją³ piaseczyńskiego kościoła św. Anny. Zgodnie z jego wiedzą kaplica, która miała być dobudowana do bryły głównej kościoła, nie odpowiadała zasadom budowni gotyckich. Podczas częstych spotkań z księdzem Kazimierzem Siwakiem ostro spierali się w sprawie projektu.

Z dużym sentymentem wspominam czas dzieciństwa i dom przy Mickiewicza. Mieszkaliśmy na parterze obok właścicielki domu, pani Wandy. Na piętrze mieszkali państwo Erdmanowie z wnuczką Andrzejem Kozłowskim i gospołą, panią Antosią, która była dobrą duszą ich domu oraz państwo Alma i Włodzimierz Missolowie. Pan Missol był emerytowanym pastorem ewangelickim, a pani Missolowa stomatologiem, pracowała w przychodni zdrowia przy ulicy Fabrycznej i miała swój prywatny gabinet w domu przy ulicy Kościuszki naprzeciwko cmentarza. Pan Missol grał na fortepianie, komponował i śpiewał.

U nas zawsze było dużo gości, przyjeżdżała rodzina z Warszawy, przychodzili znajomi rodziców, moje koleżanki, przyjaciele brata i siostry. To był dom otwarty, dosłownie otwarty,

³ regotyzacja – prace konserwatorskie prowadzone w budowach gotyckich przebudowanych w późniejszych okresach mające w zamierzeniu przywrócić pierwotny charakter budowli, źródło: <https://pl.wikipedia.org>

do środka można było wejść o każdej porze dnia i nocy, wystarczyło pchnąć zawsze niedomknięte okno od ogrodu.

W niedziele babcia z mamą gotowały obiady, wypiekały ciasta, bo wszyscy musieli być nakarmieni. Pracy miały dużo szczególnie latem, gdy byli u nas goście z Włoch i przyjeżdżały liczne kuzynki z Warszawy. Pamiętam, że przed każdymi świętami, zanim moja mama upiekła ciasta dla nas, to wypiekała je dla innych, dla samotnych, starszych. I wiedziała, co kto lubi. A ja musiałam te wypieki poroznosić, szłam na przykład do pani Zofii Gamrat albo pani Marii Pieścik.

Pani Zofia przyjechała do Piaseczna ze swoją mamą po Powstaniu Warszawskim, w którym wszystko straciły. Mieszkały przy Mickiewicza, żyły bardzo skromnie utrzymując się z udzielanych przez panią Zofię lekcji języka francuskiego. Po śmierci mamy, pani Zofia dostała z opieki społecznej malutkie mieszkanie na osiedlu przy Wojska Polskiego. Moja siostra, Magda, odwiedzała ją, opiekowała się nią, to ona znalazła panią Zofię martwą i załatwiała formalności związane z pogrzebem.

Pani Pieścik miała malutką drogerię przy ulicy Kościuszki 2. Gdy szłam na religię babcia dawała mi obiad dla pani Marii, najczęściej to była zupa w garnku, który odbierałam w drodze powrotnej. Pani Maria zawsze wtedy mówiła: *proszę babci powiedzieć, że zupa była wyborna*, a w domu zwykle okazywało się, że w garnku jest jakieś mydełko, czy buteleczka wody kolońskiej o zapachu konwalii.

Magda i Zosia Rewskie,
Zalesie Dolne, rok 1964

Fot. z archiwum Zofii Granosik



Noszenie ciasta czy obiadów to były jedne z moich nielicznych obowiązków, na ogół miałam dużo swobody, mogłam bawić się z dziećmi z sąsiedztwa, wokół domu był ogród, była niedaleko Jeziorka. Całą gromadą spędzaliśmy nad nią wakacje i nigdzie nie byłam tak szczęśliwa, jak tam, czasem nawet na obiad do domu nie wracałam, bo bałam się, że mnie już nad rzekę nie puszczą. Żadne kolonie, na które jeździłam co roku, nie dawały mi tyle radości.

Moją najbliższą koleżanką, z którą przyjaźń przetrwała do dzisiaj, była Ewa Wańska. Posesje, na których mieszkaliśmy, stykały się narożnikami, w płocie była furtka i mogliśmy bywać u siebie do woli, z czego korzystaliśmy nieustannie. Na przeciwko domu, w którym mieszkaliśmy, była duża, wielorodzinna kamienica należąca do pana Tychmanowicza. Mieszkali tam moje koleżanki: Basia Jarczyńska i Hania Lewandowska, moje rówieśnice. Uwielbiałam chodzić do nich, bo można było robić, co się chciało. Przede wszystkim bez przeszkód biegać dookoła domu, bo tam było klepisko, trawę wydziobały kaczki i kury, które ludzie hodowali, a u nas był ogródek, porobione grządki i, broń Boże, podeptać cokolwiek. Poza tym Hania miała mnóstwo zabawek, które zawsze wydawały mi się lepsze niż moje, no i miała rower. My roweru nie mieliśmy. Moja starsza siostra, Magda, gdy była w siódmej klasie dostała młodzieżową *damkę*. Podkradałam ją, a że byłam za mała to jeździłam na stojąco albo opuszczałam siodło i wtedy Magda się na mnie złościła. Jeździć nauczyłam się wcześniej na Hankowym rowerze, przy czym Hania bezinteresownie nie dawała się przejechać, trzeba było jakoś tę *usługę* kupić. Moja babcia wypiekała doskonałe szarlotki. Kiedyś upiekła dużą blachę ciasta, pokroiła w kwadraty, ułożyła na półmisku i postawiła w kuchni na parapecie. Okno było otwarte, ciasto pachniało na całą okolicę i Hanka powiedziała: *dam ci się przejechać do szpitala i z powrotem, jak mi przyniesiesz szarlotkę*. Podkradłam się pod okno od strony ogródka i buchnęłam kawałek ciasta. Wróciłam po przejażdżkę, a Hania mówi: *pojedziesz jeszcze raz, jak przyniesiesz ciasto dla mnie i Marka*; Marek to był jej starszy brat, o którym za chwilę opowiem. Chyba połowę ciasta tak wyniosłam, babcia w końcu zauważyła, że szarlotki jest coraz mniej, zrobiła się awantura, podejrzenie padło na kota, ale w końcu wydało się, kto był sprawcą.

A Marek to był przyrodni brat Hanki, miał na nazwisko Taperek, jego ojciec zginął w Powstaniu. Marek, niezwykle utalentowany chłopak, był uczniem *Platerówki*, potem ukończył handel zagraniczny na SGPiS⁴. Był wspnianym sportowcem, uprawiał trójskok, był wicemistrzem Polski juniorów w latach sześćdziesiątych, często wyjeżdżał na zawody za granicę i zdobywał tam liczące się nagrody. U nas w domu zawsze było duże grono młodzieży i wujek Clemente w czasie swoich wizyt chciał uczyć nas języka włoskiego. Jedynym, który biegle opowiadał język, był pracowity i zdyscyplinowany Marek. W 2017 roku Marek zmarł.

Dziadek macierzysty⁵ Marka, pan Moszczyński, był zegarmistrzem w Piasecznie, miał swój zakład w kamienicy na rogu ulic Sienkiewicza i Czajewicza. W tym samym budynku był sklep mięsny *GS Społem*, który prowadzili państwo Kwiatkowscy. Była tam bardzo dobra wędlina, ale jeszcze lepsze były kiełbasy, które pan Kwiatkowski robił w domu, przed świętami robił też przepyszne balerony i szynkę. Wtedy, przy brakach w zaopatrzeniu, często kupowało się

⁴ SGPiS (Szkoła Główna Planowania i Statystyki) – uczelnia przekształcona w 1949 roku z powstałej w pierwszych latach XX w. Szkoły Głównej Handlowej, do dawnej nazwy wrócono w 1991r., źródło: <http://uczelnia.sgh.waw.pl>

⁵ dziadek macierzysty – dziadek ze strony matki, źródło: <https://genealodzy.pl>

takie domowe wyroby. Pamiętam, że w dni targowe przychodziła do nas pani, która aż z Nowego Miasta przywoziła i sprzedawała wiejskie masło i biały ser. Moja babcia, zanim dokonała zakupu, zasiadała na krześle i po troszeczkę próbowała tych specjałów. Nikt wtedy nie słyszał o niezdrowych tłuszczach czy o szkodliwości jajek, które przez lata były przez dietetyków wręcz zabraniane, a teraz znów wracają do łask. Z mojego otoczenia jedynie ojciec miał wręcz obsesję dotyczącą zdrowego żywienia. Przeczytał kiedyś w *Ekspresie Wieczornym* malutką notatkę o tym, że brytyjski profesor John Yudkin⁶ odkrył, jak bardzo szkodliwe jest spożywanie cukru. Ojcu tak trafiła do przekonania teza profesora, że wprost zamęczał otoczenie wymagając od wszystkich rezygnacji z cukru. Dzisiaj szkodliwość spożywanego w nadmiarze cukru jest oczywista, w latach siedemdziesiątych nikt nie traktował tego poważnie.

Moją swobodę w dzieciństwie ograniczyły najpierw przedszkole, a potem szkoła. Jedyne w Piasecznie państwowe przedszkole było przy ulicy Świętojańskiej, to był piętrowy, nieskanalizowany drewniany budynek stojący obok szkoły. Bardzo nie lubiłam tego przedszkola, to była po prostu przechowalnia dzieci, a dodatkowa męka zaczynała się na codzienne hasło: *dzieci idą do ubikacji*. Ubikacja to było drewniane krzeselko z dziurą, pod spodem stało wiaderko i była kolejka, a w kolejce podział: kto na siusiu to pierwszy, kto na kupkę to drugi, bo wytrzyma. Chyba był podział na chłopców i dziewczynki, ale na pewno nie było żadnej zastony. U nas w domu była kanalizacja, więc dla mnie taka ubikacja była czymś dziwnym, ale posłuszna byłam i stawiałam w kolejce. Chodziłam tam rok, aż zachorowaliśmy z bratem na szkarlatynę⁷ i po chorobie, na szczęście, do przedszkola nie wróciłam. Do szkoły chodziłam na Świętojańską. Niewiele mam wspomnień z tamtego czasu. Jedno z tych nielicznych dotyczy klasowych *kącików czystości*. W sali była miska, wiadro z czystą wodą, wiadro na brudną wodę i na hasło *umyć ręce* cała klasa myła je w tej samej wodzie. W pierwszej klasie mieliśmy religię w szkole, a od drugiej klasy chodziliśmy do *organistówki*, stojącej przy ulicy Kościelnej niedaleko kościoła. *Organistówka* to była stara, drewniana chałupa z wysokim progiem przy drzwiach wejściowych, miała dwie nieogrzewane salki z małymi oknami. Było tam zimno, ciemno i niewygodnie, bo siedziło się w starych kościelnych ławkach, ale wcale nam te niedogodności nie przeszkadzały. Uczyła nas katechetka, siostra bezhabitowa⁸, chyba miała na imię Maria, zawsze gładko zaczesana, z przedziałkiem pośrodku głowy i włosami ściągniętymi z tyłu w kok, chodziła w granatowym kostiumie. Często się śmiała i wszyscy ją lubili. To ona przygotowała nas do I Komunii Świętej, która była wtedy skromną uroczystością. Pamiętam, że była składka pieniężna na aluminiowy medalik na niebieskiej tasemce, książeczkę do nabożeństwa, różaniec i grupowe zdjęcie, z którego sama zrezygnowałam, żeby było taniej. Miałam odziedziczoną po siostrze sukienkę z organdy⁹ i długi welon we włoskim stylu, wszystko było darem od cioci Wandy. Uzupełnieniem stroju – majowe poranki bywają chłodne – była

⁶ John Yudkin – 1910 – 1995, fizjolog i specjalista żywienia; jako pierwszy wykazał, że nadmierne słodzenie jest szkodliwe dla zdrowia, źródło: <https://en.wikipedia.org>

⁷ szkarlatyna (płonica) – ciężka bakteryjna choroba zakaźna wieku dziecięcego, źródło: www.medonet.pl

⁸ zakony bezhabitowe – zakonnice i zakonnicy bezhabitowi składają profesję zakonną (śluby zakonne), żyją w kilkusobowych wspólnotach w sposób specyficzny dla danego zgromadzenia ubierając się w sposób świecki, czasem używają widocznych oznak konsekracji (krzyż, obrączka itd.)

⁹ organdyna: używana na bluzki i sukienki cienka, sztywna i przezroczysta tkanina bawełniana, biała lub w pastelowych barwach, <https://encyklopedia.pwn.pl>

wełniana pelerynka ozdobiona haftowanymi, niebieskimi kwiatkami. Pelerynka była u nas od czasów przedwojennych i nosiły ją kolejne pokolenia dziewczynek. Po mszy był w domu obiad, na który zostali zaproszeni moi chrzestni, dostałam nawet prezenty, czego się nie spodziewałam, bo nie było takiego zwyczaju. Jedna z cioć podarowała mi przechowywaną do dzisiaj książkę *Woda żywa* z dedykacją, od stryja Zbigniewa była przedstawiająca Matkę Boską glińska płaskorzeźba, która, niestety, stłukła się wiele lat temu.



Zofia Rewska (z prawej) i Hanna Lewandowska (z lewej), Piaseczno, rok 1973

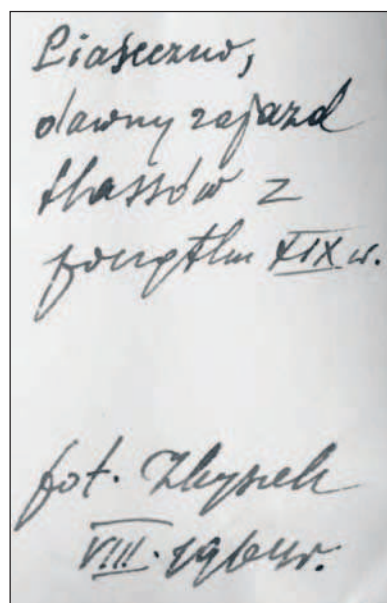
Fot. z archiwum Zofii Granosik

Franciszka Zagańska,
Piaseczno, ul. Mickiewicza, rok 1993

Fot. z archiwum Zofii Granosik



Pod koniec lat siedemdziesiątych wyjechałam z Piaseczna, wróciłam do rodzinnego miasta po kilkunastu latach i poczułam, że jestem w domu. Lubię tu mieszkać. Dobrze się czuję widząc znajome twarze, mając blisko rzekę i las. Może komuś wydać się dziwne, ale lubię chodzić na piaseczyńskie cmentarze. Są na nich groby moich rodziców, dziadków, siostry, cioć i wujków, jest grób państwa Wańskich, rodziców mojej przyjaciółki Ewy, są pochowani państwo Zielińscy, Stefańscy, którzy mieszkali przy Mickiewicza, dobrze znam się z ich córką, Ewą Górzyńską; jest grób zmarłej w wieku ponad stu lat pani Frani Zagańskiej, która mieszkała przy ulicy Szopena, hodowała piękne kwiaty kupowane przez ludzi z całego Piaseczna. Niedaleko grobu moich rodziców pochowana jest pani Tosia Ściśłowska z Mickiewicza, moja siostra mówiła: *mama z panią Tosią tak często się odwiedzały, mieszkały obok siebie za życia i po śmierci też są niedaleko*. Pamięć o zmarłych, troska o ich groby jest dla mnie pewnym ukorzeniem człowieka, poczuciem ciągłości z przeszłością. Daje też nadzieję, że kiedyś i o nas będą pamiętać.



Piaseczno, restauracja Szymańskich, sierpień 1964 r., podpis na odwrocie zdjęcia: Piaseczno, dawny zajazd Hassów z początku XIX wieku. Fot. Zbigniew Rewski - archiwum Zofii Granosik



Zofia Granosik

Fot. z archiwum Zofii Granosik

Wspominają Andrzej Koprowski i Piotr Obłóza

Opowieści o żaglach i harcerskim granatowym mundurze¹

Piaseczyńską 37. Wodną Drużynę Harcerską założył wiele lat temu Andrzej Koprowski - z powołania harcerz, z zawodu nauczyciel matematyki. Jak sam żartobliwie powiada, wymyślił sobie, że zostanie nauczycielem, bo chciał mieć wakacje, a chciał mieć wakacje, bo był harcerzem, żeglarzem i nie wyobrażał sobie lata spędzonego inaczej niż pod namiotem i pod żaglem.

Do chwili założenia drużyny Andrzej z Piasecznem niewiele miał wspólnego. Rodzina Koprowskich mieszkała w Konstancinie, do którego przeprowadzili się kilka lat po wojnie z warszawskiej Pragi. Andrzej chodził do szkoły w Skolimowie, tam od najmłodszych klas należał do harcerstwa. Pod koniec lat sześćdziesiątych został instruktorem i zdobywając kolejne stopnie doszedł do harcmistrza. Harcerstwo *zielone*² sprawiało mu wiele radości, dawało satysfakcję, ale jego pasją i wielką miłością stało się żeglarstwo. Na swój pierwszy obóz żeglarski nad Serwami prowadzony przez druha Jacka Puchnowskiego pojechał, gdy miał czternaście lat, a uprawnienia żeglarskie miał wcześniej niż stopień instruktorski³. Stopień sternika jachtowego zdobywał na *Czerwonych Żaglach*, jachtach, które harcerze zbudowali na bazie starych, drewnianych szalup ze statku MS Batory⁴.

Drużynowy 37. WDH, dr hm.
Andrzej Koprowski (z lewej)
odznaczany podczas
uroczystości nadania Hufcowi
imienia Bohaterów Pokoju, 1978 r.
Fot. z archiwum
Arkadiusza Czapskiego
i instruktorów Hufca ZHP Piaseczno



¹ Harcerze-wodniacy posiadają umundurowanie podobne do munduru marynarskiego w granatowym kolorze, stąd nazwa harcerstwo *niebieskie*.

² Nazwa harcerstwo *zielone* pochodzi od zielonego koloru harcerskiego munduru.

³ Wodniacy mają stopnie harcerskie, żeglarskie i środowiskowe oznaczające przynależność do drużyny, szczepu i hufca.

⁴ MS Batory – polski transatlantyk, do służby wszedł w 1936, do wybuchu wojny pływał między Gdynią a Nowym Jorkiem, w czasie wojny przebudowany i uzbrojony wykonywał zadania wojenne, ostatni rejs odbył w lutym 1969, złomowany w 1971, źródło: <https://www.pb.pl>, Marcin Dobrowolski, *Niezatapialny MS Batory*, 30.04.2018

- Z Gdyni do Pucka płynęło się na nich dobę. Dziś, gdy jachtem wypłynie się z Gdyni jest czas, by zjeść obiad w Pucku i na wieczór do Gdyni wrócić, ale to dawne rejsy są niezapomniane – wspomina Koprowski.

Po maturze zdał na Uniwersytet Warszawski, studiował matematykę, potem uczył fizyki w szkole, do której kiedyś sam chodził i cały czas pracował w skolimowskiej 66. Wodnej Drużynie Harcerskiej prowadzonej przez Jacka Puchnowskiego.

Łącznikiem z Piasecznem była jego siostra, Basia, która uczyła się w liceum przy Chyliczkowskiej. - Kolega mojej siostry, Wiesiek Adamczyk, wymyślił, żeby u nich w szkole też założyć drużynę wodniacką. Siostra pogadała ze mną i pomyślałem, czemu nie? Tak się zaczęło – wspomina Koprowski.

Pierwsza zbiórka 37. WDH odbyła się w styczniu 1969 roku. Komendantem hufca był wtedy Kazimierz Lenarczyk. To on odczytał rozkaz i wręczył drużynie banderę. Kilka lat później drużyna otrzymała miano żeglarskiej oraz przyjęła imię Leonida Teligi⁵.

- Teliga był oficerem, lotnikiem, żeglarzem, bardzo mi imponował swoim charakterem, szlachetnością, patriotyzmem. Być może patrzyłem na niego przez pryzmat mojego ojca, który należał do *Parasola*⁶, walczył w czasie Powstania a po kapitulacji został wywieziony do Niemiec, skąd wrócił w 1945 roku – mówi Andrzej.

W 1969 roku, na pierwszym obozie nad jeziorem Ryńskim koło Rynu było czterdzieści osób. - Kwaternistrzem był wtedy nieżyjący już druh Jurek Madej. Miał chłopak niewyparzoną głowę, ale posiadał wiele uczciwości i poczucia sprawiedliwości. Oboźnym, na tym i na kilku następnych obozach, był Zbigniew Gołaszewski – wspomina Andrzej, który był wtedy komendantem.

Drużyna miała tylko jedną *Omegę*⁷ zwaną *dziurawką* i pływając na niej od świtu do wieczora uczestnicy obozu robili uprawnienia żeglarskie. Na obóz przyjechał z wizytacją dyrektor liceum, Tadeusz Tokarski. Popatrzył, porozmawiał, popływał z harcerzami *dziurawką*, a po zakończonym rejsie zaproponował Koprowskiemu pracę w swojej szkole.

- Miał dyrektor umiejętność przekonywania, więc się zgodziłem. Przepracowałem w liceum trzydzieści lat, cały czas w pracowni numer dwadzieścia pięć – mówi Koprowski - W szkole uczniowie mówili do mnie *druhu*. Nie przeszkadzało mi to, wręcz przeciwnie. Byłem dumny, że tak się do mnie zwracają. Dla mnie druh, znaczy przyjaciel i autorytet.

Andrzej dla uczniów i harcerzy był druhem, ale mówiono o nim także *Koper* albo *Weno*. To ostatnie powstało w drużynie skolimowskiej od Andrzejowego, często używanego, powiedzenia: *weź no zrób*.

⁵ Leonid Teliga (1917 – 1970) - oficer Wojska Polskiego, lotnik Dywizjonu 300 Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii, dziennikarz, tłumacz, autor książek, instruktor żeglarstwa, pierwszy Polak, który samotnie okrążył Ziemię na drewnianym jachcie SY Opty (1967 – 1969), <https://zagle.se.pl>

⁶ *Parasol* - oddział do zadań specjalnych Kierownictwa Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej, działał od lata 1943 do końca Powstania Warszawskiego, składał się przede wszystkim z harcerzy Szarych Szeregów, źródło: <http://batalionparasol.pl>

⁷ *Omega* – jacht żaglowy otwarty przeznaczony do żeglugi śródlądowej, źródło: <http://www.wiatr.wawa.pl>

Pocieszki wykonane
samodzielnie przez
harcerzy z 37. WDH
Fot. z archiwum
Arkadiusza Czapskiego
i instruktorów Hufca ZHP Piaseczno



Stacjonarne obozy nad jeziorem Ryńskim odbywały się przez kolejne sześć lat, a potem wodniacy przenieśli się na Wielkie Jeziora Mazurskie odkrywając ich urok i piękno. To już był czas, gdy drużyna miała trzy *Pocieszki*⁸, dzięki którym można było rozpocząć etap obozów wędrownych. -Teraz są wyznaczone pola biwakowe, są przystanie, wtedy dobijaliśmy do brzegu w każdym miejscu, do portu rzadko się wchodziło. Jedni rozstawiali namioty, inni przygotowywali posiłek, wieczorem było ognisko ze wszystkimi harcerskimi tradycjami, po nim młodzież szła spać, a sternicy spotykali się, żeby podsumować dzień i omówić dalsze etapy trasy. Rano była pobudka, rozruch, zwijanie namiotów, śniadanie i wypływaliśmy w trasę. Ktoś może powiedzieć, że nuda, że wciąż to samo, ale nie dla wodniaków. Gdy postawi się żagle i czuje się, jak łódka leci, to jest piękne i niepowtarzalne - opowiada Koprowski.

Z czasem drużyna dorobiła się sześciu łodzi wędrownych i wszyscy obozowicze mogli na nich spać bez rozstawiania namiotów na lądzie. Łodzie budowali wspólnie ze swoim drużynowym, który uczył ich skutocznej trudnej sztuki. Warsztat mieli w wyburzonym dziś garażu stojącym na tyłach budynku liceum.

⁸ *Pocieszka* - drewniana żaglówka czteroosobowa robiona ręcznie na podstawie planu Stefana Worketa, źródło: <https://forum.zegluj.net>

- Z harcerzami wybudowaliśmy trzynaście łodzi, co roku jedna powstawała. Bardzo pomagali mi wtedy dyrektor Bogdan Micza oraz Bogusława Sygowska teraz Wojdach, inspektor oświaty. Dzięki nim mieliśmy materiały do budowy łódek. Najpierw budowaliśmy z drewna, a potem powstawały *Foki*⁹ z laminatu poliestrowo-szklanego. Dzisiaj nikt nie dałby zgody na pracę z takiego materiału, bo przy jego cięciu wdycha się watek szklany, ale wtedy nikt o tym zagrożeniu nie mówił. A łódki zrobiliśmy dobrze, bo jeszcze pływają na nich harcerze z Pragi Północ – wspomina Koprowski.

Szykowanie łodzi do
sezonu, lata 80.

Fot. z archiwum
Arkadiusza Czapskiego
i instruktorów Hufca ZHP
Piaseczno



Przyrzeczenie harcerskie, 1970 r.

Fot. z archiwum Arkadiusza
Czapskiego i instruktorów Hufca
ZHP Piaseczno

⁹ *Foka* – typ jachtu turystycznego konstrukcji Jerzego Pieśniewskiego, źródło: <https://pl.wikipedia.org>

W latach siedemdziesiątych, z przepełnionej w tym czasie Szkoły Podstawowej nr 5 przeniesiono do budynku liceum część uczniów klas od czwartej do ósmej. Koprowski miał wtedy uczniów z liceum i podstawówki. Nauczyciel, który był żeglarzem i harcerzem, imponował dzieciakom z podstawówki i wielu z nich chciało wstąpić do wodniaków. Nie wszyscy zrealizowali swoje marzenie, wśród tych wytrwałych i zdecydowanych był Piotr Obłóza.

- Byłem w zuchach w *Piątku*¹⁰, ale wtedy *zielone* harcerstwo mnie nie pociągało, moją pasją - być może pod wpływem druha Koprowskiego - stało się żeglarstwo. Już od czwartej klasy bardzo chciałem dostać się do wodniaków, ale to była drużyna starszoharcerska, zaczynała się od liceum i nie chcieli mnie przyjąć. Dopiero w szóstej klasie spełniło się moje marzenie. Do drużyny zostałem przyjęty ja i moi koledzy z klasy: Czarek Dąbrowski i Piotr Godzieba. Oni po skończeniu liceum zrezygnowali z pracy w drużynie, ja zostałem na długo. Na dłużej został też Bogusław Barański, który jako jedyny z mojej licealnej klasy wstąpił do drużyny żeglarskiej. Pracował w drużynie długo po skończeniu studiów tak samo jak i ja - opowiada Piotr.

Pochód majowy, Piaseczno
ul. Kościuszki, lata 70.
Fot. z archiwum
Arkadiusza Czapskiego
i instruktorów Hufca ZHP Piaseczno



Przez trzydzieści siedem lat istnienia drużyny należały do niej setki osób. Jedni byli krótko, inni dłużej, jedni mieli tylko podstawowy stopień wodniacki, inni zdobywali kolejne stopnie wodniackie i harcerskie. Często doświadczenie nabyte w drużynie procentowało w życiu dorosłym. Andrzej wymienia Marka Paškę, który teraz jest kapitanem żeglugi, Marcina Pałubę, Tomka Zajęca - obecnie instruktorów żeglarskich. Są osoby, które poprzez żeglarstwo rozwinęły inne pasje. Krzysiek Starnawski nie tylko żegluguje – jest też nurkiem, ratownikiem TOPR, taternikiem, speleologiem, w 2017 roku otrzymał tytuł *Podróżnika Roku National Geographic*

¹⁰ *Piątka* – Szkoła Podstawowa nr 5 im. Krzysztofa Baczyńskiego w Piasecznie

Adventurer of the Year 2017 za odkrycie najgłębszej podwodnej jaskini¹¹ na świecie. Piotr biega maratony i ultramaratony, do tej pory najwięcej 110 km, maratony biega też Czarek Dąbrowski.

Andrzej bardzo ciepło wspomina nieżyjącego Tadeusza Bereziaka, który miał pseudonim *Świerszczyk*.

- To był chłopak, mówiąc wprost, z marginesu społecznego. Tak mu się życie poukładało. Kiedyś zaprosiłem go do Zegrza na łódki i tak mu się spodobało, że został w harcerstwie. Zdobywał kolejne stopnie i uprawnienia, sam obozy prowadził. To był dobry, porządny człowiek – mówi.

Szkolenie na stopień
żeglarza, lata 70.

Fot. z archiwum
Arkadiusza Czapskiego
i instruktorów Hufca ZHP
Piaseczno



Do drużyny wstępowały też dziewczyny. Piotr twierdzi z głębokim przekonaniem, że w umiejętnościach żeglarskich nie ustępowały chłopakom. Sam prowadził obozy, na których sternikami były świetnie sprawdzające się dziewczyny: Ania Misza, Monika Kowalska.

Wspólne męsko-damskie żeglowanie w kilku przypadkach zakończyło się małżeństwami. Takim wodniackim małżeństwem są m. in. Anna i Bogusław Barańscy. Mają synów, którzy też interesują się harcerstwem i żeglarstwem. Z harcerstwem związane są też córki Andrzeja.

- Bożenka była w wodniakach, Agnieszka w drużynie harcerskiej u Arka Czapskiego. Teraz rośnie w naszej rodzinie kolejne harcerskie pokolenie, bo Agnieszki córka, Maja, pływa na Mazurach – z dumą opowiada Andrzej.

Od początku istnienia drużyny żaglówki zimowały w porcie czerniakowskim w stancyi Harcerskiego Ośrodka Wodnego. Z początkiem sezonu żeglarskiego, a dawniej zaczynał się na początku maja, wszystkie były holowane Wisłą na jezioro Zegrzyńskie. Piaseczyńscy wodniacy przez długi czas mieli nad jeziorem swoją bazę w Załubicach.

¹¹ Położona w Czechach jaskinia Hranická Propast, w 2016 roku Krzysztof Starnawski z polsko-czeskim zespołem nurków i badaczy osiągnęli głębokość 404 m, źródło: <http://www.national-geographic.pl>: Adam Robiński, *Krzysztof Starnawski, człowiek roku National Geographic Polska*, 12 czerwca 2017



ŻDH w latach 70. Fot. z archiwum Arkadiusza Czapskiego i instruktorów Hufca ZHP Piaseczno



ŻDH w latach 80. Fot. z archiwum Arkadiusza Czapskiego i instruktorów Hufca ZHP Piaseczno

- Przy barce były zatopione bojki¹² i do nich przyczepialiśmy łódki. Problemem było przyciągnięcie pierwszej i zostawienie ostatniej, zwykle ktoś musiał płynąć wpław z brzegu po łódkę, a na zakończenie sezonu z łódki na brzeg – uśmiecha się Piotr.

Wodniacy jeździli nad jezioro Zegrzyńskie co piątek, tuż po lekcjach, a do domu wracali późnym wieczorem w niedzielę, cały wolny czas spędzając na wodzie i pod żaglem. Gdy zaczynały się wakacje, holownik *Wrona*, który podobno miał silnik po czołgu T-34, Narwią i Pisą ciągnął żaglówki z Zegrza do Pisu. Czasem do stalowej, długiej liny było przymocowanych po dwadzieścia par żaglówek. Na każdej łódce płynęły co najmniej dwie osoby. Ich zadaniem było pilnowanie, żeby żaglówki nie uszkodzić o brzeg albo o gałęzie drzew, żeby nie zerwała się z liny, żeby żagiel o nic nie zaczepił.

- Narew jest szeroka, nurt ma silny, ale spokojny. Pisa meandruje i spływ nią to czasami była ostra walka. Mieliśmy długie kije, niektóre po pięć - sześć metrów, stawialiśmy z boku łódki i odpychaliśmy ją od brzegów. Często na dziobie ktoś siedział z siekierą i szybko wycinał krzaki, do których za blisko żaglówka podpływała. Taki hol trwał nawet tydzień – opowiada Piotr.

W latach dziewięćdziesiątych łódki dostały silniki zaburtowe, ale to też nie rozwiązało wszystkich problemów, bo nurt w obu rzekach potrafi być silny. Ostatecznie, żaglówki były transportowane do Pisu na przyczepach samochodowych.

Na swój pierwszy obóz żeglarski Piotr pojechał w połowie lat osiemdziesiątych. Pływali na południowych jeziorach Mazur, wracali Pisą i Narwią, przed wpłynięciem na Zegrze, jak zawsze łódki zostały wyciągnięte z wody, położone na boku i myte. To wtedy przeszedł chrzest żeglarski.

- Każdemu, kto jest pierwszy raz na obozie żeglarskim urządza się neptunalia. To żeglarska tradycja, taka sam jak żart z nowicjuszy, którym każe się wybrać wodę z kilwatera¹³ albo przynieść klucz do brytów¹⁴. Podczas chrztu są wygłupy, ale takie, żeby nikomu nie sprawiły przykrości i żeby nic złego się nie stało. Nadaje się imiona typu *Tańczący z pagajami*¹⁵ albo *Pokręcony ick*¹⁶, nic złośliwego lub obraźliwego – mówi Piotr.

On otrzymał imię *Blindagafel*¹⁷, a dyplom, który dostał na zakończenie tamtego obozu do dziś przechowuje wśród żeglarskich pamiątek.

Piotr zdobywał stopnie żeglarskie, miał uprawnienia sternika, ale długo pływał jako członek załogi.

¹² bojka – urządzenie pływające zakotwiczone lub swobodnie dryfujące, służy m. in. do cumowania jednostek pływających, źródło: <https://pl.wikipedia.org>

¹³ wybrać wodę z kilwatera – polecenie jest żartem z nowicjuszy wykorzystującym nieznaną terminologię żeglarską, kilwater: ślad na wodzie pozostawiony za rufą jednostki pływającej, źródło: <https://forum.zegluj.net>

¹⁴ przynieść klucz do brytów – jak wyżej, bryt: pas materiału, z którego powstaje żagiel, źródło: <https://forum.zegluj.net>

¹⁵ *pagaj* - krótkie wiosło z owalnym piórem (rozszerzoną częścią zanurzaną w wodzie), źródło: <https://sjp.pl>

¹⁶ *ick* - nić lub tasiemka przymocowana do wanty lub achtersztagu pokazująca kierunek wiatru pozornego; wanta - lina stalowa podtrzymująca maszt; archersztąg - lina olinowania stałego biegnąca od górnej części masztu w kierunku rufy i tam zamocowana do pokładu; wiatr pozorny – wiatr oddziałujący na jednostkę pływającą będącą w ruchu, jest to wypadkowa wiatru rzeczywistego i własnego, źródło: www.wikiwand.com

¹⁷ *Blindagafel* – zbitka dwóch słów: blinda – żagiel; gafel – ukośne drzewce stawiane z żaglem gaflowym, czyli czworokątnym żaglem rozpiętym z boku masztu między ukośnym gablem a poziomym bomem – belką zamocowaną jednym końcem w maszcie, źródło: <http://encyklopedia.naukowy.pl>

- Sternik na łódce to jak kapitan na statku: ma zawsze rację. Ale w związku z tym jest odpowiedzialny za wszystko, co dzieje się z załogą i łódką, a w drużynie harcerskiej dodatkowo uczy młodzię żeglowania i pełni funkcje wychowawcze. To są obowiązki, odpowiedzialność i nie ukrywam, że nie było mi pilno do pełnienia takiej funkcji - mówi Piotr.



Fotografia po lewej: Mazury, obóz nad jeziorem Beldany, lata dwudzieste XX w.

Fotografia po prawej: Jezioro Zegrzyńskie, zakończenie obozu żeglarskiego, na maszcie Grzegorz Golbert, stoi Lidka Mirecka, od lewej Basia Jankowska, Daniel Putkiewicz, Katarzyna Śliwińska, rok 1998,

Fotografie z archiwum Piotra Obłozy

Jednak nadszedł czas, gdy bez entuzjazmu, ale podjął się tego zadania i był w czasie rejsu zaskoczony odkryciem, że praca z młodzieżą jest ciekawa, że daje dużo satysfakcji. To wtedy zaczął zdobywać stopnie instruktorskie dające uprawnienia do pracy wychowawczej z harcerzami. W harcerstwie instruktor powinien być wzorem i autorytetem, szkolenie instruktora wodnego łączy elementy pedagogiki i żeglarstwa.

- Pamiętam, jak uczyłem koleżankę robienia zwrotu przez rufę. Powtarzaliśmy ten manewr przez pół dnia, bo robiła szerokie ruchy i grot¹⁸ latał z jednej strony na drugą. Ona była coraz bardziej zestresowana, mnie już zaczęło nudzić wielokrotne powtarzanie komend, ale moje znudzenie się nie liczy. Nie chodzi o to, żeby zrezygnowała, tylko żeby się nauczyła. Od tego zależy jej późniejsze bezpieczeństwo na wodzie. Mam ją zachęcić do wysiłku, nauczyć wytrwałości i wiary w siebie. Taka jest rola instruktora – stwierdza Piotr.

¹⁸ grot - najważniejszy żagiel na żaglowej jednostce pływającej, źródło: www.moje-morze.pl

Jako instruktor pamięta też, aby na łódce zawsze wszystkich zaangażować w pracę. Na *Fokach* wystarczyłyby dwie osoby do obsługi żagli: sternik, który trzyma ster i grota oraz osoba pomagająca, która trzyma fokę. Pozostali członkowie załogi mogą siedzieć bezczynnie.

- Staram się przydzielać wszystkim zajęcia, żeby czuli się na łódce potrzebni, a przez pracę uczyli się zasad bezpieczeństwa. Gdy zaczyna wiać, to wysyłam załoganta po coś na dziób, gdy idzie wyprostowany tłumaczę, że przy wietrze na dziobie chodzi się na czworakach. Nie wystarczy fascynacja pływaniem, trzeba nauczyć się żeglarskiego życia zaczynając od podstawowej czynności, jaką jest wejście na łódkę – mówi Piotr.



Mazury, postój nad jeziorem Śniardwy, Szeroki Ostrów, stoją od lewej: Daniel Putkiewicz, od prawej: Piotr Obłoz, komendant obozu, lata dziewięćdziesiąte XX w. Fot. z archiwum Piotra Obłozy

Naszedł w końcu czas, gdy poprowadził obóz jako komendant.

- To jest dopiero odpowiedzialność! Oczywiście, że komendant nie jest sam, w sprawach harcerskich porządkowych i organizacyjnych wspomaga go oboźny, a w żeglarskich sternicy, ale ostateczne decyzje to on podejmuje i bierze na siebie wszystkie konsekwencje. Trzeba więc planować obóz dokładnie dzień po dniu i brać pod uwagę to, że mimo starannego planowania zawsze może zdarzyć się coś nieprzewidywalnego – mówi Piotr.

Pierwszym nieprzewidywalnym czynnikiem jest pogoda. To ona może zmusić do wcześniejszego zatrzymania czy też późniejszego wypłynięcia na trasę. Dobrze jest znać miejsca, w których ryzyko zmiany pogody jest duże.

- Przed wypłynięciem na Śniardwy zawsze zatrzymywaliśmy się przy cyplu Wierzba, ktoś wychodził na skarpę i patrzył, jaka pogoda na jeziorze. Śniardwy są nieprzewidywalne i można było bez możliwości przygotowania wpaść od razu w złą pogodę.

Czasem zaskakuje sprzęt. W którymś roku zmieniali w drużynie żagle z bawełnianych na dakronowe¹⁹. Wszystko było w porządku do pierwszego silnego wiatru. Okazało się, że liklina²⁰ przy żaglu dakronowym jest minimalnie cieńsza niż przy bawełnianym i przy wietrze zaczęła wychodzić z likszpar²¹. Na pagajach dobili do brzegu, zaszyli się w trzciny a likszparę młotkiem zaklepywali. Zdarzyło się przy Rucianem, że dwa silniki z łódki odpadły do wody. Piotr i jego kolega mieli uprawnienia ratownicze, więc założyli maski i nurkowali w poszukiwaniu silników.

- Dobrze, że akurat było płytko i udało nam się je wyłowić, inaczej na pagajach musielibyśmy pokonać jezioro.

Kiedyś nie było takiego zaopatrzenia jak teraz. Rodzice szykowali na obozy przetwory w wec-kach: kotlety, pasztety, ale i tak trzeba było uzupełniać zapasy. Pewnego razu w Rucianem Piotr poszedł do sklepu, a tam na półkach kilka słoików z pulpetami, kilka konserw.

- Brałem wszystko po kolei, aż ktoś z kolejki się zachnął, że cały sklep wykupię. Tłumaczyłem, że muszę trzydzieści osób nakarmić, ale i tak patrzono na mnie z niechęcią – wspomina.

Pamięta też, jak kiedyś zła pogoda zmusiła ich do dłuższego i niespodziewanego postoju przy brzegu i zabrakło im chleba. Poszli na jagody, które, jak się później okazało, były pryskane i część osób miała potem dolegliwości żołądkowe. Takie mniej przyjemne zdarzenia, czy trudniejsze chwile nie zniechęcały wodniaków. Były dla nich nauką życia, lekcjami, z których w sposób odpowiedzialny i rozważny należy wyciągnąć wnioski.

Gdy Piotr prowadził obozy, drużyna miała już sześc *Fok*, *Omegę* i wynajętego *Oriona*²². Jacht wypatrzyli u kogoś na posesji, dogadali się, że go wyremontują w zamian za dwa tygodnie pływania nim na Mazurach. I tymi wszystkimi żaglówkami przed wypłynięciem do portu jednocześnie kręcili na wodzie kółeczka.

- To było jak balet. Robiło wrażenie na patrzących, a nam dawało radość - Piotr rozjaśnia się na to wspomnienie.

Andrzej ma w pamięci podobnie piękny obraz z rejsu na jachcie *Generał Zaruski*. Był wtedy jeszcze nauczycielem w piaseczyńskim liceum i płynął ze swoją klasą. Był w czasie rejsu pierwszym oficerem²³. Któregoś dnia trochę mocniej bujało i kapitan, żeby odwrócić uwagę załogi od samopoczucia, zarządził ćwiczenia zwrotów jachtu.

- Spojrzałem na pokład, a tam ze dwadzieścia osób, wszyscy w kamizelkach, płynnie wykonują polecenia. To było piękne widowisko – opowiada.

¹⁹ żagle dakronowe - wykonane z dakronu: włókna sztucznego, źródło: <https://marynistyka.pl>

²⁰ liklina - lina wszyta w link, czyli krawędź żagla, źródło: <https://marynistyka.pl>

²¹ likszpara - biegnące wzdłuż masztu podłużne zagłębienie w formie rowka o wąskim wejściu i szerszej części wewnętrznej służące do mocowania żagla, źródło: <https://marynistyka.pl>

²² Orion – mieczowy jacht kabinowy konstrukcji Zbigniewa Gibowskiego produkowany od 1976 do początku lat dziewięćdziesiątych XX w., źródło: <https://pl.wikipedia.org>

²³ pierwszy oficer - drugi w hierarchii oficer na statku, odpowiedzialny za bezpieczeństwo i ochronę statku, zastępca kapitana w razie jego niezdolności do dowodzenia statkiem, źródło: www.seaman.pl

Andrzej ma – jak sam mówi – opływany Bałtyk, Morze Śródziemne. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych pływał na *Nefrytach*²⁴ po Zatoce Gdańskiej, ma za sobą rejsy po Bałtyku na jachcie *Warszawska Nike* jako pierwszy i drugi oficer²⁵. Dopiero niedawno popłynął na legendarnym *Zawiszy Czarnym*, chociaż wcześniej namówił na takie rejsy swoją siostrę, Waldka Witkowskiego, Wieśka Adamczyka i jeszcze kilka innych osób z drużyny.

Piotr swój pierwszy rejs po Zatoce Gdańskiej odbył z całą drużyną. Potem wiele razy pływał po Bałtyku jachtem, którego kapitanem była Elżbieta Szydłowska. Tak jak Andrzej odbywał rejsy na *Warszawskiej Nike* i był tam pierwszym, drugim i trzecim oficerem²⁶.

- Pływanie na morzu jest zupełnie inne niż po jeziorach, co szczególnie odczuwa się podczas pierwszego rejsu. Płynie się nocą i dla kogoś przyzwyczajonego do zawijania na noc do portu to jest nowe oświadczenie. A bezkres wody oszałamia zawsze – przyznaje Piotr i opowiada o rejsie po Morzu Śródziemnym. Mieli wtedy pierwszą wachtę na bukszprycie²⁷. Wszyscy bez koszulek chodzili, a oni w koszulkach, bo ze względów bezpieczeństwa musieli mieć szelki. Ale za to siedzieli nad wodą i patrzyli, jak fale się o dziób rozbijają.

- Zrozumie nas tylko ten, kto sam ma pasję, którą kocha – mówi Piotr.

37 Żeglarska Drużyna Harcerska im. Leonida Teligi rozpadła się w 2002 roku, po trzydziestu siedmiu latach pracy. W ciągu tych lat należało do niej setki harcerzy-wodniaków, którzy zdobyli w sumie dwieście osiemdziesiąt stopni żeglarskich motorowodnych i ratowniczych oraz sześćdziesiąt pięć podkładek instruktorskich²⁸.

²⁴ *Nefryty* - seria jachtów zatokowych oparta na projekcie Wacława Liskiewicza i Edmunda Rejewskiego z 1971., źródło: <https://pl.wikipedia.org>

²⁵ drugi oficer - trzeci w hierarchii oficer na statku, dyplomowany członek wachty nawigacyjnej na statku, wachta: część załogi pełniąca służbę, wachta nawigacyjna odpowiada za prawidłowe sterowanie i wykonywanie manewrów, stałą obserwację stanu jachtu i sytuacji na morzu, prowadzenie nawigacji, źródło: www.seaman.pl

²⁶ trzeci oficer - czwarty w hierarchii oficer na statku, dyplomowany członek wachty nawigacyjnej, przydzielona funkcja: oficer nawigacyjny, inne obowiązki uzależnione od decyzji kapitana lub armatora, źródło: www.seaman.pl

²⁷ *bukszpryt* - stalowe lub drewniane drzewce poziomo lub ukośnie osadzone w dziobowej części statku żaglowego, służy do mocowania lin, źródło: <https://marynistyka.pl>

²⁸ podkładowki instruktorskie pod Krzyżem Harcerskim wraz z lilijką na lewym rękawie munduru są oznaką stopnia instruktorskiego: podkładka granatowa i granatowa lilijka - stopień przewodnika, podkładka zielona i zielona lilijka - stopień podharcmistrza, czerwona podkładka i czerwona lilijka - stopień harcmistrza, źródło: *Uchwała nr 43 XXXVIII Rady Naczelnej ZHP z dnia 2 października 2016 w sprawie systemu stopni instruktorskich*; w latach 1969 – 1982 funkcjonował stopień organizatora oznaczany białą podkładką oraz stopień harcmistrz Polski Ludowej oznaczany podkładką biało-czerwoną, źródło: <https://pl.wikipedia.org>



Obóz 37. ŻDH. Fot. z archiwum Piotra Obłozy



Andrzej Koprowski

Fot. z archiwum Andrzeja Koprowskiego



Piotr Obłozza

Fot. z archiwum Piotra Obłozy

Wspomina Anna Morawska - Ryll

Opowieść o Marii i Konstantym

Wśród przechowywanych przeze mnie pamiątek rodzinnych jest *Księga pamiątkowa* mojego taty, Konstantego Morawskiego. Wpisywali się do niej przyjaciele, rodzina, znajomi, współpracownicy. W związku z licznymi tatą wyjazdami zagranicznymi na sympozja i konferencje lekarzy weterynarii są wpisy w języku niemieckim, czeskim, węgierskim, bułgarskim, rosyjskim.

Z czasów, gdy tata jako parlamentarzysta przyjmował zagraniczne delegacje, jest wpis księżniczki Królestwa Nepalu oraz delegacji lekarzy weterynarii z Indii. Tata prowadził tę *Księgę* przez ponad trzydzieści lat, pierwsze wpisy są datowane na rok 1957. Przeglądam pożyłkę karty, staram się odczytać teksty i dzięki nim lepiej poznaję mojego tatę.

Mój tata od lat czterdziestych do siedemdziesiątych pracował w Piasecznie jako lekarz weterynarii, był powiatowym lekarzem weterynarii, kierownikiem powiatowego zarządu weterynarii, uczył w Technikum Rolniczym w Chyliczkach. Niewiele osób w mieście wiedziało, a dzisiaj jest tych osób zapewne jeszcze mniej, że w latach 1957-1965 tata był bezpartyjnym posłem na sejm dwóch kadencji.

Legitymacja poselska
Konstantego Morawskiego.
z archiwum
Anny Morawskiej-Ryll



Tata pochodził z Ciechanowa. Miał dwanaście lat, gdy zmarł jego ojciec. Przed śmiercią zobowiązał syna do opieki nad matką i trojgiem młodszego rodzeństwa. Tata całe życie wywiązywał się z danej wówczas obietnicy. Studiował weterynarię na SGGW, jednocześnie w każdej wolnej chwili udzielał korepetycji, a wszystkie pieniądze oddawał swojej mamie. Służbę wojskową odbył w Wołyńskiej Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii w oddziale szkolnym Służby

Weterynaryjnej we Włodzimierzu Wołyńskim, brał udział w kampanii wrześniowej w 1939 roku, ale nic o tym okresie taty życia nie wiem. Opowiadał jedynie moim dzieciom, że w czasie walk znalazł niemiecki hełm i wiedziony odruchem założył go na głowę zamiast własnej, oficerskiej czapki. Było to w trakcie nalotu, bomba rozerwała się tuż przy tacie, został poraniony, ale hełm uratował mu życie. Wspominał też, że dzięki pomocy jakiejś harcerki uniknął wywózki do Katynia. To było gdzieś w obozie przejściowym dla oficerów, dziewczyna przyniosła tacie cywilne ubranie, tata mundur wrzucił do *sławojki*¹, broń zakopał i udało mu się wyjść z tego obozu. Niestety, nie wiadomo, gdzie i kiedy działy się te historie. Wnuki były za małe, aby dopytywać o szczegóły, a my, dzieci, zajęci byliśmy budowaniem swojego życia. Jedynym śladem naprowadzającym nas na taty wojenne przeżycia są umieszczone w księdze słowa: *W dwudziestolecie spotkania się z towarzyszem broni kol. pośłem Dr. Morawskim mogę stwierdzić z pełną satysfakcją, że ówczesny mój wychowanek wojskowy nie zawiódł moich nadziei i stał się moją chlubą jako też chlubą całego naszego zawodu. 25. II. 59. Dr. L. Niemczycki, były szef ambulansu wet. wojskowego w Rembertowie (rok 1939).*

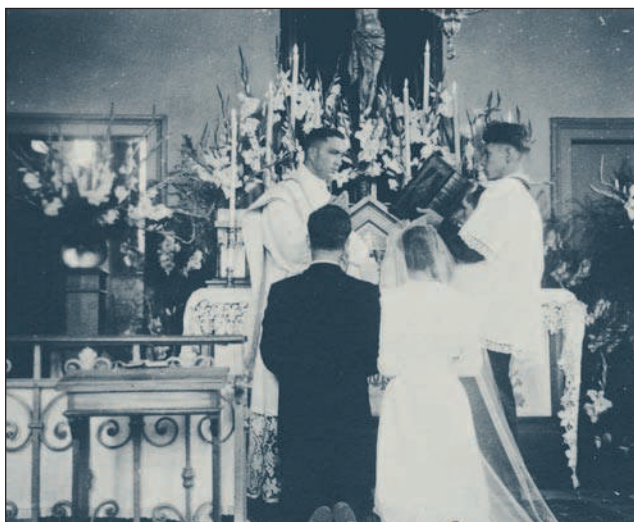
Wiem natomiast, że dom przy Rejtana tata kupił w czasie okupacji. Zamieszkał w nim ze swoją mamą i rodzeństwem. Pracował jako lekarz weterynarii i dzięki temu poznał swoją przyszłą żonę.

Moja mama, Maria z Kępińskich, pochodziła z zamożnego, ziemiańskiego domu, patriotycznego i katolickiego. Jej rodzice, Maria i Władysław Kępińscy, byli właścicielami majątku w Moszczanicy. Piękny, moszczanicki dwór odwiedzali sławni ludzie, gościem był m. in. Marszałek Józef Piłsudski.

Młoda Maria studiowała rolnictwo na SGGW. Podczas studiów miała praktyki w Szkole Gospodarstwa Wiejskiego w Chyliczkach. Tata przyjechał tam badać owce i przy tych owcach się poznali. Pobili się w 1944 roku w Chyliczkach i zamieszkali w domu przy Rejtana. Kolejno przychodzili na świat dzieci: Andrzej, Wojtek, Tomeczek i ja.

Ślub Marii z Kępińskich
i Konstantego Morawskiego,
Chyliczki, 15 sierpnia 1945 r.

Fot. z archiwum
Anny Morawskiej-Ryll



¹ *sławojka* - drewniana ubikacja podwórzowa, źródło: *Słownik języka polskiego* pod red. W. Doroszewskiego

Tomeczek umarł przed moim urodzeniem. Miał trzy lata, gdy zachorował na zapalenie wyrostka robaczkowego. Do dziecka przyjechał taty znajomy, doktor Jagielski z Zalesia. Niestety, zbagatelizował objawy choroby. Gdy po wizycie lekarza stan zdrowia Tomeczka pogarszał się, tata zadzwonił do pana Jagielskiego prosząc, by przyjechał ponownie. *Moja moja żona bardzo się denerwuje* - powiedział tata w rozmowie. W odpowiedzi usłyszał: *Daj swojej żonie coś na uspokojenie*. Ostatecznie mój braciszek trafił do szpitala w Warszawie, ale było już za późno. To było straszne przeżycie dla moich rodziców, mama długo cierpiała i dopiero moje narodziny pomogły jej pogodzić się ze stratą.

Maria i Konstanty Morawscy,
Piaseczno, ul. Rejtana 15,
15 sierpnia 1945 r.
Fot. z archiwum
Anny Morawskiej-Ryll



Tata był skoncentrowany na życiowych kwestiach praktycznych, zapewniał rodzinie spokojny dom i dostatnie życie. Pamiętam go zawsze zajętego. Jako weterynarz zajmował się leczeniem dużych zwierząt gospodarczych, był jednoosobowym pogotowiem weterynaryjnym dla Piaseczna i okolicznych wiosek, bo do chorych zwierząt jeździł także w niedziele i święta. Gdy tylko było to możliwe zabierał mnie ze sobą i byłam dumna z wyróżnienia. Nie wiem, dlaczego bracia nie jeździli z tatą w teren. Jako inspektor sanitarny prowadził nadzór nad dopuszczeniem mięsa do handlu, a mama była zatrudniona jako trychinoskopistka². Pracował w biurze weterynaryjnym, które było w małej przybudówce obok domu, być może to z tego okresu pochodzi wpis w księdze pamiątkowej dokonany w czerwcu 1959 roku przez pracownice powiatowego zakładu weterynarii panie: Krystynę Sekułę, Krystynę Rodowiczową i Zofię Hulanicką: *W czasie wielu lat wspólnej pracy (...) miałyśmy niezliczone dowody Jego dobrego serca, które reaguje spontanicznie na cudzy ból. Z kolei również dziękujemy za zaufanie, jakim nas Pan Doktor zawsze obdarza i mamy nadzieję, że przyjaźń nasza nie ulegnie nigdy zmianie.*

O taty dobrym sercu wspomina wiele wpisujących się do księgi osób. Z wycieczki, na którą moi rodzice pojechali w 1973 roku przywieźli wierszyk autorstwa współtowarzyszki podróży: (...) *ona jest urocza, on – sekret zdradzić mam ochotę – na zewnątrz srogi, wewnątrz serce*

²Trychinoskopia - badanie mięsa zwierząt rzeźnych pod mikroskopem w celu wykrycia trychin. Trychiny: (włosnie) pasożytnicze nicienie wywołujące u ssaków chorobę zwaną włośnicą, źródło: *Słownik języka polskiego* pod red. W. Doroszewskiego

złote. I to była prawda. Mama była uroczą, powściągliwą, spokojną, opanowaną – po prostu dama. Tata był bardzo emocjonalny: szybko wybuchał i równie szybko jego złość, czy gniew mijały, łatwo się wzruszał, potrafił wykazać się niezwykłą troską. Naszą ukochaną babusię, już jako wiekową panią, przy ładnej, letniej pogodzie na rękach nosił do ogrodu, sadzał w fotelu, w razie potrzeby okrywał kocem. Gdy mama była chora, potrafił zdjąć buty w korytarzu i na palcach przechodzić obok pokoju, w którym spała.

Maria Kępińska, Piaseczno,
ul. Rejtana 15, rok 1944

Fot. z archiwum

Anny Morawskiej-Ryll



Dużo czasu tata spędzał w swoim gabinecie, przygotowując przemowy wygłaszane podczas posiedzeń sejmowych, pisma związane z pracą społeczną w Stowarzyszeniu Inżynierów i Techników Rolnictwa³, Naczelnej Organizacji Naukowej⁴, Zrzeszeniu Lekarzy Weterynarii, Międzynarodowym Stowarzyszeniu Weterynarii. Przez wiele lat, jako sekretarka, pracowała u taty pani Krysia Szube. Jej siostra Ala, była pielęgniarką, mieszkały na Rejtana. Pani Krysia była przemiłą osobą, pogodną, życzliwą. Przez lata pracy z tatą bardzo zżyła się z naszą rodziną i traktowaliśmy ją jak kogoś bliskiego.

Z przykrością muszę przyznać, że o poselskiej pracy taty również wiem niewiele. Nasz dom był patriotyczny, katolicki, ale przy nas rodzice nie omawiali kwestii politycznych, nie rozmawiali o trudnych sprawach związanych z taty sytuacją ze względu na bezpieczeństwo rodziny. Do

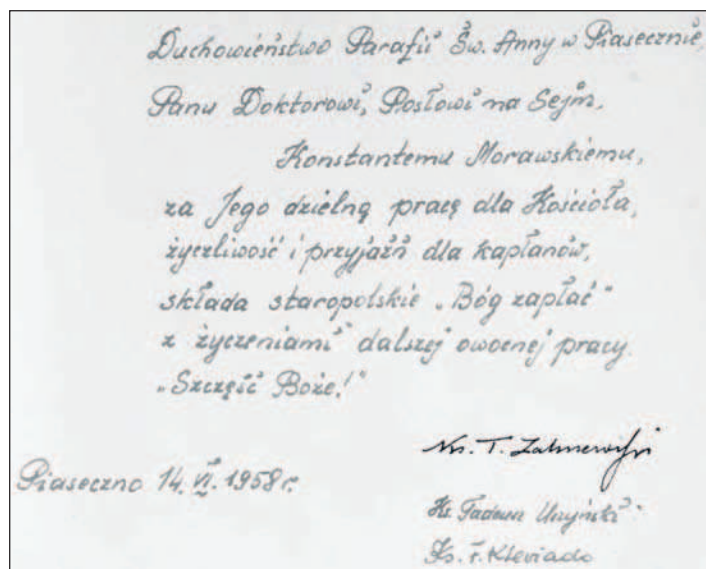
³ Stowarzyszenie Naukowo-Techniczne Inżynierów i Techników Rolnictwa (SITR) - organizacja przedstawicielska inżynierów i techników w dziedzinie rolnictwa. SITR jest członkiem Federacji Stowarzyszeń Naukowo – Technicznych NOT, źródło: <http://enot.pl>

⁴ Naczelna Organizacja Techniczna (NOT) - obecnie Federacja Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych NOT, największa organizacja skupiająca polskie i polonijne środowisko inżynierów i techników różnych specjalności, źródło: <http://enot.pl>

szkoły podstawowej chodziłam do *Krauzówki*⁵ w Zalesiu Dolnym. W mojej wspaniałej szkole indoktrynacji partyjną ideologią nie było, ale i tak musieliśmy przygotowywać się do pochodów pierwszomajowych. Wyćwiczonym marszowym krokiem przechodziliśmy przed trybuną honorową, na dany znak machając państwowym oficjelom. Wśród nich stał też mój tata i wtedy byłam z tego bardzo dumna. Dopiero po latach zrozumiałam, co musiał czuć, przy jego przekonaniach, stojąc obok przedstawicieli partyjnych i patrząc na maszerującą w pochodzie, roześmianą ukochaną córkę.

Gdy tatę poproszono, by został posłem na Sejm, z racji swoich antykomunistycznych przekonań długo zastanawiał się, czy przyjąć propozycję. Po radę skierował się do człowieka, którego szanował i podziwiał, a poza tym miał z nim powiązania rodzinne, do kardynała Stefana Wyszyńskiego⁶. Podczas audiencji kardynał zachęcił tatę do kandydowania mówiąc, że jest to okazja do czynienia dobra, nawet w tak trudnej sytuacji politycznej.

Kilka miesięcy później, na prośbę prymasa Stefana Wyszyńskiego, tata z wielkim trudem i po wielu zabiegach, uzyskał u kierownika biura wyznań, ministra Roszaka, zgodę na wizę dla wikariusza w piaseczyńskiej parafii, księdza Adama Janusza Frankowskiego. Dzięki temu ksiądz mógł wyjechać na studia do Rzymu. Ksiądz Frankowski studiował w Rzymie teologię biblijną, po powrocie do Polski był wykładowcą na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, uzyskał habilitację z nauk biblijnych, wiele lat pracował nad nowym opracowaniem Biblii Jakuba Wujka, napisał szereg podręczników dotyczących wiedzy biblijnej. W księdze znajduje się wpis skreślony jego ręką w przeddzień wyjazdu, 29 grudnia 1957 roku: *Podziękowanie moje wypowiadam z głęboką świadomością, że dopomógł mi Pan Poseł w sprawie, która ma chyba przełomowe znaczenie w moim życiu.*



Wpis w Księdze Pamiątkowej prowadzonej przez Konstantego Morawskiego. z archiwum Anny Morawskiej-Ryll

⁵ *Krauzówka* - popularna nazwa Szkoły Podstawowej w Zalesiu Górnym, której założycielką i pierwszą dyrektorką była Ewa Krauze (1914 – 2002), źródło: www.zalesie-dolne.pl

⁶ Kardynał Stefan Wyszyński (1901-1981) - prymas Polski w latach 1948 – 1981, aresztowany w 1953 roku przez władze PRL przebywał w miejscach internowania do października 1956 roku, źródło: www.kul.pl

W sejmie tata pracował dwukrotnie w komisji rolnictwa i przemysłu spożywczego i w czasie jednej kadencji w komisji zdrowia i kultury fizycznej. We wpisach pracujących z tatą parlamentarzystów oraz kolegów lekarzy powtarzają się słowa uznania za wyteżoną pracę, jest mowa o parlamentarzystcie niezłomnie broniącym spraw i godności zawodu weterynarza. *Jest wielką otuchą mieć kolegę, który w sposób ujmujący i bezstronny rozumnie rozważa wszelkie sprawy związane z naszą pracą, która nie zawsze jest doceniana w społeczeństwie* - napisał lekarz weterynarii Tadeusz Czermiński. W domu przy Rejtana gościł kolega taty ze studiów, Stanisław Szczypiorski i zostawił w księdze taki wpis: *uczciwość, pracowitość, solidność, bezinteresowność – po trzydziestu latach przyjaźni wiem, że na tobie zawsze można polegać i tego zaufania nie zawiedziesz*. Poseł profesor Zygmunt Nowakowski z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu cenił u taty *cywilną odwagę, poszanowanie prawdy i głęboką troskę o losy Kraju*. Myślę, że te cechy charakteru sprawiły, że tata był wieloletnim członkiem sądu koleżeńskiego w NOT oraz zajmował się kształtowaniem etyki zawodowej techników.

Nie wiem, na ile to było rzeczywiste, ale tata uważał, że jako bezpartyjny poseł ma telefon na podsłuchu, że mieszkający obok milicjant ma obserwować nasz dom. Być może tata miał w pewnym stopniu rację. Gdy mój dorosły już brat, Andrzej, z początkiem lat siedemdziesiątych wyjechał do Stanów, listy od niego zawsze dostawaliśmy zafoliowane, z otwartą kopertą i adnotacją: *przesyłka przyszła z zagranicy uszkodzona*.

Tata pracował zapewniając rodzinie stabilną sytuację finansową, a mama prowadziła dom i zajmowała się wychowywaniem dzieci. Mimo rozlicznych obowiązków znajdowała czas, by jeździć do Warszawy na spotkania do Klubu Inteligencji Katolickiej⁷, w którym należała do sekcji filozofii współczesnej.

Maria Kępińska i Konstanty Morawski,
Piaseczno, ul. Rejtana 15, rok 1944
Fot. z archiwum Anny Morawskiej-Ryll



⁷ Klub Inteligencji Katolickiej - powstałe w 1956 r. niezależne od władz państwowych i hierarchii kościelnej stowarzyszenie skupiające osoby, które pragną świadomie przeżywać powołanie katolików świeckich, źródło: www.kik.waw.pl

Z czasów dzieciństwa pamiętam, że nasz dom tętnił życiem. Odbływały się przygotowywane przez mamę przyjęcia, spotkania towarzyskie, obiady. Pamiętam, że nikt z gości nie palił u nas papierosów. Tatuś należał do towarzystwa antynikotynowego i nie tolerował palaczy. Przychodzili do nas państwo Szwejkowscy, państwo Grąbczewscy, często przyjeżdżali goście z Warszawy. Państwo Grąbczewscy mieszkali w Dąbrówce pod Piasecznem, prowadzili uprawę róż. Ciocia Jadwiga Grąbczewska jeździła do Anglii na wystawy róż. Była na audiencji u królowej Elżbiety II i opowiadała, jak uczyła się etykiety i sposobu składania ukłonu. Rodzice przyjaźnili się z panią Świtalską, żoną premiera II RP Kazimierza Świtalskiego⁸, bliskimi znajomymi byli państwo doktorostwo Koperscy. Do grona przyjaciół mojego taty należał też pan Formański, doktor weterynarii. Często odbywały się spotkania rodzinne. Po jednym z nich został w *Księdze* uczyniony przez babcię Marię Kępińską wpis: *Zięć – unikat, tak przyjmuje moich gości, jakby był mój syn rodzony. Gość w dom – Bóg w dom, więc pamięta, że gościnność to rzecz święta, bo jest w Polsce urodzony*. Gościem, który odwiedził nasz dom w maju 1962 roku była arcyksiężna Alicja Habsburg, bratanica króla Szwecji. Jej obecność wzięta się stąd, że rodzina ze strony mojej mamy była z Habsburgami⁹ zaprzyjaźniona.



Uroczystość I Komunii Świętej Anny Morawskiej, stoją od lewej: Konstanty, Anna, Maria, Wojciech Morawscy, w głębi: Andrzej Morawski, Piaseczno, ul. Rejtana 15

Fot. z archiwum Anny Morawskiej-Ryll

W wychowywaniu nas mama szczególną uwagę zwracała na sprawy religijne. Moi bracia byli ministrantami, ja należałam do bielanek i uczestniczyłam w procesji Bożego Ciała. Już w maju chodziłyśmy z mamą na pola żabienieckie, zbierałyśmy główki kwitnących kwiatów i suszyłyśmy na płachtach szarego papieru. Kolorowe kwiatowe płatki sypałam potem w czasie czerwcowej uroczystości. W czasie mojego wczesnego dzieciństwa w domu odprawiano nabożeństwa majowe i czerwcowe. Był ołtarzyk zrobiony przez mamę, klęczeliśmy przed nim śpiewając pieśni i modląc się. Przyznaję, że czasem zakłócałam wzniosłą atmosferę, bo byłam śmieszką, którą bawiła powaga chwili.

⁸ Kazimierz Stanisław Świtalski (1886-1962) - polityk, major rezerwy piechoty Wojska Polskiego, w czasie II RP marszałek Senatu i Sejmu, premier, 1939 – 1945 w niewoli niemieckiej, 1948 – 1956 więziony przez władze PRL (II RP: Rzeczpospolita Polska 1918 – 1939), źródło: www.wiking.edu.pl

⁹ Habsburgowie - dynastia niemiecka zapoczątkowana pod koniec XIII w. przez króla Rudolfa I, przez kilka stuleci Habsburgowie panowali m. in. w Austrii, Czechach, Hiszpanii, na Węgrzech, źródło: encyklopedia.pwn.pl

Mama miała jeszcze jedno ważne zadanie do spełnienia, wręcz misję. Tatę, przyzwyczajonego w dzieciństwie do oszczędzania i pomijania własnych potrzeb, trudno było przekonać do zakupu nowego ubrania. Mama często wymuszała na nim kupno odzieży. Mimo trudnych doświadczeń z dzieciństwa i młodości tata nigdy nie oszczędzał na rodzinie. Bardzo wcześnie, bo już na początku lat sześćdziesiątych, kupił do domu telewizor. Oglądaliśmy zamach na Kennedy'ego, a później lądowanie na księżycu. Przez długie lata mieliśmy samochód *warszawę*, którą tata jeździł w teren i na wakacje. Jeździliśmy co roku nad morze, ale rzadko spędzaliśmy wakacyjny czas z tatą. Odwoził nas i wracał do pracy, przyjeżdżając jedynie w odwiedziny.

Mam zabawne wspomnienie z jednego ze wspólnych powrotów z wakacji wiążące się z tatą zamiłowaniem do kur. Odkąd pamiętam w ogrodzie był wydzielony wybieg i zawsze mniejsze lub większe stado tego ptactwa tam się kręciło. Tata jak zwykle przyjechał po nas nad morze i pewno kupił kurę, która z jakiegoś powodu zwróciła jego uwagę. W drodze do domu kurę na kolanach trzymała nasza gospoia, pani Kasia. Kokoszka poczuła się chyba jak w swoim gnieździe, bo w czasie jazdy zniosła jajko.

Mój dom rodzinny przy ulicy Rejtana, dom, w którym przeżyłam wspaniałe dzieciństwo i młodość, stoi niezmieniony, ale od dawna żyje cudzym życiem. Pod koniec lat siedemdziesiątych moi rodzice sprzedali go i przeprowadzili się do Konstancina. Mogę jedynie we wspomnieniach zaglądać na strych, na którym stały skrzynie ze starymi książkami. Jako dziecko rozmiłowane w czytaniu zakradałam się nocą na strych i godzinami czytałam książki oświetlając sobie kartki świeczką. Cud, że nie zaproszyłam ognia, a drugi cud, że nikt mnie na tym nie przyłapał. We wspomnieniach jedynie mogę wracać na olbrzymi taras na piętrze, na który wychodziło się z pokoju moich braci. To na tym tarasie grywałam w halme¹⁰ z babcią Marią Kępińską, gdy przyjeżdżała do nas z Krakowa. We wspomnieniach zbiegam z piętra po szerokich drewnianych schodach, wchodzę do pokoju jadalnego z dwoma wielkimi oknami zamykanymi wewnętrznymi okiennicami z ciężkimi metalowymi sztabami. Z pokoju wystarczy przejść kilka kroków przez małą werandę, by znaleźć się w ogrodzie, w którym stoją dwa olbrzymie srebrne świerki, latem kwitną



floksy, ostróżki, zielenieje trawnik, rosną drzewa owocowe, krzaki czerwonych i czarnych porzeczek, z których mama co roku robiła wspaniałe galaretki. Wspominam to wszystko siedząc przy okrągłym, dużym stole, tym samym, który dawniej stał w pokoju jadalnym w domu przy Rejtana, a dziś służy mnie, moim dzieciom i wnukom. Nie ma dziś srebrnych świerków, wycięto olbrzymie tuje tworzące rozrośniętą pergolę i krzaki porzeczek. Przetrwało kilka drzew owocowych z tzw. drugiego ogrodu, położonego z tyłu naszego domu. Dzisiaj na tej działce zbudował dom mój syn. Rodzina Morawskich wróciła do miasta, w którym przez dziesięciolecia żyli moi rodzice.

Anna Morawska-Ryll

Fot. z archiwum Anny Morawskiej-Ryll

¹⁰ Halma - gra planszowa rozgrywana na kwadratowej szachownicy złożonej z dwustu pięćdziesięciu sześciu pól, źródło: www.edugracja.pl

Wspomina Grażyna Natorska

Opowieść o skromnych, wielkich ludziach

W moim domowym archiwum pieczętówce przechowuję rodzinne zdjęcia i dokumenty, cenię każdą pamiątkę po moich przodkach i nie ma dla mnie znaczenia, jaką ona ma wartość materialną. Najmniej pamiątek zachowało się po moim dziadku, artyście malarzu, Flawianie Wieczorkiewiczu. Jeszcze w latach pięćdziesiątych na strychu naszego rodzinnego domu w Piasecznie przy ulicy Kauna¹ stało dużo prac mojego dziadka. Pewnego letniego dnia odwiedził babcię jakiś mężczyzna i zaproponował, że zajmie się sprzedażą obrazów. Wystawili je do ogrodu, ten pan wybrał około osiemdziesiąt prac, odjechał z nimi i już nigdy się nie pojawił. Trochę obrazów było u mojej mamy, kilka u brata, kilka u mnie. Siostra mojej mamy też miała obrazy dziadka, ale prace przeszły w ręce jej, mieszkającej w Niemczech, przyjaciółki.

Przed domem Zofii i Flawiana
Wieczorkiewiczów, od lewej stoi:
Zofia Wieczorkiewicz,
Piaseczno, ul. Kauna 22,
lata trzydzieste XX w.

Fot. z archiwum
Grażyny Natorskiej



Dziadek Wieczorkiewicz pochodził z wielodzietnej rodziny. Miał siedemnaście lat, gdy wyjechał do Paryża. Miał szczęście, bo trafił tam na dobrych ludzi, którzy dostrzegli jego talent i umożliwili mu naukę na studiach malarskich. Dziadek wrócił do kraju, zamieszkał w Warszawie, wykładał na Akademii Sztuk Pięknych, uczył rysunku w Szkole Rzemiosł prowadzonej przez Muzeum Rzemiosł i Sztuki Stosowanej² i malował obrazy.

¹ W latach trzydziestych XX w. Kauna 22, w latach późniejszych 28

² Muzeum Rzemiosł i Sztuki Stosowanej: powstało w 1891 r., sfinansowane przez H. Wawelberga, przy Muzeum działała rzemieślnicza Szkoła Sztuk Zdobniczych z kursami rysunku, malarstwa i sztuki stosowanej, placówki utrzymywane ze składek członkowskich oraz darowizn, działały do 1935 r., źródło: <http://mbc.cyfrowemazowsze.pl>: Sprawozdanie Muzeum Rzemiosł i Sztuki Stosowanej w Warszawie za czas od 1 lipca 1905 do 30 czerwca 1906 r. oraz <http://muzeumpamieci.umk.pl>

Zofia Wieczorkiewicz
z córkami, Hanią (z lewej)
i Bronią (z prawej), Piaseczno,
lata trzydzieste XX w.
Fot. z archiwum
Grażyny Natorskiej



W Warszawie dziadek poznał Zofię Fabierkiewicz, moją babcię. Fabierkiewiczze przyjechali do stolicy ze wschodnich terenów kraju. Pozakładali sklepy apteczne, pobudowali kamienice, siostra mojej babci była pierwszą kobietą w stolicy posiadającą prawo jazdy i prowadzącą auto. Podobno nie byli zachwyceni, że mężem Zofii ma zostać artysta bez majątku. Dziadek nie był taki biedny, skoro stać go było na kupno ładnego, przypominającego dworek polski, domu w Piasecznie. Dziadkowie osiedlili się w nowym domu w latach dwudziestych, tu przyszły na świat ich dwie córki: Hanna i Bronisława - moja mama.

Zofia i Flawian
Wieczorkiewiczowie,
lata trzydzieste XX w.
Fot. z archiwum
Grażyny Natorskiej



Dziadek zmarł na atak serca w styczniu 1930 roku. Z jego śmiercią wiąże się niesamowita historia. Tego dnia babcia Zofia z Hanią, która miała wtedy cztery lata, wracały ciuchcią z Warszawy. W pewnej chwili Hania zerwała się z siedzenia z radosnym okrzykiem: *Tata! Tata jest!*, by za chwilę ze łzami w oczach powiedzieć: *Nie ma taty*. Babcia, racjonalna i daleka od wiary w zjawiska metafizyczne, przyznawała, że uspokajając płaczącą Hanię czuła silny niepokój o męża. Gdy wrócili do domu dziadek nie żył.

Babcia miała rentę po dziadku, udzielała korepetycji, uczyła języków obcych, a znała doskonale rosyjski, francuski, angielski i niemiecki, uczyła grać na fortepianie. Trzy lub dwa lata przed

wojną dla podratowania budżetu babcia wynajęła pokój lokatorowi. I to jest kolejna dziwna historia opowiadana w naszej rodzinie. Ponoć babcia wynajmowała pokój mężczyźnie, który był niemieckim szpiegiem. Ten pan przyszedł któregoś dnia do babci mówiąc, że chciałby wynająć u niej pokój, bo szuka spokojnego, eleganckiego miejsca do zamieszkania, a dom spełnia wszystkie jego oczekiwania. Pan mówił doskonale po polsku i równie dobrze po niemiecku, lubił długie wycieczki łódką po Jeziorce albo wyjazdy do Warszawy. Wszędzie zabierał ze sobą aparat fotograficzny i robił mnóstwo zdjęć. Tuż przed wojną niepodziewanie wyjechał z Piaseczna.

Gdy wybuchła wojna skończyły się korepetycje i nauka języków, babcia straciła rentę i została bez środków do życia. Dużą pomoc miała ze strony rodziny, sama też starała się zarabiać na życie, robiła na przykład pończochy na drutach i sprzedawała je na piaseczyńskim targu. Pod koniec wojny miało miejsce niebezpieczne dla mojej mamy i cioci zdarzenie. Uratowało je oprowadzenie mojej babci i to, że matka mojego dziadka Flawiana była z domu Scholtz.

Niemcy wywozili polską młodzież na przymusowe roboty. Niemieckie urzędy pracy wysyłały do młodych ludzi imienne wezwania a za niestawienie się na wezwanie odpowiedzialność ponosiła cała rodzina. Karą było wywiezienie do obozu koncentracyjnego a nawet śmierć. Były też prowadzone *łapanki*³. Młodych ludzi wyłapywano na ulicach albo z domów. W Piasecznie też były przeprowadzane takie akcje.



Grupa przyjaciół z Piaseczna; środkowe górne zdjęcie - Bronia Wiczorkiewicz, od lewej zdjęcie czwarte od góry - Hania Wiczorkiewicz, prawdopodobnie lata czterdzieste XX w. Prosimy Czytelników o pomoc w rozpoznaniu osób na zdjęciu i kontakt w tej sprawie z wydawcą: Urząd Miasta i Gminy Piaseczno - tel. 22 70 17 650.

Fot. z archiwum Grażyny Natorskiej

³ *łapanka* - jeden z głównych stosowanych przez Niemców podczas II wojny światowej sposobów na zatrzymanie jak największej liczby przypadkowych osób celem ich uwięzienia, umieszczenia w obozach koncentracyjnych, rozstrzelania lub wywiezienia na przymusowe roboty do Niemiec, źródło: <https://wikipedia.org/pl>

Któregoś dnia Niemcy przeszukiwali domy przy naszej ulicy wyłapując młodzież. Sąsiedzi uprzedzali się wzajemnie o niebezpieczeństwie i któryś z nich wpadł do babci domu mówiąc: *chowaj dziewczyny, Niemcy idą*. Dziewczyny, czyli Bronia z Hanią, schowały się gdzieś, a żołnierzom drzwi otworzyła babcia. Gdy tylko weszli do domu zaczęła do nich ostro krzyczeć po niemiecku: *Jak śmiecie tu wchodzić i niemieckie kobiety zabierać, my jesteśmy z domu Scholtz!* Machała przy tym przed zdezorientowanymi Niemcami wyciągniętymi w pośpiechu dokumentami. Widać miała ogromną siłę perswazji, bo Niemcy wyszli nie przeszukując domu. Sytuacja była tym bardziej niebezpieczna, że obie dziewczyny należały do Armii Krajowej.



Grupa przyjaciół z Piaseczna; prawdopodobnie lata czterdzieste XX w. Prosimy Czytelników o pomoc w rozpoznaniu osób na zdjęciu i kontakt w tej sprawie z wydawcą: Urząd Miasta i Gminy Piaseczno - tel. 22 70 17 650.
Fot. z archiwum Grażyny Natorskiej

Moja ciocia Hania brała udział w Powstaniu Warszawskim, miała pseudonim *Hanka*⁴. Przez kilka pierwszych dni była na Ochocie przy ulicy Filtrowej jako sanitariuszka w szpitalu powstańczym, a potem do trzeciego października walczyła w oddziałach bojowych Grzymały⁵. Tyle wiem, i to nie od cioci, a z książki o Powstaniu. Poza tym wiem, że moja babcia bardzo cierpiała, bała się o córki, ale nie sprzeciwiała się ich zaangażowaniu w konspirację.

Zaraz po wojnie babcia otworzyła razem z jedną ze znajomych par, mały sklepik z artykułami galanteryjnymi. Po dość krótkim czasie panie zrezygnowały ze spółki i babcia zaczęła sama prowadzić sklep przy ulicy Sienkiewicza. Pod koniec lat pięćdziesiątych drewniany dom, w którym mieścił się sklep, został zburzony, a babcia przeniosła się do lokalu po drugiej stronie ulicy, do kamienicy państwa Rowińskich.

Sklepik tam był malutki z niedużą witryną, w której wisiał szyld: *Pasmanteria i galanteria. Zofia Wieczorkiewicz*. Wewnątrz była lada z ciemnego drewna, szafki ze zdobionymi szufladkami. Leżały w nich guziki, po które przychodziły krawcowe z całego Piaseczna. Najlepszy handel był w dni targowe, gdy kobiety z okolicznych wsi kupowały kordonki, kanwy do haftowania. Agraftki, haftki, igły i inne drobiazgi sprzedawało się wtedy na sztuki. Były różne zabawki, a wśród nich oczywiście lalki. Była lalka-Murzynka, której nikt nie chciał kupić, chyba że dwa lata leżała na półce. I ja o tę lalkę babcię poprosiłam. Pamiętam, że babcia była zdziwiona wyborem zabawki, ale od razu mi ją sprezentowała. Kochałam tę lalkę, choć od babci dostawałam dużo innych, droższych i ładniejszych zabawek. Babcia była szczodra w obdarowywaniu rodziny, mój tata uważał, że wręcz rozrzutna. Jako uczennica piątej klasy byłam na koloniach. Gdy rodzice przysłali kolonistom dziesięć złotych to było dużo, a dwadzieścia to już ho-ho! A ja od babci dostawałam dwieście złotych. Ja też byłam szczodra jak babcia i wydałam te pieniądze w ciągu kilku dni. Cała kolonia cieszyła się z lizaków, cukierków i oranżady.

Piaseczno, ulica Sienkiewicza, kamienica Rowińskich, dzieci oglądają wystawę sklepu Zofii Wieczorkiewicz, lata siedemdziesiąte XX w.
Fot. z archiwum Grażyny Natorskiej



⁴ źródło: <http://lekarzepowstania.pl>

⁵ Pptk Mieczysław Kazimierz Sokołowski ps. *Grzymała* (1898 – 18/19 sierpnia 1944) - oficer piechoty Wojska Polskiego i Armii Krajowej, dowódca Obwodu IV Ochota Armii Krajowej, źródło: <http://encyklopedia.naukowy.pl>

Z czasem w pracy w sklepie zaczęła babcię wspomagać moja mama, a potem w naturalny sposób dołączyłam ja. Jeszcze w szkole podstawowej jeździłam na rowerze do jednej spod piaseczyńskich miejscowości do wytwórni płyt i przywoziłam je w zwykłej siatce na zakupy. To były płyty pocztówkowe albo małe winylowe, wszystkie z największymi szlagierami tamtych czasów. Zawsze mnie przy tych wyjazdach zastanawiało, że dom wytwórcy płyt jest tak skromny na zewnątrz, a przepych i bogactwo są w środku. Dzisiaj wiem, że w tamtych czasach unikało się ostentacyjnego pokazywania swojego stanu majątkowego, żeby nie wzbudzać zainteresowania władz.



Bronisława Wieczorkiewicz,
lata czterdzieste XX w.
Fot. z archiwum Grażyny Natorskiej

Po śmierci babci sklep przejęła moja mama i prowadziła go do 1980 roku. Zastanawiałam się kiedyś, skąd brała się popularność babcinego sklepu, skąd tyle dla niej sympatii, przeniesionej potem na moją mamę i na mnie. To chyba dlatego, że babcia była dobrym człowiekiem, nigdy nie szukała zysku za wszelką cenę. Czasem przyjmowała nieatrakcyjny towar, bo żał jej było dostawcy, który był w złej sytuacji finansowej. I bardzo często ci ludzie wracali z podziękowaniem, bo tamte parę złoty, które dostali, było początkiem ich dobrej passy. Obie z mamą postępowałyśmy jak babcia.

W latach dziewięćdziesiątych prowadziłam własną firmę odzieżową, pracowały w niej dziewczyny z Piaseczna i okolic. Starałam się stworzyć im spokojną, dobrą atmosferę pracy, zapewnić poczucie bezpieczeństwa i stabilność, doceniać ich zaangażowanie, chciałam stworzyć dobry, oparty na przyjaźni i zaufaniu zespół. Firma działała dziesięć lat, rozwijała się, ale naszedł czas, gdy polski rynek zalała tania, azjatycka produkcja. Małe zakłady odzieżowe, takie jak moja, nie wytrzymywały konkurencji. Musiałam firmę zamknąć. Jakiś czas temu, od przypadkowo spotkanej dawnej pracownicy, dowiedziałam się, że dziewczyny spotykają się do dzisiaj. I wszystkie bardzo dobrze wspominają pracę w mojej firmie.

Mój tata, Czesław Natorski, pochodzi spod Piaseczna. Dziadkowie Natorscy mieli gospodarstwo rolne. Zachowały się stare dokumenty dziadka z czasu wczesnego PRL-u⁶ związane z prowadzeniem gospodarstwa. Jest zawiadomienie o wymiarze daniny narodowej, orzeczenie o wymiarze obowiązkowej dostawy ziemniaków i mleka. W 1952 roku w ramach obowiązkowych dostaw ze zbiorów należało przekazać państwu sto sześćdziesiąt dwa kilogramy

⁶ Polska Rzeczpospolita Ludowa (PRL) - nazwa państwa polskiego w latach 1952-1989

zboża, a dostawy z hodowli zwierząt rzeźnych wymagały sześćdziesięciu dziewięciu kilogramów żywej trzody chlewnej. Jest pismo z 1948 roku informujące o obowiązkowym szarwarku drogowym i szkolnym. Szarwark to po prostu przymusowa, bezpłatna praca, pozostałość po pańszczyźnie. Dziadek miał do przepracowania trzy dni tzw. piesze, czyli miał do wykonania pracę bez użycia maszyn własnych, ale mógł wykupić się z tego obowiązku. Jedna dniówka kosztowała 500 zł. Szarwark zniesiono dopiero w 1958 roku. A dokumenty są ciekawe, bo widnieją na nich pieczęcie: *Gmina Wiejska Nowa Iwiczna, Prezydium Miejskiej Gminnej Rady Narodowej w Nowej Iwicznej, Gromada Rady w Żabieńcu, Samopomoc Chłopska w Piasecznie, Robotnicza Spółdzielnia Spożywców „Odrodzenie” w Piasecznie*.

Czesław Natorski,
lata czterdzieste XX w.
Fot. z archiwum Grażyny Natorskiej



Jako dziecko i jako kilkunastoletnia panna często bywałam u dziadków. Z okresu dzieciństwa pamiętam pana, który przyjeżdżał do wsi dziwnym wozem konnym, wyglądającym trochę jak zabudowana dorożka. Pan rozwoził pochodzące z jednej z piaseczyńskich piekarni pyszne rogalce, bułeczki, chleby. Zapach pieczywa czuć było w całej wsi. W latach pięćdziesiątych przez wieś dość często przechodzili żołnierze. Latem i jesienią babcia zawsze rozdawała im czereśnie, jabłka, gruszki, śliwki. *Bo to jest nasze wojsko* – mówiła. Wciąż mam przed oczami widok brukowanej drogi, maszerujących żołnierzy i moją babcię biegnącą za nimi z wysoko podkasanym fartuchem pełnym owoców.

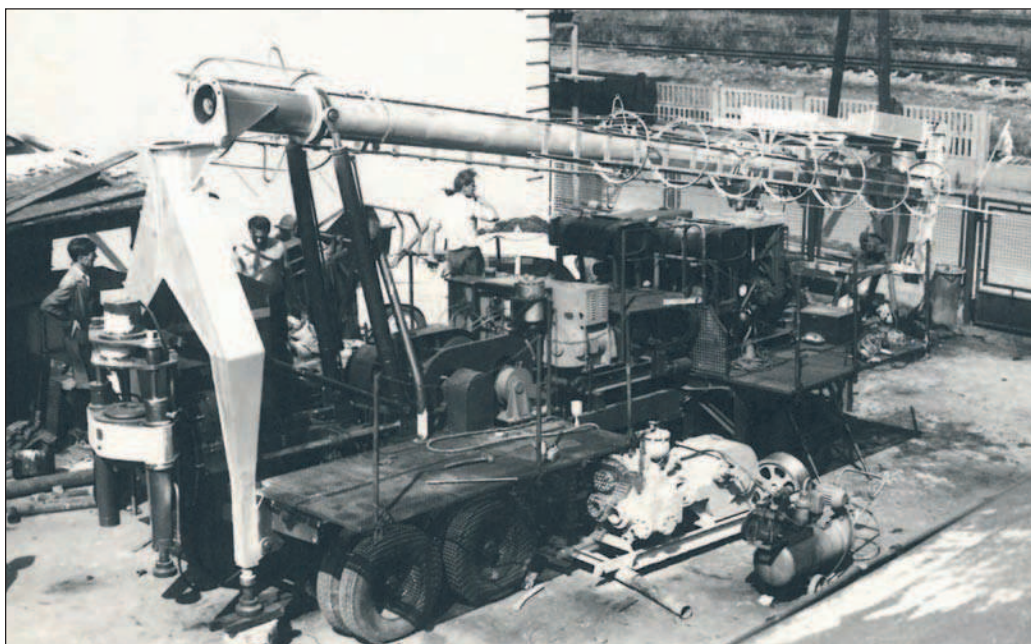
Bronisława i Czesław Natorscy,
rok 1952
Fot. z archiwum
Grażyny Natorskiej



Moi rodzice znali się chyba jeszcze z czasów wojny. Pobrali się pod koniec lat czterdziestych i byli w sobie zakochani przez całe życie. Pisali do siebie serdeczne, miłosne listy, gdy jedno wyjechało często do siebie dzwonili, co w tamtych czasach nie było takie proste jak dziś. Po ślubie rodzice na jakiś czas zamieszkali w Warszawie. W domu babci Zosi w Piasecznie pełno było wtedy narzuconych przez władze lokatorów. Skończyły się rodzinne imprezy w ogrodzie, czy wigilie na czterdzieści osób. Kilkadziesiąt lat później, po wyeksmitowaniu przymusowych mieszkańców, doprowadzony przez nich niemal do ruiny dom został wyburzony i babcia postawiła drugi.

Tata studiował na Politechnice Warszawskiej na wydziale silniki i maszyny robocze, a po ukończeniu studiów pracował w Ośrodku Badawczym Rozwoju Techniki Geologicznej i w Centralnym Biurze Obrotu Maszynami. Był niezwykle uzdolniony technicznie. Potrafił zreperować wszystko - od zegarka przez telewizor, czy lodówkę do samochodu. Nasze auto złożył z części kupowanych na giełdach samochodowych. Robił według własnych projektów meble, lampy. Mama czasem żartowała, że wyszła za niego, bo mąż, który umie wszystko w domu naprawić, to skarb.

Był przy tym bardzo skromnym człowiekiem. Słowa podziwu i pochwały kwitował stwierdzeniem: *to nic takiego, po prostu fizyka się kłania*.



Czesław Natorski (w białej koszuli) w czasie pracy przy maszynie do odwiertów, Warszawa, lata siedemdziesiąte XX w. Fot. z archiwum Grażyny Natorskiej

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych tata opatentował ogromną ilość wynalazków, m. in. urządzenie do nawiercania wgłębień w powierzchniach walcowych i kulistych, ochraniacz manometru⁷, pochłaniacz pyłu grafitowego⁸. Mimo, że nigdy nie należał do partii,

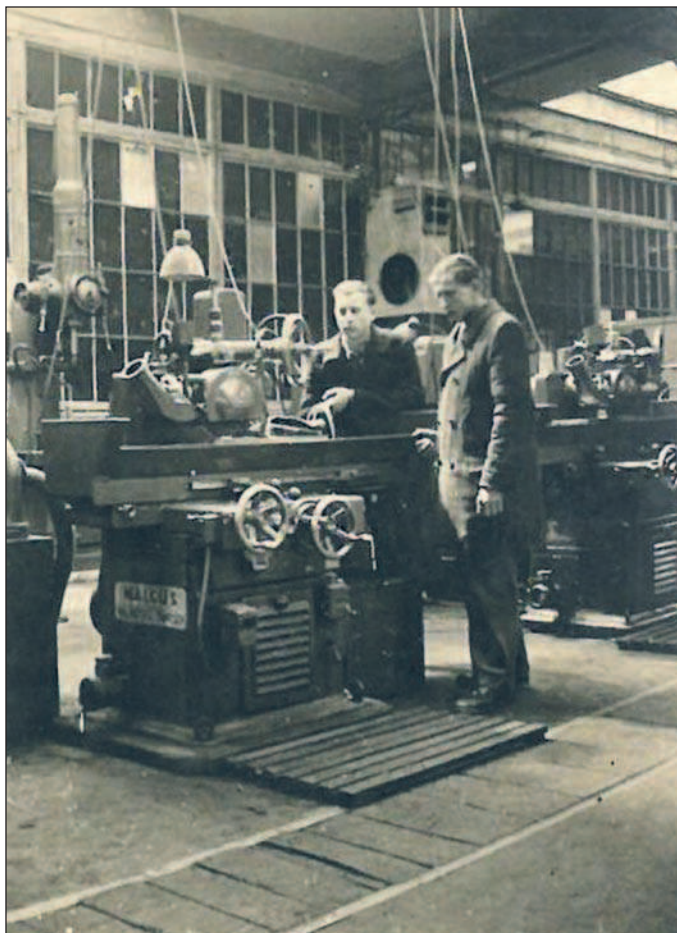
⁷ Manometr: przyrząd do pomiaru ciśnienia gazów i cieczy wyższego od ciśnienia atmosferycznego, źródło: <https://sjp.pwn.pl>

otrzymał za swoje wynalazki jako racjonalizator produkcji niezliczoną ilość dyplomów i wyróżnień. Chyba najbardziej znaczącym dla polskiej gospodarki wynalazkiem taty była technologia - tu zacytuję dokument z 1979 roku przyznający mu patent - *diamentowych narzędzi wiertniczych z odkrytymi ziarnami diamentów do wierceń geologicznych*.

Wiertła potrzebne do wierceń na bardzo dużych głębokościach Polska kupowała za granicą płacąc olbrzymie kwoty. Tata pojechał kiedyś do Francji, zwiedzał zakład produkujący takie wiertła i to go zainspirowało do pracy nad własnym wynalazkiem. Opracował technologię, która dość szybko została wdrożona do produkcji. Już przy budowie Ursynowa i metra używano polskich wiertel produkowanych według patentu mojego taty. A przy budowie Ursynowa splotły się losy rodzin, bo w projektowaniu warszawskiego osiedla brał udział znany architekt Andrzej Fabierkiewicz⁹.

Czesław Natorski (pierwszy z prawej) w czasie zajęć na Politechnice Warszawskiej, lata pięćdziesiąte XX w.

Fot. z archiwum Grażyny Natorskiej



⁸Wdychanie pyłu grafitowego przy wydobyciu grafitu oraz wykorzystywaniu go w przemyśle powoduje chorobę płuc – pylicę grafitową, <http://przemyslowyportal.pl> oraz <https://medycynapracyportal.pl>

⁹Andrzej Fabierkiewicz (1937 – 2017): architekt, urbanista, wykładowca akademicki, m. in. współautor planów zagospodarowania przestrzennego Ursynowa Południowego, Centrum Usługowego w Natolinie oraz Prawobrzeżnego Centrum Warszawy (Port Praski), źródło: www.inmemoriam.architektsarp.pl

Dziadkowie Wieczorkiewiczowie byli pochowani na starym cmentarzu w Piasecznie, pierwotnie był też tam grób dziadków Natorskich. Gdy wiele lat temu wprowadzono zakaz pochówków na starym cmentarzu i były plany, by powstał w tym miejscu park, ojciec przeniósł szczątki rodziców i teściów na nową nekropolię przy ulicy Julianowskiej. Potem zakaz cofnięto i w pustym rodzinnym grobie spoczęli moi rodzice. Od dawna nie mieszkam w Piasecznie, ale staram się często jeździć na groby moich bliskich. Zawsze zastaję zapalony przez kogoś znicz, bywają też kwiaty. I to jest piękne, że są osoby, które w dobrej pamięci zachowują moją babcię i rodziców.



Grażyna Natorska

Fot. z archiwum Grażyny Natorskiej

Wspomina Jadwiga Samek

Opowieść o piaseczyńskiej akuszerce



Rodzina Karwackich, stoją od lewej Jadzia, Julian, Zosia, siedzi: Kazimiera, około roku 1921
Fot. z archiwum Jadwigi Samek

Moja babcia, Kazimiera Karwacka, była akuszerką. Przez dwadzieścia sześć lat prowadziła praktykę położniczą w Piasecznie i w tym czasie przyjęła ponad dwa tysiące porodów. Była dzielna, zaradna, zawsze spokojna, miała w sobie wiele ciepła, dobroci i bardzo kochała dzieci.

Moja babusia, bo tak do niej mówiłam, jako młoda dziewczyna przyjechała z rodzinnego miasta, Ostrowi Mazowieckiej, do Warszawy, tam wyszła za mąż za Juliana Karwackiego, mieli troje dzieci: Bolek, Jadwigę i Zofię, moją mamę. W 1919 roku Bolek, który miał wtedy piętnaście lat, uciekł z domu do wojska walczyć w obronie Warszawy. Dodał sobie jeden rok życia, aby go do armii przyjęli. Babcia dwa razy jeździła za uciekinierem i przyprowadzała do domu, za trzecim nie zdążyła. Wysłano go na front, podczas pierwszej walki został ciężko ranny i zmarł w szpitalu Ujazdowskim. Po śmierci syna dziadek rozchorował się na serce i zmarł trzy lata później. Babcia została z dwiema córkami. Ale, jak już mówiłam, była zaradną kobietą, żeby utrzymać rodzinę

zainwestowała w dzierżawę kasyna oficerskiego¹ na fortach Bema, na Woli. W prowadzeniu kasyna pomagały jej córki, a dla mojej mamy ta pomoc zaowocowała znajomością z przyszłym mężem. Kasyno musiało całkiem dobrze prosperować, skoro babcia mogła pozwolić sobie na kolejną inwestycję. W 1930 roku kupiła w Piasecznie plac przy ulicy Kauna i zaczęła budowę domu, a już po roku wprowadziła się do niego z córką Jadwigą. Moja mama zdążyła w tym czasie wyjść za mąż za mojego tatę, Jana Słowińskiego. Tata był zawodowym podoficerem, jego jednostka stacjonowała w Krakowie i rodzice tam zamieszkali.

Zofia z domu Karwacka i Jan Słowiński,
zdjęcie ślubne, rok 1931
Fot. z archiwum Jadwigi Samek



Kazimiera Karwacka, lata dwudzieste XX w.
Fot. z archiwum Jadwigi Samek

¹ Kasyno oficerskie - inaczej klub oficerski, miejsce spotkań oficerów Wojska Polskiego, program budowy kasyn z roku 1923 zakładał, że powinny one posiadać m. in. salę jadalną, salę zebrań oficerskich, bibliotekę, czytelnię, sanitariaty i kuchnię, w kasynach organizowano bale, spektakle teatralne, koncerty, źródło: <https://pl.wikipedia.org>

Babcia Kazia zaczęła w Piasecznie praktykę położniczą. Miała za sobą roczny kurs położnictwa ukończony w 1915 roku w Warszawie i lata doświadczenia w pracy. Jeden pokój w domu przy Kauna został przeznaczony na jej gabinet, w którym przyjmowała ciężarne kobiety, do porodów jeździła do ich domów, chyba jedynym, który przyjęła u siebie, był mój. W czerwcu 1933 roku mama, która była ze mną w ciąży, specjalnie przyjechała z Krakowa do Piaseczna, żeby poród odebrała jej mama, mogę więc o sobie mówić, że jestem urodzoną piasecznianką. Mama wróciła ze mną do Krakowa, ale tęskniła do Warszawy. W 1939 roku tata dostał przeniesienie do stolicy, nie zdążyliśmy jednak zamieszkać w wynajętym przy ulicy Koszykowej mieszkaniu, bo wybuchła wojna. Tatę wysłano na front, a my przyjechaliśmy do babci.

Kursantki Szkoły Położnych
w Warszawie, druga od lewej: Kazimiera
Karwacka, rok 1915
Fot. z archiwum Jadwigi Samek



Dorośli byli przerażeni, ja z całego serca cieszyłam się, że będę u mojej ukochanej babusi, nie wiedząc jeszcze, jakie niebezpieczeństwa niesie wojna. Niemieckie samoloty bombardujące broniącą się Warszawę przelatywały nad Piasecznem i wiadomo było, że w czasie nalotu trzeba uważać, bo Niemcy strzelali do ludzi. Tamtego dnia była piękna pogoda i dla zabawy wybiegałam na podwórko, potem do ogrodu. Widać mnie było z daleka, bo miałam na sobie czerwoną sukieneczkę. Nadleciał samolot, pilot zniżył lot i zaczęli do mnie strzelać. Może chcieli mnie tylko przestraszyć, może źle celowali, w każdym razie cała i zdrowa, ale przerażona wpadłam do domu, a tam dostałam solidne lanie od równie przerażonej mamy.

Z tego wczesnego okresu wojny pamiętam jeszcze *wachę*² stojącą przy wjeździe na ulicę Mickiewicza. Przy Mickiewicza mieszkali zamożni ludzie, mieli piękne domy i Niemcy, gdy tylko weszli do Piaseczna, zajęli je dla siebie. Po co tam szliśmy z mamą i ciocią Jadzią, tego nie wiem, ale utkwił mi w pamięci obraz budki wartowniczej w czarno – czerwone pasy i niemieckiego, umundurowanego wartownika, przed którym trzeba się było wylegitymować.

² wacha: z niem. Wache: budka wartownicza, posterunek, źródło: <https://pl.pons.com>



Piaseczno, ul. Kauna, przed budowanym domem Kazimiera Karwackiej, od lewej stoją: Jan Słowiński, Zofia Karwacka, n.n., Kazimiera Karwacka, n.n., w oknie siedzi: Jadwiga Karwacka, rok 1930

Fot. z archiwum Jadwigi Samek

Tata wrócił do domu 29 października. Jego jednostka dotarła pod Lwów, stamtąd piechotą wędrował do domu cudem unikając aresztowania i rozstrzelania. Po powrocie szukał dla siebie pracy, ale jedyne co znalazł, to słabo płatna posada tłumacza – tata znał świetnie język niemiecki – przy burmistrzu w Mogielnicy. Wyprowadziliśmy się do Mogielnicy, zamieszkaliśmy w byle jakim pokoju z kuchnią, było zimno, było głodno. Mama często przywoziła mnie do babci, żeby mnie trochę odkarmiła. Babcia, gdy jeździła do porodów, nie brała w czasie wojny pieniędzy, wynagrodzeniem była kura, kaczką, woreczek mąki, jajka. Nie było tego dużo, ale było co jeść. Poza tym u babci, tak jak przed wojną, mieszkali lokatorzy i płacony przez nich czynsz też ułatwiał życie.

Z okresu okupacji pamiętam, że pokoje wynajmowali państwo Matusiewiczowie, Kłocowie i pani Batusiewicz z synem. O państwie Matusiewiczach wiem tylko, że mieli dwoje dzieci, dużo lepiej pamiętam pozostałych lokatorów. Emilia i Piotr Kłocowie byli ewangelikami, potomkami niemieckich kolonistów, Niemcy chcieli, żeby rodzina podpisała folkslistę³, ale Kłocowie odmówili. Pan Piotr miał wiele nieprzyjemności z tego powodu, był nawet aresztowany. Dali mu spokój dopiero wtedy, gdy zachorował na tyfus. Czy choroba była prawdziwa, czy był to tylko wybieg – tego nie wiem, pamiętam, że na naszej furtce wisiał plakat w języku niemieckim informujący, że w tym domu panuje tyfus. Obaj synowie pań-

³ folkslista (volkslista): w czasie II wojny światowej lista obywateli pochodzenia niemieckiego w okupowanym przez Niemców kraju, którzy zadeklarowali przynależność do narodowości niemieckiej; tzw. podpisanie folkslisty wiązało się z obowiązkowym wypełnieniem wysyłanej imiennie ankiety, po jej dostarczeniu władzom niemieckim urzędnik przydzielał ankietowane osoby do jednej z czterech grup folkslist: odmowa wypełnienia ankiety mogła doprowadzić do wysłania całej rodziny do obozu koncentracyjnego, źródło: <https://nowahistoria.interia.pl>,

stwa Kloców byli w AK, przez *zieloną granicę*⁴ dostali się do armii polskiej na Zachodzie, do kraju wrócili pod koniec lat czterdziestych. Przyjechali wtedy do nas, żeby się przywitać, ale dalszych ich losów nie znam.

Piaseczno, ul. Kauna, dom Kazimierzy Karwackiej,
pierwsza od lewej stoi Zofia Słowińska, rok 1933
Fot. z archiwum Jadwigi Samek



Pani Batusiewicz mieszkała u babci ze swoim synem, Wacławem, chorym na gruźlicę. Było to pod koniec wojny, w Piasecznie mieszkał już wtedy starszy syn pani Batusiewicz, Zdzisław. Jego żona, Nina, po wyzwoleniu była nauczycielką języka francuskiego, rosyjskiego i historii w gimnazjum, do którego chodziłam. Wacław był ciężko chory, matka pielęgnowała go z wielkim oddaniem, ale wiem od babci, że miała świadomość, w jakim syn jest stanie. Wacław umarł w 1946 roku, w naszym domu, pochowany jest na starym cmentarzu.



Piaseczno, rynek, sklep spółdzielczy znajdujący się w kamienicy państwa Gerberów, biedacy wybierają z fasek resztki marmolady, lata 1939-1945 Fot. z archiwum Jadwigi Samek

⁴ zielona granica – słabo chroniony odcinek granicy państwa, nielegalne przekraczanie zielonej granicy wiąże się z przemytem towarów i osób, w czasie II wojny światowej polski ruch oporu poprzez kurierów utrzymywał w ten sposób kontakt z polskim rządem emigracyjnym, trasa prowadziła przez granicę ze Słowacją, za jej przekraczanie groziło aresztowanie, tortury, obóz koncentracyjny, śmierć, źródło: Zygmunt Pelczar, *Przez zieloną granicę*, Rocznik Rymanowa Zdroju 1998, t.III

W 1944 roku przyjechaliśmy jak zawsze na święta Bożego Narodzenia do babci. Tym razem tata wrócił do Mogielnicy sam, bo babcia zachorowała na zapalenie płuc i mama została, żeby się nią opiekować. Był piętnasty styczeń, gdy mama dostała od taty telefonogram: *Zosiu, wracaj szybko do domu*. Następnego dnia poszliśmy na dworzec, gdzie było już dużo ludzi czekających na pociąg, który zgodnie z rozkładem miał odjechać do Nowego Miasta o godzinie 14.00. Po jakimś czasie przyszedł kolejarz i poinformował, że tego pociągu nie będzie, bo tory zajęte są przez transporty wojska niemieckiego jadącego do Warszawy, a następny być może wyruszy o godzinie 17.00. Przyszliśmy ponownie na stację, czekałyśmy trochę, w końcu pociąg ruszył. Na stacji w Grójcu pociąg stanął i stoi, i stoi. W pewnym momencie słyszymy, że zaczynają strzelać armaty, od strony Radomia pociski lecą, w ciemności widać jak świecą w locie. Nie wiem, jak długo to trwało, wszyscy leżeliśmy skuleni na podłodze i odmawialiśmy *Zdrowas Mario*. W pewnym momencie cisza się zrobiła, po czym kolejarze ogłosili, że pociąg wraca do Piaseczna, bo są przeszkody na torach. Cóż robić, do Mogielnicy nie dojdziemy, wracamy więc do babci. W Zalesiu pociąg znów stanął, bo wiadukt był uszkodzony, skierowano skład na boczny tor stacji przeładunkowej i koniec jazdy. Jest piąta nad ranem, jeszcze ciemno, mróz taki, że śnieg skrzypi pod nogami, wracamy z mamą przez pola, bo wtedy nie było tam jeszcze uliczek i domów. Doszliśmy na *Węgielki*, idziemy wzdłuż cmentarnego muru. Minęliśmy już budkę dróżnika, gdy od strony Góry Kalwarii usłyszeliśmy narastający hurgot motorów. Przycupnęliśmy skulone pod murem przesuwając się w stronę budki, a dróżnik uchylił drzwi i powiedział, żebyśmy były cicho, bo Niemcy uciekają. Jechali z pół godziny, widzieliśmy czołgi, samochody i motory, a gdy wszystko ucichło pobiegliśmy do ulicy Niecałej, stamtąd przez pola, skrótem obok domu pani Wieczorkiewicz, do babci. W domu wszyscy spokojnie spali, hałas motorów na Kauna nie dolatywał. Poszliśmy spać i my.

Piaseczno, ulica Kauna, ogród z tyłu domu
Kazimierzy Karwackiej, od lewej stoją:
Zofia Słowińska, Kazimiera Karwacka,
n. Szwedowska, Zofia Wieczorkiewicz,
Jadwiga Karwacka, klęczy:
Jagódka Słowińska, lata 1940-1944
Fot. z archiwum Jadwigi Samek



Rankiem, około godziny ósmej, obudziły nas dziwne trzaski i huk motoru - to dwa rosyjskie czołgi wjechały do ogrodu niszcząc płot, drzewka owocowe i zaraz rozległo się łomotanie do drzwi. Gdy babcia otworzyła, weszła wysoka, dobrze zbudowana Rosjanka, pamiętam, że miała długie blond włosy i powiedziała, że zajmują dom, bo tu będzie stołówka dla oficerów. Żołnierze urzędowali na parterze, ustawili na kuchni wielkie kotły, pozsuwali stoły, a my cichutko siedziałyśmy na piętrze prawie z pokoju nie wychodząc. Byli chyba tydzień, a gdy wyjechali, okazało się, że zabrali nasze ubrania, pościel, garnki, a na pamiątkę zostawili bałagan,

brud i wielki worek cynamonu w proszku. Przez cały czas ich pobytu słyszałyśmy tylko język rosyjski. Oficjalnie podaje się, że Piaseczno wyzwoliła armia Wojska Polskiego, my z Polakami się nie spotkałyśmy, w naszym domu byli sami Rosjanie.

Po wyzwoleniu rodzice sprowadzili się do babci, oboje znaleźli pracę w WSS *Spółem*, tata w księgowości, mama prowadziła sklep spożywczy mieszczący się przy dużym rynku, na parterze domu państwa Gerberów.



Piaseczno, ulica Kościuszki, plac nad Perelką, (obecnie w tym miejscu znajduje się gmach sądu), w głębi po prawej budynek łaźni miejskiej, na wielbłądzie siedzi Jagódka Słowińska, rok 1942
Fot. z archiwum Jadwigi Samek

Babcia pracowała krótko w piaseczyńskim szpitalu i powróciła do prywatnej praktyki. Tak jak wcześniej opiekowała się kobietami w ciąży przyjmując je u siebie w gabinecie, porody odbierała w domach rodzących. Gdy kobieta mieszkała gdzieś pod Piasecznem przyjeżdżali po babcię furmanką i chłop krzyczał już od furtki: *Pani, do porodu!*, a babcia, bez względu na porę dnia czy nocy, na porę roku i pogodę, spokojnie ubierała się, brała torbę z niezbędnymi narzędziami, opatrunkami i jechała. Czasem zdarzał się trudny poród i wtedy wzywano do rodzącej doktora Mateusza Koperskiego, ginekologa. Gdy dziecko przyszło na świat babcia wypełniała formularz potrzebny do jego zameldowania: *Ja, upoważniona akuszerka, Kazimiera Karwacka, zaświadczam niniejszym, że pani urodziła dziecko płci żywe i donoszone. Zaświadczenie wydaje się w celu zameldowania dziecka.* Ważność pisma potwierdzała przybiciem pieczętki ze swoim imieniem i nazwiskiem. Po porodzie kobieta nie zostawała bez opieki, babcia odwiedzała ją, zmieniała opatrunki, sprawdzała stan zdrowia matki i dziecka.



Piaseczno, ul. Kościuszki, pochód z okazji 1 Maja, w tle dom, w którym dziś znajduje się Przystanek Kultura, koniec lat czterdziestych XX w. Fot. z archiwum Jadwigi Samek

Babcia była bardzo dyskretna i nie słyszałam, aby opowiadała o swojej pracy, może rozmawiała o niej ze swoją koleżanką, Janiną Sikorską, która też był akuszerką. Państwo Sikorscy mieszkali w stojącej obok cmentarza, zrujnowanej dzisiaj, piętrowej kamienicy z czerwonej cegły. Pan Józef był rzemieślnikiem, a po pracy zajmował się hodowlą swoich ukochanych pszczoł. Przy ulicy Oręźnej miał nieduży plac, na którym stały ule. Na piętrze kamienicy państwa Sikorskich jest balkon z pięknie kutą balustradą, gdy moja babusia szła do pani Janiny i brała mnie ze sobą, lubiłam na ten balkon wychodzić, bo tam, w specjalnych pojemnikach, stały plastry miodu i można było bezkarnie miód podjadać.

Rodzice i babcia pracowali, a ja chodziłam do szkoły. Zaraz po wyzwoleniu uruchomiono szkołę podstawową przy Świętojańskiej i tam chodziłam do czerwca, do skończenia szóstej klasy, po której zaczynało się naukę w gimnazjum. Do wyboru było wtedy gimnazjum w *Platerówce* w Zalesiu albo przy ulicy Zgoda w Piasecznie. Rodzice wybrali to drugie. Dyrektorem szkoły był Mieczysław Oleszkiewicz, matematyk z Uniwersytetu Warszawskiego, jego brat, Tadeusz, uczył fizyki i matematyki, a żona Tadeusza, Małgorzata, uczyła łaciny i polskiego. Języka angielskiego uczyła pani Irena Dobrowolska, która chyba nie była nauczycielką, nie wiem, jak to się stało, że mieszkała w Polsce, bo prawie całe swoje dotychczasowe życie spędziła w Stanach Zjednoczonych. Języka francuskiego uczyła pani Zofia Struss, jej brat, Jerzy, uczył matematyki. Zofia i Jan Strussowie wraz z rodzicami uciekli z Wilna w czasie wojny z bolszewikami, w Piasecznie zamieszkali na początku lat trzydziestych w willi zwanej dzisiaj *Zameczkiem* stojącej przy ulicy Czajewicza.

Historii uczyła nas pani Zofia Żeglińska, która została dyrektorem szkoły, gdy pan Oleszkiewicz wrócił do pracy na Uniwersytecie. Dość szybko panią Żeglińską zastąpił przystąpi przez władze Stanisław Strzeżewski, pan o mocnym rosyjskim akcencie, uczył nas nauki o świecie współczesnym z naciskiem na zwycięstwa armii radzieckiej. Nauczycieli, często wspaniałych ludzi, było oczywiście więcej, ale nie wszystkich zachowała kapryśna pamięć.

Byłam pierwszym rocznikiem, które zostało objęte reformą szkolną wprowadzającą siedmioklasową szkołę podstawową i czteroklasowe liceum - organizacyjnie były to klasy od pierwszej do siódmej i od ósmej do jedenastej. Gimnazjum skończyłam na klasie trzeciej, która odpowiadała klasie ósmej, potem były trzy klasy licealne. W sumie do szkoły przy ulicy Zgoda chodziłam sześć lat.

Piaseczno, ul. Kniaziewiczza,
przed domem państwa Żeglińskich,
stoją od lewej: Jagoda Słowińska,
Zofia Żeglińska, Zygmunt Kopka, rok 1949
Fot. z archiwum Jadwigi Samek



W gimnazjum należałam do sodalicii mariańskiej. Sodalicja działała w Piasecznie już przed wojną, założył ją ksiądz Wincenty Balul, ja przystąpiłam do niej w 1946 albo 47 roku. Na pewno razem ze mną w sodalicii była Zosia Lenarczykówna, moja rówieśnica i koleżanka z klasy, imion innych dziewcząt, niestety, nie pamiętam. Naszą opiekunką była Alicja Lentz, wtedy wydawało nam się, że to bardzo dorosła osoba, a ona mogła mieć ze dwadzieścia lat. Podczas spotkań w starej plebanii uczyliśmy się religijnych pieśni i całej liturgii mszy świętej. Msze były wówczas odprawiane w trybie trydenckim⁵, uczyliśmy się liturgii po łacinie, by brać udział w mszach recytowanych. Polegało to na tym, że pięcioosobową grupą klęczaliśmy

⁵ Msza trydencka: wersja mszy sprzed II soboru watykańskiego (1962 -1965), różnice: m. in. odprawiana po łacinie, kapłan zwrócony twarzą do ołtarza, brak bezpośredniego dialogu kapłana z wiernymi, kazanie nie jest częścią mszy, przyjmowanie Komunii Świętej w pozycji klęczącej (klęczenie przy balaskach), msze odprawiane także przy ołtarzach bocznych, źródło: www.liturgia.pl

przy barierce przed ołtarzem i w odpowiednich momentach chórem odpowiadałyśmy księdzu albo odmawiałyśmy z nim modlitwy. Proboszczem był wtedy ksiądz Stefan Ulatowski, który patriotycznymi kazaniami narażał się władzy tak bardzo, że pewnego dnia został aresztowany. Po tym zdarzeniu spotykałyśmy się nadal na plebanii, ale coraz rzadziej i z czasem sodalicja przestała istnieć.



Jagoda Słowińska, rok 1944
Fot. z archiwum Jadwigi Samek

W liceum działało harcerstwo, ale nie należałam do niego, byłam za to – jak wszyscy wtedy, bo przynależność była obowiązkowa - członkiem Związku Młodzieży Polskiej⁶. Były koła klasowe ZMP, a nad nimi czuwało koło szkolne, którego przewodniczącym był jeden z naszych szkolnych kolegów. Przewodniczący ZMP miał wówczas szerokie uprawnienia: kontrolował prace kół klasowych, brał udział w radach pedagogicznych i miał głos doradczy przy klasyfikowaniu uczniów. Jeśli powiedział, że ktoś jest nieprawomyślny, nie udziela się w ZMP, to jego opinia mogła zaważyć na stopniu, a nawet przejściu do następnej klasy.



Alicja Przedpełska, rok 1950
Fot. z archiwum Jadwigi Samek

Miałam wtedy klasowe przyjacielskie kółko, była w nim Alusia Przedpełska, Iza Tomczykówna, Zbyszek Staniszewski, Dolek Uliasz, Jurek Sikorski. Jurek wyróżniał się w szkole fryzurą - czesał się na *mandolinę*⁷ - i strojem, bo nosił skarpetki w kolorowe paski. Był co prawda

⁶ Związek Młodzieży Polskiej (ZMP) – organizacja młodzieżowa utworzona w lipcu 1948 roku, podporządkowana Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, działalność: m. in. uczestnictwo w kolektywizacji wsi, nadzorowanie programu nauczania i kontrola pracy nauczycieli w szkołach średnich i na uczelniach, nadzorowanie organizacji młodzieżowych i prasy; rozwiązany w 1957 r., źródło: <https://encyklopedia.pwn.pl>

⁷ Uczesanie na mandolinę (plezera) - włosy dłuższe, zaczesane do góry, opadające lekko na kark, posmarowane brylantyną i przyklepane, fryzura charakterystyczna dla bikiniarzy, przedstawicieli subkultury młodzieżowej z lat

z tego powodu trochę tępiony przez nauczycieli, ale jednocześnie przymykali oko na jego zachowanie, pewno dlatego, że Jurek miał protezę, stracił nogę, gdy wpadł pod ciuchcie.

Nie wiadomo, dlaczego w klasie maturalnej podpadliśmy koledze przewodniczącemu ze szkolnego ZMP. Był kwiecień, nie chodziliśmy już szkoły, by przygotowywać się do matury, a on celowo dał mi jako zadanie napisanie referatu na jakiś polityczny temat. Powiedziałam, że nie mam czasu, muszę się uczyć, a on na to: *Tak? to zobaczymy, czy będziesz tej nauki potrzebowała*. Nagle okazało się, że za jego interwencją cała nasza piątka została zawieszona w prawach ucznia i mimo bardzo dobrych ocen nie będziemy dopuszczeni do matury. Wstała się wtedy za nami, i to bardzo energicznie, nauczycielka angielskiego, pani Dobrowolska i zmieniono zdanie.

Jagoda Słowińska podczas pochodu z okazji 1 Maja,
Piaseczno, rok 1952

Fot. z archiwum Jadwigi Samek



Na maturze jako pierwsza była praca pisemna z języka polskiego, należało napisać minimum sześć stron papieru podaniowego, ja pisałam o twórczości Jana Kochanowskiego. Następne były egzaminy pisemne z matematyki, nauki o Polsce współczesnej i pięć egzaminów ustnych: z matematyki, języka polskiego, historii, fizyki i nauki o świecie współczesnym. Ustne zdawało się jednego dnia, wchodziliśmy trójkami do pokoju, w którym siedziała komisja, po kolei zdawaliśmy jeden przedmiot, potem następny i tak dalej. Wszyscy tak zdawali, wyjątkiem był kolega przewodniczący, który na egzamin wszedł w pojedynkę. Takie to były czasy.

Po maturze, aby pomóc rodzicom, zaczęłam pracę w warszawskim wydawnictwie lekarskim, potem poznałam swojego przyszłego męża, Stanisława, pobraliśmy się i w 1958 roku zamieszkaliśmy w Warszawie, tam przyszły na świat nasze dzieci: Danusia i Wojtek.

W domu przy Kauna, zostali moi bliscy, którzy nieuchronnie z niego odchodzili. Babusia zmarła w roku 1958, sześć lat później mój tata, w latach 1978 i 1980 odeszli ciocia Jadzia i jej mąż, a w 1982 roku moja mama.

pięćdziesiątych XX w. wyrażających strojem i fryzurą sprzeciw wobec panującej rzeczywistości, władze komunistyczne traktowały ich jak wrogów klasowych wymagających resocjalizacji, źródło: www.niepoprawni.pl, www.twojahistoria.pl

Piaseczno, ul. Kauna, na szczycie drabiny
stoi Kazik Majewski, niżej od lewej: Alusia
Przedpełska i Jagoda Słowińska,
na dole stoją od lewej: Adam Majewski
i Zbyszek Staniszewski, rok 1951
Fot. z archiwum Jadwigi Samek



Ślub Jadwigi Słowińskiej i Stanisława Samka,
Piaseczno, rynek przed kościołem św. Anny, rok 1958
Fot. z archiwum Jadwigi Samek

Babusia została pochowana na starym cmentarzu, moi rodzice i ciocia Jadzia ze swoim mężem na nowym, w Julianowie. Gdy zniesiono zakaz pochówku na tym starym cmentarzu, przeniosłam ich prochy do rodzinnego grobowca, gdzie spoczywał mój, zmarły w 2012 roku, mąż. Gdy przychodzę do nich z kwiatami i zniczami, staram się odwiedzać też groby osób, z którymi w jakiś sposób moja rodzina była związana. W sąsiedztwie moich bliskich pochowany jest doktor Koperski, ten, którego babcia wzywała do trudnych porodów. Tuż obok mają grób państwo Bronisława i Czesław Natorscy. Pani Bronia była córką Zofii Wieczorkiewicz, miała siostrę Hankę, ich ojciec, Flawian, był artystą malarzem. Państwo Wieczorkiewiczowie zamieszkali przy Kauna kilka lat wcześniej niż moja babusia, ich dom stał niemalże naprzeciwko naszego. Bronia i Hania w czasie wojny, jak większość piaseczyńskiej młodzieży, należały do AK. Po wojnie pani Wieczorkiewicz zaczęła prowadzić sklep, który z czasem stał się jednym z bardziej znanych w Piasecznie. Jej grób znajduje się na nowym cmentarzu w Julianowie.



Piaseczno, ulica Kauna, ogród z tyłu domu,
od lewej stoją: Kazimiera Karwacka,
Jadwiga Karwacka, Zofia Słowińska,
od lewej siedzą: n.n., n.n., Jan Słowiński,
1 maja 1954 r.

Fot. z archiwum Jadwigi Samek

Za grobem państwa Natorskich jest grób rodzinny spokrewnionych z Gałczyńskimi Chrzanowskich. Pochowana w nim Emilia z Chrzanowskich Bohowiczowa była nauczycielką muzyki, mieszkała przy ulicy Staropolskiej, była już mocno starszą panią, gdy chodziłam do niej na lekcje fortepianu, pamiętam, że brała złotówkę za piętnaście minut lekcji.

Dalej leżą państwo Zofia i Stefan Żeglińscy, nauczycielka i chirurg, znani i szanowani w Piasecznie. Pani Zofia pochodziła z zacnej, obywatelskiej, zamożnej rodziny Lukiewiczów.

Jest jeszcze grób, którego nigdy nie pomijam: pana Stefana Lenarczyka. Państwo Lenarczykowie to nasi najbliżsi sąsiedzi, byliśmy mocno zaprzyjaźnieni, babusia przyjmowała porody ich dzieci, ja chodziłam do klasy z Zosią Lenarczykówną. Pan Stefan, bardzo zdolny człowiek, miał w domu warsztat stolarski, robił piękne meble i dla najmłodszego synka, Stasia, zrobił kołyskę. Pamiętam, że z Zosią miałyśmy uśpić w niej malucha i huśtałyśmy go w takt piosenki: *hop-sia-sia, mam Stasia, jakiego? takiego! pięć złotych za niego*. Robiłyśmy to tak energicznie, że Stasiowi główka podskakiwała. Na szczęście dla niego zobaczyła to pani Lenarczykowa i pognęła nas od kołyski. Pan Stefan umiał też robić harmonie, skrzypce i pięknie grał na tych instrumentach. Wieczorami siadywał na podwórku i sąsiedzi mieli koncert.

Po śmierci mojej mamy dom stał dość długo opuszczony, ale życie tak się potoczyło, że w 1994 roku wróciliśmy do niego z mężem i córką. Chociaż nie mieliśmy tego powrotu w planach, była to jedna z najlepszych decyzji w naszym życiu. Ani ja, ani córka nie wyobrażamy sobie dziś mieszkania w miejscu innym niż w domu babusi Kazi, która w jego budowę włożyła miłość i swoje serce.



Jadwiga Samek

Fot. z archiwum Jadwigi Samek

Wspomina Janina Samojlik

Opowieść o domu rodzinnym

Długi, parterowy dom stojący przy ulicy Kościelnej 1 jest jednym z najstarszych, może najstarszym, budynkiem w mieście. Moi pradiadkowie, Marcelina i Tomasz Poncyliuszowie, kupili go od Żyda Cetnera w 1850 roku, a zbudowany mógł być jeszcze wcześniej. Podczas działań wojennych w 1914 roku częściowo spłonął, był remontowany, ale zachowano jego dawny wygląd. Dzisiaj nie ma ostatniej, sięgającej w głąb ulicy Kościelnej, części budynku. Nadawała się do gruntownego remontu i została zburzona, na jej miejscu moje dzieci wybudowały nowy dom. Dom się trochę zmienił, zmieniło się też jego otoczenie.



Piaseczno, spacer ulicą Kościuszki, od lewej: n.n., Matylda Grodzicka, Aleksandra Borowska z domu Wasiewicz, Władysław Poncyliusz; rok 1937, obecnie na terenie po prawej znajduje się gmach sądu.

Fot. Stefan Regulski, z archiwum Janiny Samojlik

Gdy byłam małym dzieckiem ulica była wybrukowana, miała z jednej strony wąski chodnik. Po bruku turkotały wozy konne, szczególnie w dni targowe, gdy ruch zaczynał się o świcie, a kończył późnym wieczorem. Z okien domu widziałam pokryty tynkiem w kremowym kolorze

kościół, ogromne lipy. Kościół był nieogrodzony, bo Niemcy na początku wojny kazali rozebrać otaczający go drewniany płot. Obok nas stał należący do parafii dom, w którym były lekcje religii, a według opowieści mojej mamy przed wojną mieszkał w nim z rodziną organista, pan Wojdak. Dalej był dom państwa Porębskich, kolejnymi sąsiadami byli państwo Chojnaccy. Pan Chojnacki był szewcem, jego żona zajmowała się domem i gromadą dzieci, mieszkali w małym, drewnianym budynku. Budynek następny należał do sióstr Małgorzatek (Pasterzanek), przed wojną siostry u mojej babci wynajmowały pokoje, a w swoim budynku prowadziły czytelnię.

Janina Poncylusz w dniu swojej I Komunii Świętej, Piaseczno, rok 1917

Fot. z archiwum Janiny Samojlik



Dzisiaj nie ma koni, bruku, lip, kościół ma nowe, wykonane pod koniec lat czterdziestych, ogrodzenie. Wygląd kościoła zmienił się pod koniec lat pięćdziesiątych, gdy zbito zewnętrzny tynk wydobywając spod niego pierwotny, gotycki charakter budowli. Zniknął dom należący do parafii¹, dom państwa Chojnackich mocno podupadł. W należącym nadal do sióstr odremontowanym, nowoczesnym budynku istnieje przedszkole. A nasz dom, chociaż trochę uszczuplony o zburzoną część, nadal trwa.



Piaseczno, widok z okna domu przy ul. Kościelnej 1 na kościół św. Anny, marzec 1939 r.

Fot. Stefan Regulski, z archiwum Janiny Samojlik

¹ w tym miejscu stoi budynek Komendy Powiatowej Policji - red.

Pierwsze lata wojny znam z opowieści rodziców. Urodziłam się w lutym w 1940 roku. Rodzice wspominali, że zima była ostra i śnieżna, pociąg z Warszawy, którym rodzina przybyła na mój chrzest, jechał między ścianami ze śniegu. Było głodno i zimno, bo brakowało pieniędzy na jedzenie i opał, nie było się też w co ubrać. O tym, dlaczego brakowało ubrań opowiadała mi mama, Janina z domu Poncyliusz. Otóż, w pierwszych dniach wojny część mieszkańców Piaseczna, postanowiła opuścić miasto. Moja mama, która była wtedy ze mną w ciąży, też tak zdecydowała. Tata, Stefan Regulski, był nieobecny, bo wraz ze swoim zakładem pracy, warszawskimi Państwowymi Zakładami Teletechnicznymi mieszczącymi się przy ulicy Grochowskiej, został zgodnie z rozporządzeniem władz, ewakuowany na wschód Polski.



Piaseczno, duży rynek, widok na pierzeję wschodnią i północną, dzień targowy, koniec lat trzydziestych XX w.
Fot. z archiwum Janiny Samojlik

Mama ze swoją siostrą, ciotką Jadzią, spakowały prawie wszystko, co było w domu, wybierając cenniejsze rzeczy. Jedna z sąsiadek miała rodzinę gdzieś za Złotokłosem i zaoferowała się, że tam zawiezie nasze skrzynie i toboły. Zapakowano wszystko na wóz, brat i siostra mieli też tym wozem jechać, mama z ciotką ruszyły piechotą. Sąsiadka z rzeczami i dziećmi pojechała przodem, a w drodze, dość daleko od Piaseczna, natrafiła na potyczkę żołnierzy polskich z niemieckimi. Podcięła konia batem i w popłochu uciekła, dzieci jakoś tam zostały, cudem wyczołgały się spod ostrzału i schowały w zaroślach, a gdy strzelanina ucichła, ruszyły piechotą do domu. Przenocowały w stodole u jakiegoś gospodarza, który dał im coś do jedzenia. Do domu dotarły po dwóch dniach marszu. Maciek miał wtedy dziesięć lat, Wanda pięć, i on tę

młodszą siostrę prawie całą drogę niósł na plecach. Matka i ciotka już je optały przekonane, że dzieci zginęły i nigdy się nie odnajdą. Dzieci się znalazły, ale rzeczy nie. Podobno zajęły się ogniem w czasie ostrzału.

Minęło jeszcze półtora miesiąca i do domu wrócił też ojciec. Doszedł ze swoim zakładem gdzieś do Łucka, widział chaos, dezorganizację tego marszu i postanowił wrócić. Szedł pieszo od wsi do wsi, do domu dotarł brudny i głodny, ale cały.



Piaseczno, ulica Kościelna 1, Urszula Koperska, uciekinierka z Warszawy z Janinką Regulską, rok 1941

Fot. Stefan Regulski, z archiwum Janiny Samojlik

Aby utrzymać rodzinę rodzice postanowili, że zajmą się handlem. Ojciec kupował węgiel z wagonów na stacji kolejki i sprzedawał go ludziom, potem rodzice otworzyli sklep, w którym można było kupić farby, wyroby mydlarskie, naftę, gwoździe; dziadek uprawiał kawałek ziemi, były warzywa, ziemniaki, mieliśmy krowę, więc było mleko i to wszystko pozwalało uniknąć biedy. Było skromnie, jedzenie było proste, ale głodu u nas nie było. Pamiętam, że gotowało się brukiew, pazibrodę², na kolację była zwykle zupa, chleb był tylko ciemny, razowy. Kiedyś mama na święta upiekła ciasto drożdżowe, spróbowałam i wyrzuciłam, bo jadłam tylko razowy chleb, do niego byłam przyzwyczajona. Chleb piekło się w domu albo kupowało w piekarni, a tych w mieście było kilka. Była nieistniejąca już piekarnia Szymczaka, była piekarnia Pindel-skich, Okrasy i działająca do dzisiaj, piekarnia Wojciechowskiej.

Dom był zawsze pełen ludzi. Mieszkał z nami mamy brat, wujek Władek, który w czasie kampanii wrześniowej był w wojsku i jeździł pociągiem pancernym. Przyjeżdżała do nas z Warszawy rodzina ojca, jego brat z synem, przychodzili znajomi, bardzo częstym gościem był Nikodem Borowski, on pracował przed wojną i po wojnie jako sekretarz w magistracie, do nas przychodził nieraz z synem Olkiem, obaj już nie żyją. Matka stała przy kuchni i gotowała, nikt głodny od nas z domu nie wyszedł, to był dobry, ciepły dom, w dużej mierze jego atmosferę tworzyła moja

² Pazibroda (parzybroda) - potrawa wiejska pochodząca z Kielecczyny, przygotowywana z gotowanych ziemniaków zmieszanych z ugotowaną kapustą kiszoną i skwarkami ze słoniny lub słodka kapusta gotowana razem z ziemniakami; źródło: <https://kuchnia.wp.pl>

mama. Mama była bardzo ładna, skromna, taktowna, pracowita, wspaniale gotowała, ja do dzisiaj pamiętam smaki przyrządzanych przez nią potraw.

Janinka Regulska na podwórku domu przy
ul. Kościelnej 1. Piaseczno, rok 1941

Fot. Stefan Regulski,
z archiwum Janiny Samojlik



W czasie wojny byłam małym dzieckiem, ale zostało mi wiele wspomnień, zwłaszcza z roku, gdy wybuchło Powstanie. Pamiętam budy jeżdżące po mieście w czasie łapanek³. Jedna taka łapanka miała miejsce tuż przed Powstaniem, o szczegółach zdarzenia opowiadali rodzice.

Niemcy chodzili wtedy od domu do domu i wyłapywali warszawiaków. U nas akurat mieszkał brat mojego ojca z żoną i synem. Zajmowali pokój, na który mówiliśmy *ciemny*, dzisiaj jest tam zaplecze kawiarenki. Gdy żołnierze pojawili się na podwórzu, nieświadomy niczego wujek Janek wyszedł z pokoju prosto na nich. Wzięli go na rynek, gdzie już była duża grupa ludzi, chyba samych mężczyzn. Stał tam cały dzień. Ojciec był operatywny, opłacił kogoś i ta osoba wyprowadziła wujka z grupy, ukrywając go w piwnicy jednego z domów stojących przy rynku. Tamtych mężczyzn, zdaje się, wywieziono na roboty do Niemiec, a wujek, gdy wszystko się uspokoiło, wrócił następnego dnia do domu.

Pamiętam widok niemieckich czołgów stojących przed naszymi oknami, to było przed wybuchem Powstania Warszawskiego. Niemcy wiedzieli, że Powstanie ma się zacząć i czekali, by zaatakować Warszawę.

Był dawniej zwyczaj, że przy ładnej pogodzie siadało się na progu domu, patrzyło na ulicę, rozmawiało z sąsiadami. Pamiętam, jak tamtego lata wieczorem siadaliśmy z ojcem na progu

³ łapanka: jeden z głównych stosowanych przez Niemców podczas II wojny światowej sposobów na zatrzymanie jak największej liczby przypadkowych osób celem ich uwięzienia, umieszczenia w obozach koncentracyjnych, rozstrzelania lub wywiezienia na przymusowe roboty do Niemiec; źródło: <https://wikipedia.org/pl>

i patrzyliśmy na puszczane przez Niemców nad Warszawą coś, co przypominało winogrona, co świeciło i utrzymywało się bardzo długo nad miastem oświetlając je.

Pamiętam, że w czasie Powstania w ogrodzie należącym do księdza stacjonowało wojsko węgierskie. Ogród był za nieistniejąca dziś *starą* plebanią, był tam ładny sad i sadzawka, dzie-rżawił to pan Pikulski. Państwo Pikulscy wynajmowali u nas pokój, ich syn, Marian, przyjaźnił się z moją siostrą, więc gdy była ładna pogoda mogliśmy chodzić tam nad sadzawkę.

Pamiętam też piaseczyńskie targi, które w czasie wojny, tak samo jak i przed nią, odbywały się na rynku po obu stronach ulicy Puławskiej. Na placu przed kościołem rolnicy sprzedawali warzywa, owoce, po przeciwnej stronie były stragany i tam handlowano ubraniami, meblami, były garnki, patelnie, talerze i co tam jeszcze w gospodarstwie domowym było potrzebne. W czasie wojny biedniejsi warszawiacy przyjeżdżali tu wyprzedawać swoje rzeczy. Mam nawet pamiątki z tamtego czasu. Mama kupiła w 1940 roku dwie blachy do pieczenia, używam jednej z nich do dzisiaj i doskonale mi się w niej piecze. Ojciec mniej więcej w tym samym czasie kupił piękną, oszkloną biblioteczkę, która nadal stoi w moim domu. Na tymże targu mama, o ile to było możliwe, kupowała ubrania. Bratu kupiła dres, w którym całą wojnę chodził, dla mnie i dla siostry szyła sukienki czy płaszcze przerabiając swoje ubrania.

Na rynku handlowano czym się dało, widać było ludzką biedę, a tuż obok, w budynku, w którym teraz jest Centrum Kultury, był doskonale zaopatrzony sklep, w którym mogli kupować tylko Niemcy.

W pamięci zostały mi spotkania, jakie w ramach tajnego nauczania odbywały się w naszym domu. Przychodzili Maćka koledzy: Piotrek Małyшко, Tadek Gerber, Wincenty Gajewski, na którego koledzy mówili *Bojek*, bracia Chruszkiewiczowie i mieli lekcje matematyki prowadzone przez pana Bronisława Skręta.

W naszym domu odbywało się tajne nauczanie, ale z tego, co wiem, moi rodzice nie byli związani z żadną organizacją konspiracyjną, pomagali piaseczyńskiej AK dając datki pieniężne, żywność. Być może mieli jeszcze i inne powiązania, bo nieraz do ojca do sklepu przychodzili młodzi mężczyźni, którzy z jakiegoś powodu wychodzili stamtąd tylnymi drzwiami przez mieszkanie, potem przez podwórko i opłotki, i szli gdzieś dalej. Naprzeciwko sklepu był posterunek żandarmerii, wartownicy stali na ulicy i jeden nich po cichu ostrzegał ojca, żeby uważał, bo oni to wszystko widzą.

Janina Regulska, rok 1946

Fot. Stefan Regulski, z archiwum Janiny Samojlik



Przed Powstaniem moja matka z ciotką Jadzią szyły na starej maszynie *Singera* białe - czerwone opaski dla powstańców, komuś musiały być one przekazywane, ale nie wiem komu i gdzie. Rodzice nigdy o sprawach związanych z konspiracją nie opowiadali. Wiem, że Maciek, który miał wtedy piętnaście lat, rwał się do Powstania. Chciał iść do Warszawy z grupą młodzieży z Piaseczna. Ojciec dobrze wiedział jak wygląda walka na wojnie. Był ochotnikiem w wojnie 1920 roku, walczył z bolszewikami pod Radzyminem, tam został bardzo ciężko ranny, miał przestrzelone płuca. Powstrzymał wtedy Maćka przed natychmiastowym wyruszeniem przyrzekając, że jeśli będzie trzeba, pójdą do Powstania razem. Ci młodzi chłopcy, którzy ruszyli do Powstania, pod Pęciami wpadli w zasadzkę i wielu z nich zginęło.

Stefan Regulski (pierwszy z lewej) w szpitalu po postrzale w bitwie pod Radzyminem, Warszawa, 15 sierpnia 1920 r.

Fot. z archiwum Janiny Samojlik



Z czasu wojny pochodzą dwie historie, o których często u nas w domu opowiadano, bo z ich bohaterami moja rodzina była związana przyjacielsko i rodzinnie.

Na długo przed wojną w małym domku przy Świętojańskiej zamieszkali państwo Lejbrantowie, mieli czworo dzieci: Wandę, Emmę, Piotra i Hugona. To byli życzliwi, spokojni ludzie, mama z ciotką Jadzią były z nimi zaprzyjaźnione. Gdy wybuchła wojna, Lejbrantowie, ponieważ mieli niemieckie pochodzenie, zdecydowali się na podpisanie folkslisty⁴. Nie podpisały jej obie siostry i jeden z braci. Gdy pod koniec wojny była ewakuacja Niemców, z rodzicami i bratem pojechali Wanda i Emma, w Piasecznie został drugi brat, który założył tu rodzinę. Po wojnie, polskie władze szybko wsadziły go do więzienia, odsiedział, co swoje i wrócił do Piaseczna.

Druga historia jest o wiele bardziej tragiczna. Brat mojego dziadka, Tomasz, miał trzech synów: Heńka, Bolka i Tadeusza. Dwaj starsi, Heniek i Bolek, skończyli podchorążówkę tuż przed wybuchem wojny. Poszli walczyć i zginęli, jeden w Katyniu, a drugi nie wiadomo gdzie. Ich matka strasznie rozpacziała, szukała ich, aż z tej rozpacz zachorowała i umarła.

⁴ folkslista (volkslista): w czasie II wojny światowej lista obywateli pochodzenia niemieckiego w okupowanym przez Niemców kraju, którzy zadeklarowali przynależność do narodowości niemieckiej; tzw. podpisanie folkslisty wiązało się z obowiązkowym wypełnieniem wysyłanej imiennie ankiety, po jej dostarczeniu władzom niemieckim urzędnik przydzielał ankietowane osoby do jednej z czterech grup folkslist: Odmowa wypełnienia ankiety mogła doprowadzić do wysłania całej rodziny do obozu koncentracyjnego, źródło: <https://nowahistoria.interia.pl>, <https://pl.wikipedia.org>



Wanda Regulska, rok 1944

Fot. Stefan Regulski, z archiwum Janiny Samojlik

Nie pamiętam jej śmierci i pogrzebu, chociaż takich spraw nie ukrywano wtedy przed małymi dziećmi. Gdy w 1944 roku zmarł znany i bardzo szanowany w Piasecznie ksiądz Wincenty Balul, a stało się to w naszym domu, byłam razem z matką w pokoju, w którym leżało jego ciało.

W tym czasie był u nas skład apteczny prowadzony przez panią Koralewiczową i jej pomocnicę, panią Pieścik, a dodatkowo pani Koralewiczowa wynajmowała od moich dziadków dwa pokoje. Do tego mieszkania przyjęła chorego księdza Balulę i obie panie opiekowały się nim. Gdy ksiądz zmarł, poszłam z matką do nich i widziałam ciało księdza leżące na tapczanie. Dzisiaj taka sytuacja może wydać się szokująca, ale dawniej były inne zwyczaje. Ludzie zwykle umierali w domu, po ich śmierci zasłaniano lustra, a ciało zmarłego wystawiano w trumnie, aby rodzina, znajomi mogli się z nim pożegnać, pomodlić, dzieci też w tym uczestniczyły. Mój ojciec zmarł w 1967 roku, w domu, przy mnie, siedział przy stole, opadła mu głowa i koniec. Mama, która zmarła w roku 1976, też odeszła w domu, leżała w łóżku i po prostu zasnęła. Trumny z ich ciałami były wystawione w tym samym pokoju, w którym co roku stroiliśmy choinkę, w którym ojciec jeszcze przed wojną robił rodzinie pamiątkowe zdjęcia *Kodakiem*, swoim ukochanym aparatem fotograficznym.

Wanda Regulska z ojcem, Stefanem Regulskim,
Piaseczno, podwórko domu przy ul. Kościelnej, rok 1950

Fot. z archiwum Janiny Samojlik



W dawniejszych czasach trumnę z kościoła na cmentarz wieziono karawanem pogrzebowym albo, co było częstsze, ludzie nieśli ją na ramionach, to też był element żegnania się ze zmarłym, okazania mu szacunku. Kondukt szedł ulicami, często obcy ludzie przystawali na chodniku i czekali aż kondukt ich minie. Ja w ten sposób pożegnałam Alę Pietrzak, która zmarła, gdy miała osiemnaście albo dziewiętnaście lat. Ala, uczennica *Platerówki*, była bardzo przystojna, wysoka, zgrabna, miała śniadą cerę, ciemne oczy. Po operacji wyrostka robaczkowego za wcześnie wstała z łóżka, pękły jej szwy i w wyniku komplikacji zmarła. Jej pogrzeb zgromadził tłum ludzi, wszyscy przeżywali jej śmierć, pamiętam, że jej koledzy płakali. Ale to wydarzyło się już w latach sześćdziesiątych. Alę pochowano na starym cmentarzu, z czasem grób został chyba przeniesiony na cmentarz w Julianowie.

Piaseczno, ul. Kościuszki, przystanek autobusowy, od lewej Maciej, Wanda, Janina Regulscy, n.n., rok 1960
Fot. Stefan Regulski,
z archiwum Janiny Samojlik



Pod koniec wojny chodziłam do prywatnego przedszkola pani Martyny Zgirskiej. Pani Martyna była siostrą znanej i szanowanej w Piasecznie lekarki, Stanisławy Zgirskiej – Bagieńskiej, żony pani Stanisławy, Henryk Bagieński, był farmaceutą i prowadził aptekę przy zbiegu Nadarzyńskiej i Kościuszki. Rodzina przyjechała do Piaseczna z Kresów⁵ uciekając przed bolszewikami w 1920 r.

Wiem, że z Kresów pochodziła też pani Rytarowska, bardzo dobra dentystka, jej mąż miał oryginalne imię: Bożydar.

Państwo Bagieńscy mieszkali przy ulicy Świętojańskiej w drugim domu po prawej stronie ulicy i w tym domu prowadziła przedszkole pani Martyna. Mama mnie tam zaprowadzała, ale nie byłam zachwycona. Nie lubiłam pani Martyny, miała szorstki sposób bycia i była bardzo rygorystyczna. Po wojnie została pierwszą kierowniczką państwowego przedszkola przy Świętojańskiej.

⁵ Kresy Wschodnie: przedwojenne ziemie II Rzeczypospolitej zawłaszczone we wrześniu 1939 r. przez ZSRR, w lutym 1945 r. wcielone do jego obszaru Układem Jałtańskim. Są to Wileńszczyzna z Nowogródzczyzną, Galicja (Małopolska) Wschodnia z Wołyniem. Obecnie stanowią fragmenty obszarów państwowych Ukrainy, Białorusi i Litwy. Termin *Kresy Wschodnie* był zakazany w czasach rządów komunistycznych w Polsce, źródło: <https://ipn.gov.pl>,

O wiele bardziej odpowiadały mi zajęcia w szkole pani Różyckiej, gdzie chodziłam do klasy pierwszej i drugiej. Pani Różycka była przyjemną, kulturalną panią, lekcje prowadziła w swoim, stojącym do dziś, domu w Zalesiu Dolnym przy ulicy Paprociowej. Rano zawsze ktoś z rodziny odprowadzał mnie do Zalesia, a wracałam w grupie dzieci z mojej szkoły - była Irma Kozakiewicz, Jola Karbowska, Piotrek Handke, Witek Kwiatkowski, Zosia Kazubek, którą zwykle przywożono do szkoły bryczką, bo to była zamożna rodzina, ale czasami wracała z nami piechotą. Dużo czasu zajmowała nam droga do domu, bo wciąż coś ciekawego nas zatrzymywało.

Do trzeciej klasy poszłam do szkoły przy Świętojańskiej. Szkołę wybudowano w 1938 r., w czasie wojny nie została zniszczona, bo zajęły ją władze niemieckie przeznaczając na szpital. W tym czasie uczniów przeniesiono do prywatnej willi przy ulicy Poniatowskiego, po wojnie szkoła wróciła do dawnej siedziby. Gdy w 1947 r. zaczęłam naukę w budynku mieściły się dwie szkoły podstawowe: nr 1 i nr 2. Na drugim piętrze i w suterenie była *Jedynka*, na pierwszym piętrze - *Dwójka*, której dyrektorem była pani Bartoszyńska. Sale były ponure, podłogi smarowane czarną, ponoć pyłochłonną, substancją wydzielającą specyficzny, przykry zapach, w klasach mieszczących się w suterenie było ciemno.

Pamiętam, że matematyki uczył pan Wieczorek, od wychowania fizycznego była pani Kinzierska, śpiewu uczył pan Kratke, historii - pan Pyczek, który trzymał w klasie dyscyplinę, gdy uczeń coś przeskrobał dostawał od niego *łapy*, pani Wojciechowska, której mąż zginął w czasie wojny, uczyła języka polskiego, była też pani Modrowska, która przed wojną skończyła filologię francuską, pracę w szkole podjęła w połowie lat czterdziestych po tragicznej śmierci męża. Dobrze pamiętam uczących geografii państwa Veidt, którzy w Piasecznie mieszkali już przed wojną. Wychowawczynią mojej klasy była pani Janina Andrzejewska.



Piaseczno, rok 1953, ogrodzenie kościoła św. Anny od strony ulicy Kościelnej z fragmentem napisu *Wszyscy do* um agitującego do udziału w wyborach przeprowadzonych w październiku 1952 r.

Fot. Stefan Regulski, z archiwum Janiny Samojlik

Jedną z moich dobrych koleżanek, z którą chodziłam do jednej klasy przez całą szkołę podstawową, była Basia Kulikowska. Państwo Kulikowscy mieszkali przy rynku. W drodze do szkoły Basia przychodziła codziennie po mnie, stawiała pod drzwiami i wołała: *Niunia!*, bo tak do mnie w szkole mówiono. To była porządna rodzina. Pani Kulikowska jeździła do Grójca, albo jeszcze dalej, i w dni targowe przywoziła pełne kosze zasypanych sieczką jaj. W domu mówiło się, że Kulikowscy na *Bębenku* mieszkają, a ja nie wiedziałam, o co dorosłym chodzi. A to ulicę tak nazywano: *Bębenek*⁶. Nie ma już tej ani tej ulicy, ani domów, ani niczego. Teraz w miejscu, gdzie mieszkali Kulikowscy, jest blok i duży budynek, w którym są sklepy. A moi wnukowie przyjaźnią się z wnukami Kulikowskich i gdy patrzę na jedną z dziewczyn, widzę twarz jej babci.

Po skończonych siedmiu klasach podstawówki zdałam do liceum, które mieściło się wtedy w budynku przy ulicy Zgoda. Niewielkie klasy były ogrzewane piecami kaflowymi, biblioteka była w małym pomieszczeniu na parterze, a szafy z książkami stały w wąskich korytarzach. Nie było luksusów, ale była doskonała kadra nauczycielska o wysokich kwalifikacjach. Uczyła w liceum pani Sabina Sobczak, polonistka, przed wojną była zastępcą dyrektora jednego z warszawskich renomowanych liceów, była pani Nina Batusiewicz, która przed wojną skończyła Sorbonę, a wojenne losy skierowały ją do Piaseczna, pani Małgorzata Oleszkiewicz, która w czasie wojny była w więzieniu gdzieś w Rosji, jej mąż był profesorem na Politechnice Warszawskiej, do Piaseczna trafili po Powstaniu, mieszkali w drewnianym budynku stojącym obok szkoły na Świętojańskiej.

Porządek utrzymywał woźny pan Jan Szczepański, był groźny, wszyscy się go bali. Moja klasa liczyła dwadzieścia kilka osób, większość stanowiły dziewczęta. Najbliższe mi koleżanki to były: Jola Karbowska, Aneta Kądzioła, Grażyna Morawska i Mirka Mikołajczyk, siostrzenica państwa Smoluchowskich. Państwo Smoluchowscy, bardzo sympatyczni, kulturalni, mieszkali w Poniatówce, mieli troje dzieci, pan Smoluchowski uczył matematyki w Chyliczkach. Mirka pochodziła gdzieś z daleka, z małej wioski i na czas nauki w liceum mieszkała u wujostwa, po maturze studiowała medycynę.

W liceum, chyba dwa razy w miesiącu odbywały się sobotnie potańcówki, między dwiema salami była rozsuwana ściana i dzięki temu było miejsce na zabawę. Studniówka i bal maturalny były na terenie szkoły. Mamy szykowały poczęstunek, pomagały przy organizacji. Na studniówkę obowiązywała ciemna spódnica i biała bluzka, a na bal już można było mieć dowolny strój. Ja miałam sukienkę z jasnoróżowego szyfonu.

Po liceum studiowałam matematykę na Uniwersytecie Warszawskim, po studiach zostałam nauczycielką. Uczyłam matematyki najpierw w Szkole Podstawowej nr 2 w Zalesiu Dolnym, a potem w piaseczyńskim Zespole Szkół Elektrycznych. Gdy zaczynałam tam pracę szkoła mieściła się w Zalesiu Dolnym przy Alei Brzóz, poczynając od końca lat siedemdziesiątych stopniowo przenoszono ją do nowego budynku w Piasecznie przy ulicy Szpitalnej 10.

⁶ dawna nazwa terenu obecnej ul. Rynkowej i parkingu przy ul. Sierakowskiego, nazwa pochodzi od nazwy karczmy, która tu funkcjonowała - red.



Piaseczno, liceum przy ul. Zgoda, studniówka, rok 1958, **od lewej rząd pierwszy** prof. Bielińska, prof. Nina Batusiewicz, prof. Sabina Sobczak, uczennica Barbara Zajączkowska, dyrektor Lewkowski, prof. Kobel z mężem, Janina Sałapska -Folta, ks. Tadeusz Uszyński, prof. Maciej Chelmski, **od lewej rząd drugi** n.n., woźny Tadeusz Szczepański, prof. Bogusław Micza, Jadwiga Pacuła, Henryk Handke, Urszula n., Hanna Cariuk, Janina Koc, Jolanta Karbowska, n.n., **od lewej rząd trzeci** Barbara Kiriła, n.n., Barbara Szymańczyk, n.n., Teresa Drzewiecka, Wanda Paczesna, Mirosław n, Janina Regulska, n.n., Krystyna Przestępna, Barbara Szczycińska, **od lewej rząd czwarty** Andrzej Lutrowicz, Barbara Kanecka, Grażyna Morawska, Antoni Lendzion, Jolanta Modrowska, Adam Klimek, n.n., n Samsel, Marek Klimczak, Andrzej Dajkowski, Ryszard Kielin, Ryszard Kwiatkowski. Fot. z archiwum Janiny Samojlik

Swego czasu to był duży zespół szkół dziennych i wieczorowych o bardzo dobrej renomie. Trudno tam się było dostać, szkoła liczyła około tysiąca dwustu uczniów, a chętnych było o wiele więcej. Uczniowie dojeżdżający mogli skorzystać z internatu, w którym było około stu miejsc. Jako nauczyciel matematyki pracowałam w szkole ponad czterdzieści lat i bardzo dobrze ten czas wspominam. Pracowali tam sympatyczni ludzie, do tej pory odbywają się spotkania emerytowanych nauczycieli z tej szkoły.

Z czasem polityka oświatowa sprawiła, że szkolnictwo zawodowe straciło na znaczeniu, a tym samym zmieniła się piaseczyńska szkoła. Zamknięto warsztaty przy ulicy Czajewicza, internat przeniesiono do Zespołu Szkół w Chyliczkach, a opuszczony budynek przekazano szkole specjalnej.

Mój ojciec mawiał, że w Piasecznie najwięcej było rzeźników i restauracji, ja dołączyłabym do tej listy jeszcze krawców i fryzjerów.

Z restauracji przypominam sobie cztery. Dwie były przy rynku, jedna tam, gdzie dzisiaj jest apteka i to była restauracja Chruścińskich, którzy prowadzili ją przed wojną i w czasie wojny, druga należała do państwa Strekerów i mieściła się w domu państwa Gerberów. Przy ulicy Kościuszki, prawie naprzeciwko obecnego Domu Kultury, była słynna restauracja Hofmanów. Największy ruch był u nich w dni targowe. Handel na targu ustawał koło południa, ale często gospodarze zostawiali wozy i konie przed naszym domem, a sami szli na wódkę do Hofmana. Konie jakiś czas stały cierpliwie, potem denerwowały się i kręciły, próbowały ruszyć z miejsca i bywało, że mało szyby w oknie nie wybiły. Była jeszcze jedna znana restauracja przy skrzyżowaniu ulic Sienkiewicza i Kościuszki, niedaleko krzyża, należała do państwa Szymańskich. Ich córka, to szanowana w Piasecznie doktor Maria Mrówczyńska, pediatra.

Zakładów krawieckich po wojnie było w Piasecznie dużo. Renomowany zakład prowadził pan Zambruski, przy ulicy Gruzowej swój zakład miał pan Górny, przy Warszawskiej mieszkała krawcowa, pani Stanisława, której nazwiska nie pamiętam, przy Mickiewicza – pani Rowińska, szyjąca eleganckie rzeczy z dobrych gatunkowo materiałów, przy Sierakowskiego - pani Paprocka. Poza tym było dużo domorosłych talentów. Obok nas, przy Kościuszki, tam gdzie obecnie jest lodziarnia, mieszkała pani Nyczkowa⁷. Moja mama, gdy skończyła szkołę, chodziła do niej na praktyki z krawiectwa. Co prawda, jak wspominała po latach, musiała też pomagać w domu i dzieckiem się opiekować, ale i tak wiele się nauczyła.

Fryzjerów w Piasecznie nie brakowało. Przy rynku, w domu należącym do państwa Gerberów, był fryzjer, który nazywał się Piątkiewicz, przy Warszawskiej zakład fryzjerski miał pan Gogol, za krzyżem przy Kościuszki swój zakład miał fryzjer, na którego wszyscy mówili Janusz.

Był też fryzjer Gorożankin, do którego chodziła moja mama, gdy chciała mieć fryzurę na uroczyste okazje. Mnie i siostrę prowadziła do pana Gogola, który obcinał nas na *garsonkę*⁸ lub *półgarsonkę*.

⁷ Lucyna Niczkie - red.

⁸ *Garsonka* – krótka fryzura damska, włosy wycieniowane na karku wykończone linią prostą albo w szpic, inaczej: chłopczyca od fr. *garçon* (chłopiec), wprowadzona przez znanego fryzjera Antoniego (Antoine) Cierplikowskiego w latach dwudziestych XX w., źródło: www.polskieradio.pl, *Antoni Cieplikowski ścinał kobiety na chłopczycę*, 14.09.2014.

Nie lubiłam tych wizyt, bo włosy z tyłu były strzyżone maszynką, która bardzo szarpała.

Ze swoimi dziećmi do strzyżenia chodziłam do pana Tralewicza, który miał zakład przy Sienkiewicza. Pan Tralewicz miał dwóch synów, z których jeden został fryzjerem. A jedyna fryzjerka, którą ja pamiętam, choć pewno było ich więcej, to pani Pasikowska, miała zakład naprzeciwko starego cmentarza, jej córka poszła w ślady mamy, została fryzjerką i otworzyła zakład przy Puławskiej.

Zakładów fryzjerskich nadal jest w Piasecznie wiele, krawców może mniej, nie ma za to felczerów. Wiem, że w czasie pierwszej wojny i po niej był w Piasecznie felczer⁹ Gula, słyszałam o nim, bo jego żona była kuzynką mojej babci. Felczerem, którego już pamiętam, był pan Kazimierz Glonek. Pan Glonek bardziej jest znany jako fryzjer, swój zakład fryzjerski miał przy ulicy Kościuszki w okolicy małego rynku¹⁰.

Postaciami ważnymi dla miasta byli piaseczyńscy księża, z niektórymi moi rodzice byli dość zaprzyjaźnieni. Dobrze znali się z księdzem Stefanem Ulatowskim, z księdzem Stefanem Piotrowskim. Ksiądz Piotrowski do naszej parafii został skierowany po upadku Powstania, wiem od ojca, że walczył w Powstaniu, był kapelanem, należał do Armii Krajowej. Dość szybko został z naszej parafii przeniesiony na Mokotów, do parafii św. Michała i zajmował się między innymi odbudową tamtejszego kościoła. Kościół projektował architekt Władysław Pieńkowski, a mój ojciec wykonał makietę, którą przez wiele lat można było oglądać w kościele.



Stefan Regulski, rok 1924
Fot. z archiwum Janiny Samojlik



Janina Poncyliusz, rok 1926.
Fot. z archiwum Janiny Samojlik

Ojciec, z zawodu sztukator¹¹, był uzdolniony plastycznie: rzeźbił, malował, rysował, zajmował się fotografią. Po wojnie pracował w Warszawie w spółdzielni sztukatorsko-rzeźbiarskiej i w pałacu Mostowskich¹² wykonywał różne rzeźby. W Piasecznie zostało kilka jego rzeźb: nagrobki na cmentarzu, odnowiona przez niego figura św. Nepomucena w naszym kościele, kapliczki na posesjach prywatnych osób w Zalesiu, był też znak kolei wąskotorowej na nie-

⁹ felczer – osoba uprawniona do świadczenia prostej pomocy medycznej chorym, kwalifikacje felczera są niższe niż lekarza, źródło: <https://wikipedia.org/pl>

¹⁰ mały rynek to popularna nazwa placu, na którym zbiegają się ulice: Kościuszki, Sierakowskiego, Kilińskiego i Naderzyńska - red.

¹¹ sztukator - tworzy lub odtwarza elementy dekoracyjne i zdobnicze wnętrza i elewacji budynków

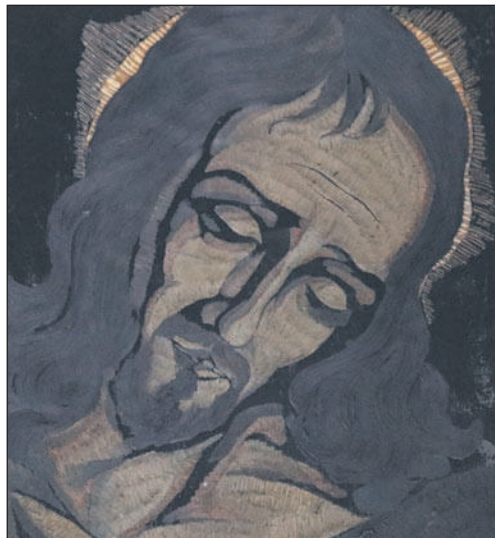
¹² Pałac Mostowskich - Warszawa, ul. Nowolipie 2, zbudowany w drugiej połowie XVIII w., zniszczony w czasie II wojny światowej, odbudowany pod koniec lat 40 XX w., był siedzibą Komendy Milicji Obywatelskiej, obecnie mieści się w nim Komenda Stołeczna Policji, źródło: www.polskaniezwykla.pl

istniejącej dziś wieży ciśnień. W 1948 roku zaprojektował i wykonał herb miasta umieszczony na frontowej ścianie ratusza, wszyscy mówili, że w herbie jest koziołek, a ojciec, na podstawie ryciny w jakiejś starej książce, twierdził, że to koziorożec. W 1990 roku wykonano nowego koziołka, stary został wykuty ze ściany i nie wiadomo co się z nim stało¹³.



Piaseczno, plebania parafialna, siedzą od lewej: prymas August Hlond, ks. Stefan Ulatowski, rok 1946
Fot. z archiwum Janiny Samojlik

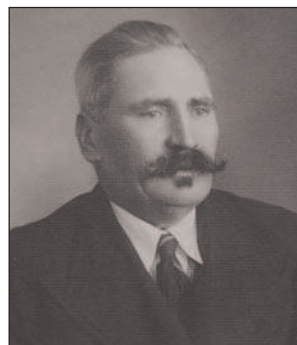
Stefan Regulski, malowidło na szkle, rok 1925,
własność rodziny.
Fot. Małgorzata Kawka-Piotrowska



¹³ herb Piaseczna pochodzi od herbu szlacheckiego Junosza i przedstawia baranka z rogami kozła na czerwonej tarczy herbowej - red.

W domu przy Kościelnej moja rodzina mieszka od czterech pokoleń. Pradziadkowie Tomasz i Marcelina Poncyliuszowie mieli dużo dzieci, żyli z uprawy gospodarstwa rolnego, którego część dostał mój dziadek.

Aleksander Poncyliusz, lata trzydzieste XX w.
Fot. z archiwum Janiny Samojlik



Dziadkowie Aleksander i Marianna Teodora z Małeckich pobrali się w 1906 r. Mieli troje dzieci: Jadwigę, Władysława i moją mamę, Janinę. Dziadkom nieźle się powodziło, obok gospodarstwa mieli sklep kolonialny na rogu ulic Kościelnej i Kościuszki. Przed wybuchem I wojny światowej dziadek został zmobilizowany do wojska carskiego, poszedł na wojnę, z której wrócił po kilku latach. Przez ten czas gospodarstwo i sklep bardzo podupadły, ale dziadek był pracowity i, gdy moi rodzice pobierali się, sytuacja materialna rodziny była już całkiem dobra. W tej chwili nic z dziadkowego gospodarstwa nie zostało. Po wojnie władza przymusowo wywłaszczała gospodarzy z ich własności, dziadka ziemię przejmowano pod budowę a to Laminy, a to osiedla, a to jeszcze czegoś innego.



Jadwiga Poncyliusz, rok 1944
Fot. z archiwum Janiny Samojlik

Dziadek Poncyliusz zmarł w 1947 roku, gdy byłam małym dzieckiem, ale pamiętam, że był ciepłym, miłym, dobrym człowiekiem. Gdy jeszcze był zdrowy, bo pod koniec życia ciężko chorował, jeździliśmy razem na pole i gdy wczesnym latem owocowały czereśnie, dziadek mówił: *wnusiu, zerwę ci czeresienki z drzewa*. Mój brat twierdził, że to był najlepszy człowiek, z jakim się w życiu spotkał.

Moi rodzice wzięli ślub w 1928 roku i zamieszkali razem z dziadkami w domu przy Kościelnej. Tu przyszły na świat ich dzieci – ja, Wanda i najstarszy z nas, już nieżyjący, Maciek.

Janina i Stefan Regulscy,
dedykacja pod zdjęciem: *Naszym kochanym i zacnym
Rodzicom Janka i Stefan Regulscy, 18 lutego, 1928 rok.*
Fot. z archiwum Janiny Samojlik



Wanda skończyła SGPiS¹⁴ w Warszawie, dostała odpowiedzialną pracę w Banku Handlowym i zamieszkała w stolicy. Maciej, przystojny, mądry i zdolny, skończył szkołę morską, był kapitanem żeglugi wielkiej, losy rzuciły go do Nowego Jorku. Gdy zmarł, przywiozłam jego prochy i jest pochowany na starym cmentarzu w Piasecznie.

Maciej, Janina (z lewej) i Wanda Regulscy,
rok 1947
Fot. z archiwum Janiny Samojlik



¹⁴ SGPiS (Szkoła Główna Planowania i Statystyki) - uczelnia przekształcona w 1949 roku z powstałej w pierwszych latach XX w. Szkoły Głównej Handlowej, do dawnej nazwy wrócono w 1991r., źródło: <http://uczelnia.sgh.waw.pl>

Oni wyjechali z domu w świat, a ja zostałam, opiekować się rodzicami i domem. On jest bardzo ważny, w nim trwa pamięć o pradziadkach, dziadkach, moich rodzicach, a kiedyś zostanie też pamięć o mnie. Mam sześcioro dzieci, są wnuki i prawnuki. Wierzę, że będzie wśród nich ktoś, kto się tym domem zaopiekuje.



Janina Samojlik

Fot. Małgorzata Kawka-Piotrowska

Wspomina Grażyna Sierańska

Opowieść o ludziach z mojej ulicy

Wystarczy, że zamknę oczy i widzę ulicę Rejtana taką, jak za czasów mojego dzieciństwa i młodości, widzę domy, ogrody, drzewa, krzewy pięknego bzu. W międzywojniu stawiali przy niej swoje domy głównie bardzo zamożni ludzie, budowano eleganckie wille, po wojnie ubyło dawnych właścicieli, pojawili się nowi, dokwaterowywano lokatorów, ale mimo wszystko ulica nie straciła dawnej elegancji. Widać, nowi mieszkańcy tworzyli podobną atmosferę jak ich poprzednicy. Spróbuję opowiedzieć o mieszkańcach ulicy Rejtana wplatając w to losy mojej rodziny i swoje, bo one również są częścią tej historii.

Przed laty, na dużej działce przy ulicy Rejtana 12, stały dwa równoległe domy, drewniane, parterowe, tego stojącego głębiej już nie ma, w jego miejscu stoi blok mieszkalny, ten od frontu istnieje, jest tylko trochę zmieniony, bo współcześnie powiększony o dobudówkę. W tym ocalałym budynku, zajmując połowę domu, mieszkali moi dziadkowie, Marianna i Józef Skonieczni.

Maria Skonieczna w swoim
ogrodzie, Piaseczno, ul.
Rejtana 12, rok 1962
Fot. z archiwum
Grażyny Sierańskiej



Dziadkowie pochodzą z Warszawy. Dziadek miał dużą i znaną pracownię krawiecką, w której szyto męskie garnitury. W czasie Powstania Warszawskiego dziadkowie, moja mama i jej brat trafili do obozu przejściowego w Pruszkowie¹, stamtąd dziadków wywieziono na roboty do Nie-

¹ Obóz w Pruszkowie (Dulag 121): niemiecki obóz przejściowy dla ludności cywilnej wypędzonej z Warszawy podczas Powstania Warszawskiego. Przez obóz przeszło 650 tys ludzi wywożonych do obozów koncentracyjnych, na roboty do Niemiec oraz, część uznana za niezdolnych do pracy, do różnych miejscowości Generalnej Guberni, (GG: część okupowanego przez Niemców terytorium Polski), źródła: www.dulag121.pl, www.sppw1944.org, www.sjp.pl

mieć, moją mamę do Auschwitz², a piętnastoletniego brata do obozu w Austrii, gdzie pracował w kamieniołomach. Dziadkowie wrócili do Warszawy zaraz po wyzwoleniu, a że ich dom był całkowicie zburzony dostali przydział kwatery w Piasecznie, przy Rejtana, w domu należącym do pana Pawłowskiego.

Zamieszkali w dwóch pokojach z kuchnią, były jeszcze duże werandy, na jedną wychodziło się z kuchni, na drugą z pokoju, dom otaczał ogród, w którym babcia hodowała warzywa i swoje ulubione kwiaty: ostróżki, dalie i cynie.

Mamie droga powrotna do Warszawy zajęła więcej czasu. W grudniu 1944 roku Niemcy rozpoczęli ewakuację więźniów Auschwitz nazywaną *marszem śmierci*,³ część więźniów, w tym moja mama, trafiła do Ravensbrück⁴. Obóz wyzwolono w maju, a mama wróciła do Polski w czerwcu, bo drogę pokonywała głównie piechotą. Swoich rodziców odnalazła przez Polski Czerwony Krzyż. Do Piaseczna przyjechała zmęczona i opuchnięta z głodu.

Obok domu dziadków, od strony Jeziorki, stał budynek należący do pana Golera, zamieszkały przez trzy rodziny, szczególnie dobrze pamiętam państwa Witkowskich. Pan Witkowski był murarzem, bardzo dobrym fachowcem. Syn państwa Witkowskich, który po latach mieszkał w moim sąsiedztwie, był stolarzem, jego żona Daniela, nazywana przez wszystkich Danusią, pochodziła z rodziny Regnerów. Pan Piotr był pracowity, sympatyczny, mawiał, że *u kobiety pantofelek się liczy, jak kobieta nóżkę wystawi to ma być ładny pantofelek widać* i rzeczywiście, jego żona zawsze była elegancko ubrana, a i pan Piotr dbał o odpowiedni strój.

Sąsiadami dziadków z drugiej strony byli właściciele rozlewni wody gazowej w Zalesiu, państwo Mareccy. Państwo Mareccy mieli dwoje, nieżyjących już dzieci, Henryka i Renię, która często zapraszała mnie do domu i pięknie grała dla mnie na fortepianie. Ich dom stoi do dzisiaj, lecz po licznych przebudowach wygląda inaczej.

Ale do czasu przebudowy willi, do wyburzenia innych domów jest jeszcze wiele lat, na razie w mojej opowieści jest rok 1945 i moja mama wraca do rodziców. Dziadek stara się utrzymać rodzinę z szycia, co nie jest łatwe, ale mają co jeść, mają dach nad głową, wydaje się, że sytuacja zaczyna się powoli stabilizować. Wszystko zmienia się w roku 1947. W styczniu tego roku dziadek umiera na zapalenie płuc, nie pomagają punkcje robione przez doktora Koperskiego. Kilka miesięcy później z Anglii wraca do kraju mój ojciec – Stanisław Tomala.

Moi rodzice pochodzą z Warszawy i znali się już przed wojną. Ojciec kochał się w mamie, ale ona wcale nie była nim zainteresowana. W czasie wojny, ojciec jako żołnierz armii generała Maczka⁵ trafił do Anglii, do Londynu. Po zakończeniu wojny starał się odszukać mamę przez PCK, ale bezskutecznie. Zaczął już na obczyźnie układać sobie życie, gdy niespodziewanie do-

² Obóz koncentracyjny Auschwitz (1940-1945) - utworzony na przedmieściach Oświęcimia największy z czterech niemieckich obozów koncentracyjnych założonych na okupowanych ziemiach polskich, (pozostałe: Majdanek, Płaszów, Warszawa), źródło: www.auschwitz.org

³ Marsze Śmierci - określenie marszu więźniów lub jeńców zmuszanych do pieszego przemieszczania się bez zapewnienia im odpowiednich warunków, co skutkowało dużą śmiertelnością. Marsze organizowano w różnych częściach świata; zakwalifikowane są jako zbrodnie wojenne, źródło: www.pl.wikipedia.org, www.auschwitz.org

⁴ Obóz koncentracyjny Ravensbrück (1939- 1945) - największy obóz koncentracyjny powstały na terenach niemieckich, źródło: www.ravensbruck.pl

⁵ Armia generała Maczka - utworzona przez gen. Stanisława Maczka w lutym 1942 roku w Szkocji 10 Brygada Kawalerii Pancerniej przemianowana w roku 1943 na 1 Dywizję Pancerną, źródło: www.historia.org.pl

stała wiadomość, że panna Witolda Skonieczna żyje i mieszka w Piasecznie. Zostawił wszystko i wrócił do kraju. Ślub wzięli kilka miesięcy później. Mama sama uszyła sobie sukienkę, ojciec do ślubu szedł w swoim Battle Dressie⁶.

Ojciec przez długi czas ubierał się w wojskowym stylu, taka wtedy była moda. Panowie nosili bryczesy i buty oficerki z cholewą do kolan, wąską, jak do jazdy konnej. Pamiętam z dzieciństwa, że ojcu, po całym dniu pracy, nieraz trzeba było pomóc zdjąć buty. Był do tego używany specjalny stojak z wycięciem na piętę, nazywało się to *pies* albo *koziółek*. Stawałyśmy z siostrą na tym *psie*, a mama ciągnęła but. Po latach tata zmienił styl ubierania, ale zawsze nosił charakterystyczny dla *maczkowców* beret, czarny z obwódką ze skóry i z dwiema krótkimi tasiemkami z tyłu.

Witolda Skonieczna i Stanisław Tomala,
Piaseczno, przed kościołem św. Anny,
(w głębi stara plebania), sierpień, 1947 r.
Fot. z archiwum Grażyny Sierańskiej



W Piasecznie mieszkał jeszcze jeden żołnierz armii generała Maczka. To był, zaprzyjaźniony z moim ojcem, pan Cariuk mieszkający, tak jak my, przy Rejtana. Elegancki, zadbany, jeździł fiatem mirafiori, czym wzbudzał zainteresowanie, bo taki samochód należał w tamtych latach do rzadkości, był też pan Cariuk właścicielem wyjątkowej willi – w niej przed wojną mieszkał Bronisław Gałczyński, kuzyn poety Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

To był piękny dom otoczony równie pięknym ogrodem, w którym rosły krzaki dubeltowego tureckiego bzu i ogromne, pewno kilkusetletnie, dęby. Czasem tata zabierał mnie ze sobą,

⁶ Battle Dress: nazwa munduru wojskowego przyjętego przez Armię Brytyjską; Polskie Siły Zbrojne formowane na terenie Wielkiej Brytanii i Środkowym Bliskim Wschodzie przyjęły umundurowanie brytyjskie z zachowaniem elementów umundurowania świadczących o przynależności państwowej, źródło: pl.wikipedia.org

gdy szedł do Cariuka w odwiedziny. Do willi prowadziły szerokie schody, wchodziło się przez duże, piękne, półokrągłe drzwi, na parterze mieszkali lokatorzy, a pan Cariuk na piętrze. Pamiętam modrzewiowe sufity w czerwonym kolorze, stylowe meble.

Po wykwaterowaniu mieszkańców willi kupiła ją dla swojej działalności Spółdzielnia Inwalidów *Użyteczność*, m.in. w przybudówce willi pikowano kotłody. Kilkanaście lat temu, gdy Spółdzielnia opuściła willę i pojawiły się pogłoski o jej wyburzeniu, znalazł się człowiek, który chciał ją od tego losu ocalić. Pan Siegieda, bo o nim mówię, prawie trzy lata starał się zainteresować losem willi różne instytucje, ale pewnej nocy z soboty na niedzielę przyjechały maszyny, szast-prast, i rankiem nie było willi ani drzew w ogrodzie, zostały ruiny i nie było już o co walczyć. A potem w tym miejscu stanął blok mieszkalny.

Tymczasem w mojej opowieści willa stoi i mieszkają w niej lokatorzy, jednymi z nich są państwo Kotwicowie. Pan Kotwica był właścicielem apteki przy Kościuszki. Moja mama, aby utrzymać dom szyła koszule męskie, a że robiła to bardzo dobrze zamawiali u niej koszule zamężni ludzie, wśród nich pani Paulina Kotwica. Mama zanosząc uszyte koszule zabierała mnie ze sobą, panie piły herbatę, a ja dostawałam kompot. Państwo Kotwicowie mieli dwoje dzieci Grażynę i Maćka. Do Maćka, gdy był już starszym chłopcem, przyjeżdżał na skuterze WESPA Maciek Kosmała i wtedy dzieciaki z całej ulicy biegły, żeby ten skuter obejrzeć. To był przedmiot luksusowy tak samo, jak motocykl MZK-a mojego ojca - bardzo elegancki pojazd w wiśniowym kolorze z seledynową kokardką na baku. Ojciec mógł sobie wtedy pozwolić na taki zakup, bo był agentem pięciu stacji benzynowych, jedna stała w Piasecznie, tam, gdzie dzisiaj jest księgarnia *Bzyk*.

Piaseczno, stacja benzynowa
w Piasecznie przy
ul. Warszawskiej,
(obecnie w tym miejscu
znajduje się księgarnia *Bzyk*),
około roku 1958.
Fot. z archiwum
Grażyny Sierańskiej



Na początku lat sześćdziesiątych, CPN wypowiedziało z dnia na dzień umowy swoim agentom, z których większość stanowili *maczkowcy*. Ojciec został bez pracy, zaczęło brakować pieniędzy i sprzedał MZK-ę panu Kochowi, właścicielowi piaseczyńskiego kina *Mewa*. Jeszcze przed sprzedażą motoru ojciec został aresztowany, pamiętam rewizję przeprowadzoną w naszym domu przez dwóch panów szperających w szafie w poszukiwaniu nielegowanego złota czy dolarów. Mamie udało się wynająć jednego z najlepszych warszawskich adwokatów i dzięki niemu ojciec dość szybko wyszedł z więzienia przy Rakowieckiej.

Gdy motocykl należał jeszcze do ojca, Grażynka Kleszcz i Zosia Jarek przychodziły do mnie i we trzy siadałyśmy na motor, aż kiedyś go przewróciłyśmy. Tata przyjął to spokojnie, tym bardziej, że nam się nic nie stało, motor też nie ucierpiał. Z perspektywy lat widzę, jak dużo tata miał wyrozumiałości dla mnie i moich zachcianek. Ot, choćby sytuacja, która miała miejsce w jego imieniny. Byłam chora i miała przyjść pani Zbrożek, żeby zrobić mi zastrzyk. Pani Maria Zbrożek była naczelną pielęgniarką w Piasecznie i tylko ona robiła dzieciom zastrzyki z penicyliny, bo nią się dzieci wtedy leczyło. Przychodzi pani Maria ze swoją nieodłączną dużą skórzaną torbą na długim pasku, a ja leżę i wyję z strachu przed tym zastrzykiem. Na to ojciec mówi: *dzisiaj nie ma zastrzyków, dzisiaj są moje imieniny* i pani Maria musiała ustąpić. Innym razem ubzdurałam sobie, że muszę mieć kurkę ze słynnego sklepu pani Wieczorkiewicz. To była mała plastikowa żółta kurka z różowymi nóżkami, gdy się ją przycisnęło zносиła jajka. Mama i babcia nie chciały mi jej kupić, a ojciec wrócił z pracy i poszliśmy do pani Wieczorkiewicz po wymarzoną kurkę. To był jeszcze czas, gdy sklepik był w swoim pierwszym miejscu przy ulicy Sienkiewicza, potem przeniesiono go do lokalu na drugą stronę ulicy. Ze sklepem pani Wieczorkiewicz sąsiadował jedyny wówczas w Piasecznie komis, sprzedawano w nim przywożone z zagranicy, u nas niedostępne towary. Ale w tej opowieści ważniejszy od towarów jest właściciel komis.

Pan Włodzimierz de Makay, niewysoki, szczupły brunet ze śniadą cerą, był prawdziwym węgierskim hrabią. Mieszkał z żoną Walerią przy ulicy Świętojańskiej. Pani de Makay do niegrzecznych dzieci mówiła *panno* lub *kawalerze*. Gdy widziała, że dziecko śmieci na ulicy przed jej domem, wychodziła przed furtkę i mówiła: *kawalerze, proszę to podnieść*.

W tym czasie w Piasecznie był jeszcze jeden wyjątkowy sklep, taki ówczesny Leroy Merlin. Sklep mieścił się na parterze budynku Regnerów przy ulicy Kościuszki, a właścicielami byli państwo Chmielewscy. Do nich chodzący się po farby *Ton* do sufitu i *Maluj sam* do ścian, po farby olejne do podłóg, z których największe wzięcie miał kolor *średni orzech*, po pędzle, szpachle i gumowe rolki z narysowanym szablonem do odbijania wzorków na ścianie, bo wtedy takie były modne. Zapotrzebowanie na to wszystko było duże, bo mieszkania, a szczególnie kuchnie, w których palono węglem, były odnawiane niemalże co roku. Przed świętami Bożego Narodzenia kupowało się u Chmielewskich bombki na choinkę, łańcuchy, lamety⁷. Można też było kupić *Inektę*, farbę do siwych włosów. Farby do włosów były też w składzie aptecznym pani Tychmanowicz, ale tam jako dziecko nie chodziłam. Skład był przy Kościuszki, w miejscu gdzie teraz pod nr 31 jest piekarnia Putki. Tychmanowiczowie dawno już nie żyją, pochowani są na starym cmentarzu.

A wracając na Rejtana, to przy końcu ulicy, w przedostatnim domu w stronę rzeki, mieszkali starsi państwo Mickoley. I kiedyś wybuchła sensacja na ulicy, bo strażacy do nich przyjechali! Wszystkie dzieciaki pobiegły zobaczyć, co tam się dzieje. Okazało się, że pani Mickoley wpadła do studni, utopiła się i strażacy ją wyciągali. Nie pamiętam tego widoku, chociaż wiem, że też pobiegłam tam z dziećmi. Tak samo nie pamiętam dziewczyny, która utopiła się w Jeziorce, a ciało zobaczył ktoś pod mostem żabienieckim. To była zima, był śnieg i lód, bezskutecznie próbowano dziewczynę bosakami spod kry wyłowić, aż pan Traczyk, który mieszkał niedaleko Jezioroki, wyciągnął ją za rękę. To była młoda dziewczyna, uczennica, plotki mówiły, że była w ciąży.

⁷ lameta - ozdoba choinkowa w formie wąskich, błyszczących, metalowych nitek, źródło: www.sjp.pwn.pl

Dzisiaj myślę, jak bardzo życie przeplata się ze śmiercią. Doktor Dajkowski przez wiele lat, tradycyjnie pierwszego maja, przyjeżdżał na Rejtana swoją dekawką⁸, włożyły do niej na ścisk dzieciaki, czasem dziesięcioro nas tam było, i jechaliśmy na plażę przy tym samym żabieniec-kim moście, przy którym znaleziono ciało tamtej dziewczyny. Pan doktor rozkładał koce i wystawiał słoje z kwaszonymi ogórkami, wysypywał mnóstwo bułek i mieliśmy wesoły piknik.

Naprzeciwko domu państwa Mickoley, po drugiej stronie ulicy mieszkali państwo Bany, Wejbel (Wajbel) i Czumer, który grał w znanej orkiestrze Cajmera. Pani Stasia Bany była piekarzem i chodziła na nocne zmiany do piekarni. Pani Wajbel, aby dorobić do emerytury, jeździła do Warszawy, kupowała delikatesowe parówki a u Wedla cukierki *fistaszki*, kakao, i sprzedawała je w domu. Mama do niej chodziła czasem po takie rarytasy.

Prawie naprzeciwko tego domu była willa Morawskich. Państwo Morawscy mieli dwóch synów i córkę. Ania czasem bawiła się z nami na ulicy w *zbijaka*, ale raczej ta rodzina trzymała się na uboczu. Pan Morawski był weterynarzem, zajmował się między innymi badaniem mięsa po uboju świni i na brak pracy nie narzekał, bo w Piasecznie, także przy mojej ulicy, niejedna osoba świnie wtedy hodowała.

Sąsiadami Morawskich byli państwo Kleszczowie. Zamieszkiwana przez nich willa, także projektowana przez Chrzanowskiego, należała dawniej do pana Wiktora Rynga. Małżeństwo Ryngów było bezdzietne i po ich śmierci, w końcu lat pięćdziesiątych, do willi wprowadził się Mieczysław Kleszcz z rodziną. Pan Kleszcz był komendantem piaseczyńskiej milicji, z jego córką, Grażynką, jako dzieci chodziliśmy na komendę przy rynku. Pamiętam tamte pokoje - długie, wąskie, ciemne klitki.

Posesja, na której mieszkali państwo Anna i Stanisław Jarkowie, stała prawie na początku ulicy, przed nimi był jeszcze jeden dom. Jarkowie mieli pięcioro dzieci, ja przyjaźniłam się z Zosią, a moja siostra z Tereską chodziła do szkoły na Świętojańską. Pan Stanisław zajmował się rozwożeniem pieczywa z piekarni pani Okrasowej. Jeździł wozem konnym należącym do właścicieli piekarni. Pojazd był bardzo charakterystyczny – podobny do kibitki⁹, pomalowany na żółto. A chleby u Okrasowej pieczono pyszne, do tej pory pamiętam ich smak.

Pomiędzy willą Cariuka a posesją państwa Jarków był dom nieżyjącej już pani Heleny Leonard, nauczycielki. Pani Helena wraz z moją babcią, panią Krysią Betley, państwem Naczyńskimi należeli do *paczki* pana Łukszy. Pan Łukszo, repatriant¹⁰ ze Wschodu¹¹, wdowiec, był pogodny, pracowity, uczynny. Miał kosę cienką jak igłą, przywiezioną z domu na Kresach i wspaniale kosił nią trawę, równiutko, jak kosiarką. Jego *paczka* spotykała się na imieninach, urodzinach, na świętach, a czasem i bez okazji, żeby porozmawiać, zjeść, wypić domową nalewkę. Pan Łukszo zmarł mając ponad dziewięćdziesiąt lat.

⁸ Dekawka - popularna w Polsce nazwa samochodów marki DKW produkowanych w Niemczech, źródło: pl.wikipedia.org

⁹ Kibitka - zabudowany wóz gospodarski na kołach lub płozach używany w Rosji, za czasów caratu wykorzystywany do przewozu więźniów; źródło: Władysław Kopaliński, Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych, 1989

¹⁰ Repatriacja - powrót do swojego kraju osób, które zwykle niezależnie od swojej woli znalazły się poza jego granicami, w PRL repatriantami fałszywie nazywano Polaków przymusowo wysiedlanych z Kresów Wschodnich, źródło: <https://sjp.pwn.pl>, <https://wikipedia.org/pl>

¹¹ Kresy Wschodnie - przedwojenne ziemie II Rzeczypospolitej zawłaszczone we wrześniu 1939 r. przez ZSRR, w lutym 1945 r. wcielone do jego obszaru Układem Jałtańskim. Są to Wileńszczyzna z Nowogródczyną, Galicja (Małopolska) Wschodnia z Wołyniem. Obecnie stanowią fragmenty obszarów państwowych Ukrainy, Białorusi i Litwy. Termin Kresy Wschodnie był zakazany w czasach rządów komunistycznych w Polsce, źródło: <https://ipn.gov.pl>

Mniej więcej naprzeciwko domu pani Lenard jest willa należąca do ojca pani Barbary Różyckiej. Stefan Różycki był przedwojennym profesorem, geologiem, akowcem, uczestnikiem pierwszej powojennej polskiej wyprawy na Spitsbergen¹². Pani Basia opowiadała, że jej ojciec ma tam tablicę pamiątkową.

Obok tej willi, przy końcu ulicy, stał stary, zbudowany chyba w 1910 roku, niski dom w amfiladzie, mieszkali w nim państwo Betleyowie. Przystojny pan Betley miał charakterystyczne okragłe okulary i chodził w bryczesach w kratę. Był inżynierem kolejowym, pracował na kolei a w ramach pomocy sąsiedzkiej uczył moją siostrę matematyki.

W 1957 roku rodzice kupili od państwa Betleyów część działki i zbudowali dom. Najpierw był to pokój z kuchnią, a po kilku latach dobudowano jeszcze jeden pokój. Łazienka była urządzona w małej werandce służącej za przedpokój i zimą, mimo włączonego pieca elektrycznego, było tak zimno, że gdy człowiek wychodził z wanny, to skóra parowała.

Rodzice rozbudowali dom, a trzy lata później w kącie ogrodu, tuż przy ulicy stanęła drewniana, kolorowa budka z artykułami spożywczymi należąca do państwa Grabowskich. Wcześniej ich sklepik stał przy ulicy 17 stycznia, tam gdzie teraz jest figurka, ale władza ich stamtąd wyrzuciła i wtedy przenieśli budkę na naszą działkę, która graniczyła z 17 stycznia, więc tak naprawdę przenieśli sklepik na drugą stronę ulicy.

Piasieczno, ulica Rejtana 12,
na pierwszym planie: Bożenka
Tomala, w głębi Grażynka
Tomala, Zosia Jarek i n.n.,
wrzesień, 1955 r.
Fot. z archiwum
Grażyny Sierańskiej



Państwo Grabowscy, Maria i Franciszek oraz jego siostra Jadzia byli naszą rodziną. Po Powstaniu dostali przydział mieszkaniowy w Piasiecznie, w Pekinie. W budynku nie było wody, kanalizacji, ale oni, chociaż z czasem stali się zamożnymi ludźmi, nie chcieli zmieniać domu. Mówili, że urzekł ich widok z okien na Jeziorkę. Niedawno ten budynek został zburzony, a na jego miejscu powstają domy socjalne.

¹² Spitsbergen - największa wyspa norweska w archipelagu Svalbard na Oceanie Arktycznym, Polska należy do najbardziej aktywnych państw prowadzących na wyspie badania naukowe, alpinistyczne i polarne, posiada swoją stację polarną, źródło: <http://www.stacja.arktyka.com>

W budce sprzedawała Jadwiga. To była przystojna kobieta, miała ładne, kręcone włosy. W młodości przeżyła duży zawód miłosny i nie chciała się z nikim wiązać. Miała już sześćdziesiąt parę lat, gdy poznała pana Sienkiewicza i zakochali się w sobie. W kwietniu, w czasie świąt, miał być ich ślub, tylko że przed samym ślubem pan Sienkiewicz zmarł. I Jadzia już do końca życia była sama.

Co można było u niej w budce kupić? Wszystko o czym marzyły wtedy dzieci. Była oranżada, woda gazowa w syfonach, lizaki, krówki z Milanówka, landrynki, cukierki *hula-hop* i cukierki *mleczaki*. Przychodziły dzieciaki z grosikami wyżebranymi od matki i prosiły urzędującą w budce Jadzię: *Pani Grabowska, poproszę cukierków za trzydzieści groszy*, a Jadzia z szarego papieru robiła tutkę¹³ i metalową łyżeczką odsypywała miarkę słodyczy. Za grosiki można też było kupić oranżadę. W budce było urządzenie do mycia szklanek, takie jak w saturatorach¹⁴, Jadzia do mycia brała wodę z naszej studni, optukiwała szklankę i odmierzała dzieciakowi ze sto dwadzieścia gramów oranżady. W niedzielę na stadionie były mecze, chyba wszyscy mieszkańcy Piaseczna szli na stadion, a wracając kupowali u Jadzi oranżadę, rurki z kremem, wafelki *mikado* oblewane pseudo czekoladą, sztuczne banany zrobione z cukru, żółte i zapakowane w celofan. Dorośli kupowali piwo, które było przywożone z rozlewni w Zalesiu albo z drugiej, mieszczącej się w Piasecznie przy Sierakowskiego.

Niedaleko była druga budka z artykułami spożywczymi państwa Kuczyńskich. Mieli sklep najpierw w budynku państwa Olszewskich, a potem na rogu ulic Świętojańskiej i obecnej Gerbera postavili budkę z dykty i pani Kuczyńska sprzedawała tam pieczywo, oranżadę, piwo, śmietanę, masło. Śmietanę wtedy sprzedawano na wagę i często dla podniesienia wagi sprzedawcy zaprawiali ją mąką, masło było bardzo drogie, w biedniejszych domach na co dzień była margaryna albo smalec a masło jadło się tylko w niedzielę.

Państwo Grabowscy zamknęli sklepik w 1979 roku, potem długo ta ich kolorowa budka stała z tyłu domu, aż w końcu spaliliśmy ją w ogrodzie.

Gdy rodzice wybudowali dom i wyprowadziliśmy się od babci, dla mnie i siostry niewiele się zmieniło. Miałymy swoje koleżanki, kolegów, blisko do babci, blisko do szkoły podstawowej przy Świętojańskiej.

Ja lubiłam swoją podstawówkę. Miałam ukochaną wychowawczynię, panią Majcherowicz. Jej mąż był kierownikiem szkoły, często na lekcje przynosił projektor i puszczał nam filmy przyrodnicze, to dzięki niemu pokochałam zwierzęta i rośliny. Pan Majcherowicz uczył śpiewu, prowadził chór szkolny, grał na skrzypcach, ale zawsze dawał tylko pierwszy ton i dalej trzeba było śpiewać a capella. Bardzo chciałam śpiewać w chórze, ale żeby się tam zakwalifikować trzeba było zaśpiewać pierwszą zwrotkę naszego hymnu. Zaczęłam *Jeszcze Polska...*, i tyle było mojego śpiewania, bo nauczyciel powiedział: *siadaj*. Zosia Moskalska należała do chóru, ale narzekała, zajęcia były po lekcjach, które kończyły się o szesnastej, a czasem później, bo zaczęliśmy je na drugiej zmianie. Jak ktoś zgłodził w tym czasie, a dostał złotówkę czy dwie od rodziców, to biegł na drugą stronę ulicy do kiosku pani Parzyskowej, która sprzedawała

¹³ Tutka: potocznie opakowanie z papieru zwiniętego lejkowato w kształcie stożka lub rurki, źródło: <https://spj.pl>

¹⁴ Saturator: aparat lub urządzenie, którego działanie polega na nasyceniu cieczy dwutlenkiem węgla. W czasach PRL popularne były stojące na ulicach saturatory wózkowe, można było w nich kupić podawaną w szklance wodę gazowaną z sokiem lub czystą, źródło: <https://pl.wikipedia.org>

podstawowe artykuły spożywcze, wśród dzieciaków powodzeniem cieszyły się słodkie bułki i, oczywiście, oranżada.

Matematyki od piątej klasy uczył nas pan Morawski, doskonale tłumaczył zasady matematyki, dzięki niemu zdałam do technikum elektrycznego, z egzaminu trzeba było mieć minimum czwórkę, a ja dostałam czwórkę z plusem. Był surowy, trzymał dyscyplinę w klasie, chłopcy dostawali *łapy* linijką albo piórnikiem, gdy dokazywali. Teraz może to budzić oburzenie, ale w naszym pokoleniu takie rzeczy były normą. W klasach młodszych uczył nas Stanisław Reszczyński, który niesubordynowanego ucznia potrafił położyć na ławce i wytrzepać go pałką po tyłku. Ojciec jednego z moich kolegów, zawiadomiony, że jego syn się źle zachowywał, przyszedł do szkoły i przy dzieciach chłopak dostał lanie. Nie wszyscy nauczyciele stosowali kary fizyczne, ale ci, którzy to robili mieli, niestety, przyzwolenie na takie zachowanie. To były inne czasy.



Piaseczno, zuchy ze szkoły podstawowej przy ulicy Świętojańskiej podczas pochodu z okazji 1 Maja, od lewej stoją: Grażyna Warszawska, Mariola Wyrzykowska, Alicja Jaworska, Grażyna Sierańska, Danusia Bobrowska, w drugim rzędzie za Grażyną Warszawską stoi: Renia Bąk, rok 1962 lub 1963

Fot. z archiwum Grażyny Sierańskiej

Pan Majcherowicz zaszczepił we mnie miłość do przyrody, pan Morawski nauczył matematyki, a szkolnej dentystce, pani Bochenek zawdzięczam zdrowe zęby. Co prawda, gabinet dentystyczny wyposażony w przedwojenną maszynę do borowania, którą, gdy wyłączyli prąd uruchamiano pedałem, jak maszynę krawiecką, więc ten gabinet był miejscem tortur, ale ja byłam odporna na ból, nie płakałam i dlatego miałam zawsze wyleczone zęby. Pani Bochenek starała się jak najmniej sprawiać bólu, ale pani Zuza, pomoc dentystyczna, nie przejmowała się siedzącym w fotelu

delikwentem. Pani Zuza była wysoka, miała ciemne, pomalowane brwi, kręcone włosy zawsze wysoko upięte nad czołem i zawsze polakierowane na czerwono paznokcie u rąk. Zgodnie z jej życzeniem po śmierci także pomalowano jej paznokcie czerwonym lakierem.

Skończyła się podstawówka, wtedy siedmioletnia, i moja droga do szkoły znacznie się wydłużyła, bo zdałam do piaseczyńskiego Technikum Elektrycznego, które najpierw mieściło się przy ulicy Zgoda w budynku należącym do Sióstr Pasterzanek, a od 1967 roku w budynku dawnego liceum w Zalesiu Dolnym. Maszerowałam więc z Rejtana na ulicę Zgoda, a po roku chodziłam do szkoły przez wiadukt w Zalesiu.

W szkole przy Zgoda było osiem małych sal lekcyjnych, korytarz tak wąski, że w czasie przerwy chodziliśmy pod ścianami w kółko, jeden za drugim, porządku pilnowała woźna, pani Basia Barcik, była bardzo energiczna i umiała wzbudzić posłuch nawet wśród tych najstarszych uczniów. Na lekcje wychowania fizycznego chodziliśmy do liceum, do pani Fusek, ćwiczyliśmy na korytarzu, zimą pożyczano nam łyżwy i mogliśmy jeździć na ich lodowisku przed szkołą. W Zalesiu mieliśmy dużo lepsze warunki, było więcej pomieszczeń i prawdziwa sala gimnastyczna.

W mojej klasie było dwudziestu siedmiu uczniów, z Piaseczna byłam ja, Tereska Pawlak, obecnie Mazanek i Ela Falkowska, teraz Peers, Wojtek Żyro, Wiesio Wojtaszek, Zbyszek Strauch, w Stefanowie mieszkał Stefan Sieklicki, pozostali dojeżdżali z Uwielin, Prażmowa, Piskórki, Bogatek, Raszyňa, spod Grójca. Wychowawczynią była pani Cecylia Zboch, sympatycznie podchodziła do młodzieży, świetnie uczyła języka rosyjskiego, dobrze wspominam panią Danutę Szczerbę, nauczycielkę historii i języka polskiego. Wychowanie fizyczne prowadziła pani Wolny, była wysportowana, miała piękne nogi i wszystkim bardzo imponowało, że na wakacje popłynęła statkiem do Afryki. Matematyki uczył pan Karwot, który celnie i mocno rzucał w nas kredą oraz pisał na tablicy niezrozumiałe chyba dla wszystkich zadania.

Przedmiotów zawodowych uczyli nas inżynierowie z *Laminy* i to był wysoki poziom nauczania, na lekcjach korzystaliśmy z podręczników dla studentów I i II roku politechniki. Zajęcia mieli z nami panowie Biela, Majewski, Frysztak. Pan Anatol Łukszo, syn pana Łukszy, o którym wcześniej opowiadałam, uczył nas przedmiotu *Lampy elektronowe*, ośmiogodzinne zajęcia odbywały się raz w tygodniu. Pana Niedziółko, który w pierwszej klasie technikum uczył nas przedmiotu *Drobne konstrukcje*, przeżywalismy *moduł Younga*¹⁵. Był bardzo wymagający, surowy i baliśmy się go trochę. Potrafił zadać sto zadań domowych na święta, ale wiedzę, którą nam przekazał pamiętam do tej pory.

Lekcje odbywały się wtedy także w soboty i czekaliśmy na ten dzień z wytęsknieniem, bo popołudniami odbywały się w szkole zabawy tzw. *fajfy*, one były jeszcze w starej szkole na Zgoda. Grał zespół *Tulipany*, śpiewała Ela Borowska, która była wtedy w liceum medycznym, na gitarze grali Mietek Majewski i Bolek Traczyk, Wojtek Laskowski grał na tamburynie i prowadził konferansjerkę. Wtedy w modę zaczynało wchodzić *tiki-tiki*¹⁶, jeszcze nikt nie umiał tego robić, a on się tego nauczył i był gwiazdą.

¹⁵ Moduł Younga (określenie fizyczne): wielkość określająca własności sprężyste ciała stałego charakteryzująca podatność materiału na odkształcanie podłużne przy rozciąganiu, zginaniu, ściskaniu, źródło: www.encyklopedia.pwn.pl

¹⁶ Tiki-tiki: zabawka składająca się z dwóch kulek (drewnianych, metalowych lub plastikowych) połączonych sznurkiem. Ruchem dłoni należy kulki wprawić w taki ruch, aby odbijały się od siebie na przemian nad i pod dłonią. Najpopularniejsze na początku lat siedemdziesiątych XX w., źródło: <https://zyciemyslowe.wordpress.com>



Zalesie Dolne, Technikum Elektryczne, Grażyna Tomala jako osoba towarzysząca i Włodek Sawicki, studniówka, rok 1970 Fot. z archiwum Grażyny Sierańskiej

Na zabawach dziewczyny zadawały szyku w super - mini spódnickach, w elastycznych golfach bez rękawów, a największym szykiem były długie kozaczki kupowane w Rembertowie¹⁷ albo na bazarze Różyckiego w Warszawie. Nie dla każdego były osiągalne, bo kosztowały siedemset pięćdziesiąt złotych a przeciętna pensja wynosiła tysiąc dwieście. Potem modne stało się midi, nosiliśmy długie, spódnice z wysokim rozcięciem, do tego były rozpinane bluzki i obowiązkowy wisior na łańcuszku. Każda stroiła się jak mogła. Ja bluzki z non - ironu farbowałam w krepinie, raz była zielona, raz niebieska. Takie ubranie zostawiało kolor na skórze, ręce były np. niebieskawe, ale to nie przeszkadzało, ważne, że bluzka była jak nowa.

Do szkoły chodziło się obowiązkowo w mundurku i z tarczą na rękawie, codziennie komisje stały w drzwiach i sprawdzano te tarcze, nawet kolorowe sweterki na mundurku były źle widziane.

W starszych klasach robiłyśmy sobie makijaż, ale co to było za malowanie! czarną kredką kreskę przy rzęsach się pociągnęło i tyle. Kiedyś stoję w łazience, poprawiam tę kreskę, wchodzi moja wychowawczyni i mówi: *Będziesz się zaraz myła*, a ja miałam wtedy 19 lat.

Skończyłam technikum, zaczęło się dorosłe życie, ale cały czas mieszkaliśmy przy Rejtana. Na miejscu domu, który zbudowali moi rodzice, postawiliśmy z mężem własny, tu wychowały się nasze dzieci. Wraz z upływem lat zmieniała się moja ulica, taka jest kolej rzeczy, ale bywa, że tęsknię do czasu, gdy zamiast asfaltowej jezdni była polna droga, gdy szumiały wielkie dęby,

¹⁷ Bazar w Rembertowie (popularna nazwa ciuchy w Rembertowie): powstał na początku lat siedemdziesiątych XX w., gdy przeniesiono do Rembertowa z warszawskiej Pragi bazar Ciuchy. Na bazarze sprzedawano głównie produkty zagraniczne przywożone zza granicy zwykle nielegalnie lub pochodzące z paczek. Były to przeważnie rzeczy markowe i drogie, źródło: <http://pisanewprzeciagu.box.pl>, <https://www.twoja-praga.pl>

wiosną kwitły bzy. Pamiętam, że na naszą ulicę przyjeżdżał na wózku inwalidzkim, takim na korbkę, pan który nie miał nogi, był artystą malarzem i uwieczniał na swoich obrazach widok na Jeziorkę. Malował używając ciepłych, pogodnych barw. Wszystkim dzieciakom bardzo ten pan imponował, ganialiśmy gromadą za wózkiem, gapiliśmy się jak powstają obrazy. Tak mało w tamtych czasach robiło się zdjęć i dawny krajobraz Jeziorki, na którą wychodziła ulica Rejtana został w pamięci pokolenia moich rodziców i mojego. I jeszcze na obrazach nieznanego mi z nazwiska malarza - inwalidy. Czasem zastanawiam się, gdzie one dzisiaj są, kto na nie teraz patrzy i, czy wie, że dla wielu osób jest to widok bliski sercu.



Grażyna Sierańska

Fot. z archiwum Grażyny Sierańskiej

Wspomina Elżbieta i Tadeusz Trzeciakowie

Opowieść o życiu z pasją



Piaseczno, teren przed budynkiem liceum, rok 1979.

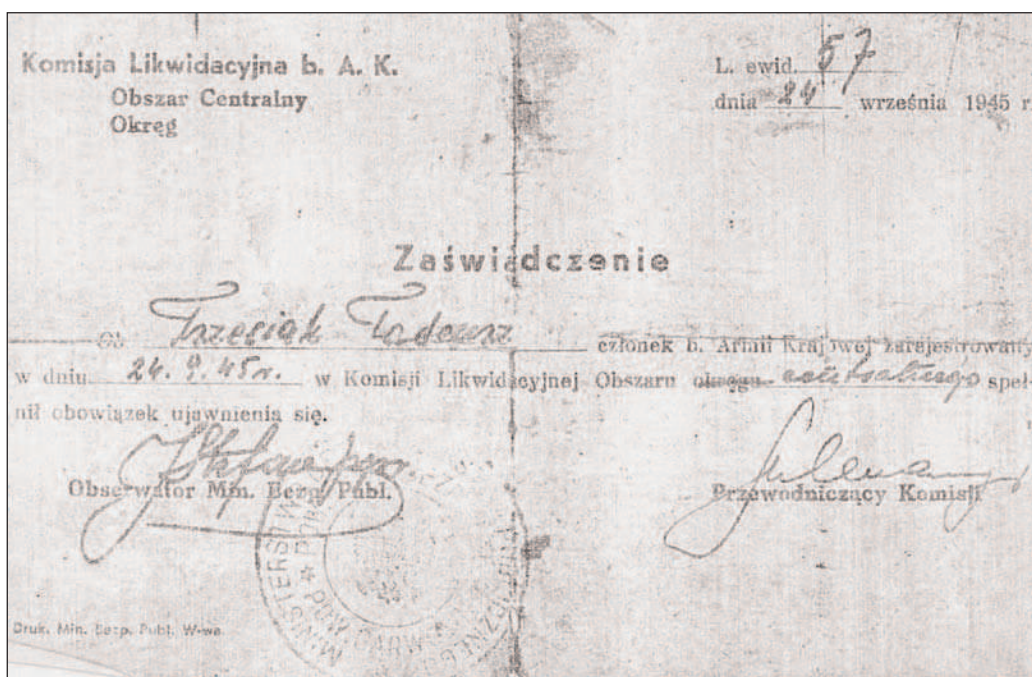
Od lewej: **rząd pierwszy** - Józefa Szczepaniak (chemia), Aleksandra Fusek (wychowanie fizyczne), Nina Batusiewicz (j. francuski), Maria Kołatka (biologia), Janina Znamirska (j. polski), Danuta Wojewódzka (j. angielski), Leokadia Bielińska (j. rosyjski), Elżbieta Kozak (wicedyrektorka LO, j. polski), Janina Sałapska-Folta (geografia), Kamila Szuba (fizyka), Iwona Szewczyk (muzyka); **rząd drugi** – Elżbieta Dziedzic (j. niemiecki), Barbara Górka (chemia), Teresa Rechnio (historia), Helena Skubij (j. rosyjski), Zuzanna Zgierska (j. rosyjski), Elżbieta Trzeciak (j. polski), Barbara Molak (j. francuski), Barbara Byszko (wych. fizyczne), Aleksandra Jańczuk (chemia), Małgorzata Sadurska (bibliotekarka), Ewa Bieńkowska (bibliotekarka); **rząd trzeci** - Tadeusz Tokarski (dyrektor LO, matematyka), Bogusław Micza (fizyka), Danuta Jaworska-Nawrot (j. angielski), n.n., Tarkowska (wych. plastyczne), Hieronim Tarasiewicz (j. rosyjski), Bronisław Skręt (j. łaciński, historia, filozofia), Ludwik Wyszyński (matematyka), Szczepan Bartosiewicz (j. polski), Kazimierz Nadolny (historia), Leonard Kozak (geografia), Tadeusz Trzeciak (j. polski, przysposobienie obronne). Fot. z archiwum Elżbiety i Tadeusza Trzeciaków

- Praca zawsze była dla nas przyjemnością, nigdy nas nie męczyła – mówią Elżbieta i Tadeusz Trzeciakowie, poloniści z liceum przy ul. Chyliczkowskiej w Piasecznie. Tadeusz pracował tam trzydzieści siedem lat, Elżbieta – czterdzieści jeden. Nie pochodzą z Piaseczna, ale pokochali miasto jak rodzinne, choć Tadeusz nie przyjechał tu z własnej woli.

Nagroda i kara

Jest rok 1953, w liceum ogólnokształcącym w Mszczonowie zaczyna pracę młody polonista, Tadeusz Trzeciak. Przyjechał z rodzinnego Garwolina, w czasie wojny mimo młodego wieku brał udział w konspiracji, należał do Szarych Szeregów.

Gdy po poznańskich zajściach¹ w 1956 roku nadeszła polityczna odwilż i przyniosła możliwość odrodzenia harcerstwa, Tadeusz natychmiast przystąpił do działania. W niedługim czasie powstały dwie żeńskie drużyny i jedna męska.



Zaświadczenie wydane przez komisję likwidacyjną o ujawnieniu przez Tadeusza Trzeciaka przynależności do Armii Krajowej, 2 września 1945 r.

Fot. z archiwum Elżbiety i Tadeusza Trzeciaków

Nasze harcerstwo było w Mszczonowie dominujące, w tych czasach pojawił się Związek Młodzieży Socjalistycznej, a w szkole - liczącej ponad trzystu uczniów - należało do niego sześć osób. To nie budziło zachwytu mojego, mocno partyjnego, przełożonego – wspomina.

¹ 28 i 29 czerwca 1956 roku doszło w Poznaniu do robotniczych protestów wynikających z pogarszającej się sytuacji bytowej, złych warunków pracy i ignorowania tych problemów przez władze państwa. Do spacyfikowania protestujących władze skierowały ponad 10 tys. żołnierzy, 360 czołgów. W zamieszkach śmierć poniosło 58 osób, rannych było ponad 650. Najmłodszą ofiarą był trzynastoletni Romek Strzałkowski, źródło: <https://czerwiec56.ipn.gov.pl>

Zachwytu nie budziło również to, że podharc mistrz Trzeciak prowadził drużyny zgodnie z przedwojennymi harcerskimi tradycjami nie mówiąc przy tym młodzieży o socjalistycznych ideałach i przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. W 1959 roku Trzeciak otrzymuje w Dniu Nauczyciela nagrodę, a dwa tygodnie później, jako wywrotowiec, zostaje dyscyplinarnie zwolniony z mszczonowskiej szkoły i dostaje nakaz pracy w liceum w Piasecznie.

- Miałem szczęście, bo kilka lat wcześniej ten nakaz byłby dalszy i trudniejszy, mogłoby się skończyć więzieniem, wywózką – przyznaje Trzeciak.

Do Piaseczna Tadeusz przyjeżdża w styczniu 1960 roku. Ma pracę, ale nie ma gdzie mieszkać. Miasto w tamtym czasie jest przeludnione, wykorzystywane są poddasza i sutereny, często kilkuosobowa rodzina funkcjonuje w jednym pokoju, wspólne są kuchnie, łazienki. W takich samych warunkach żyją właściciele domów czy kamienic, bo władze dokwaterowują im lokatorów.

Dyrektor szkoły, Aniela Andryszczak, chociaż należy do PZPR², życzliwie odnosi się do przydzielonego jej niepokornego nauczyciela, chciałaby pomóc, ale nawet jej nie udaje się znaleźć dla niego wolnej kwatery, decyduje więc, by ulokować go w szkole. Można powiedzieć, że było to nawiązanie do tradycji.



Piaseczno, lipiec 1961 r., pogrzeb dyrektora liceum przy Chyliczkowskiej, Anieli Andryszczak.

Fot. z archiwum Elżbiety i Tadeusza Trzeciaków

² Polska Zjednoczona Partia Robotnicza – utworzona 1948 roku, masowa partia kierująca państwem i centralnie zarządzana gospodarką, kontrolująca wszystkie przejawy życia społecznego, podporządkowana radzieckiej partii komunistycznej, utraciła władzę po przegranych wyborach w 1989 roku, źródło: <https://encyklopedia.pwn.pl>

Przed wybudowaniem nowego gmachu szkoły, liceum mieściło się przy ulicy Zgoda, w budynku należącym do zakonu sióstr pasterzanek. Były tam cztery sale lekcyjne służące uczniom jednocześnie jako szatnie, pokój nauczycielski po skończonej przerwie stawał się salą lekcyjną. Nauczyciele wynajmowali u prywatnych osób wspólne pokoje, a nawet kuchnie, byli też tacy, którzy sypiali w tzw. pokoju nauczycielskim na rozkładanych łóżkach.

W szkole przy Chyliczkowskiej wygospodarowano dla Tadeusza miejsce w sali ze sprzętem do pracowni fizycznej.

- Sala miała trzy okna, przed ostatnim ustawiono w poprzek sali szafy, za nimi zmieściła się leżarska leżanka, szafka i mały taboret. Przez pół roku mieszkałem tam sam, potem dołączyła moja żona – wspomina Trzeciak.



Piaseczno, liceum przy ul. Chyliczkowskiej, dawny pokój nauczycielski.

Od lewej:

Nina Batusiewicz,
Danuta Wojewódzka,
Anna Syrek (nauczycielka historii w szkole podstawowej), Barbara n. (nauczyciel matematyki),
Romuald Veidt (nauczyciel fizyki w szkole podstawowej),
Tadeusz Trzeciak,
Leokadia Bielińska,
dyrektor LO Tadeusz Tokarski, n.n., Szymański (nauczyciel matematyki w szkole podstawowej),
Alina Minnik, Bogusław Micza, Krystyna Zielińska.

Fot. z archiwum
Elżbiety i Tadeusza
Trzeciaków

Apartament za szafą

Elżbieta Girynówna mieszkała z rodziną w Mszczonowie, chodziła do tamtejszego liceum, należała do harcerstwa, pełniła w nim funkcję drużynowej. Przystojny podharc mistrz-polonista nie był jej obojętny, a i on zwrócił uwagę na uroczą dziewczynę. Po maturze Ela zdecydowała się na studia w Warszawie.

- Wybrałam polonistykę, bo co innego mogłam wybrać, skoro mój ukochany uczył mnie języka polskiego – wyjaśnia dziś żartobliwie.

Gdy Tadeusz zamieszkał za szafą, ona była na pierwszym roku studiów i, jako oficjalna nauczycielka, wybrała się do niego w odwiedzin.

- Przyjechałam z Dworca Południowego w Warszawie autobusem, wysiadłam na przystanku, który był naprzeciwko obecnego skweru Kisiela, zobaczyłam niskie, drewniane domy; miejsce,

Legitymacja harcerska Elżbiety
Trzeciak, 29. IV. 1957 r.

z archiwum
Elżbiety i Tadeusza Trzeciaków



w którym obecnie stoi gmach sądu, to był pusty plac porośnięty krzakami. Tadeusz poinstruował mnie, że mam od przystanku cofnąć się do rynku, na którym zobaczę pompę, przeciąć ten rynek i dojść do ulicy Chyliczkowskiej, więc poszłam. Dostrzegłam jeszcze, że kościół jest ładny i nic więcej, bo musiałam patrzeć pod nogi. Miałam eleganckie szpilki i bałam się, że na tym piaseczyńskim bruku obcasy połamię.



Piaseczno, lata sześćdziesiąte XX w., budynek liceum przy ul. Chyliczkowskiej przed przebudową szkoły przez dyrektora Tadeusza Tokarskiego. Fot. z archiwum Elżbiety i Tadeusza Trzeciaków

W szkolnym holu powitał ją woźny Jan Szczepański, przez wszystkie pokolenia licealistów zwany *Gerwazym*, groźnym głosem zapytał, kogo szuka, a gdy usłyszał, że profesora Trzeciaka odparł, że *pan profesor mieszka tu, ale wizyt damskich nie przyjmuje*.

- Byłam uparta i powiedziałam, że mnie przyjmie. Pan woźny skapitulował, ale bez kapci nie chciał mnie wpuścić. W rogu holu stała wielka skrzynia, wypełniona takimi kapciami jak w muzeach dawniej bywały, musiałam je założyć na szpilki i szurając nogami w za dużych kapciach stanęłam przed obliczem pana Szczepańskiego, który nie zamierzał puścić mnie dalej samej. *Ja cię zaprowadzę* powiada. Idziemy korytarzem, a w tym czasie mąż wychodzi z sali, wita się ze mną, przedstawia woźnemu. Pan Szczepański trochę się wtedy zmieszał, że potraktował mnie tak obcesowo, ale zaprzyjaźniliśmy się, bo to był dusza-człowiek, chociaż raptus. Trzymał w szkole rygor, potrafił rzucać kluczami, gdy któryś z uczniów był niegrzeczny.

Elżbieta i Tadeusz pobrali się w czerwcu 1960 roku, a po wakacjach zamieszkali razem za szafą. Czas regulowały im dzwonki lekcyjne. Dzień oboje zaczynali przed godziną ósmą, bo ciekawscy uczniowie potrafili zaglądać rankiem do ich apartamentu.

Elżbieta i Tadeusz Trzeciakowie,
dzień ślubu, rok 1959.

Fot. z archiwum

Elżbiety i Tadeusza Trzeciaków



- Wcale mnie mieszkanie za szafą nie przerażało. Rzeczy do prania woziliśmy do mojej mamy, do Mszczonowa, obiady mieliśmy ze szkolnej stołówki, a najważniejsze, że byliśmy razem – wspomina Elżbieta.

W rogu szkolnej pracowni mieszkali sześć miesięcy. W tym czasie władze miasta proponowały im kwaterę na poddaszu stojącego do dzisiaj małego budynku przy ulicy Chopina.

- Nie było tam kanalizacji, nie było wody, nawet schodów nie było, należało po drabinie wdrapywać się na to poddasze, a jedyne okno wychodziło na ścianę stojącego tuż obok domu – opowiada Elżbieta.

Mieli też możliwość przeprowadzki na ulicę Bema. Stał tam budynek, w którym mieszkał nauczyciel. Nauczyciel wyprowadzał się, bo zachorował, a zachorował, bo mieszkanie było zagrzybione.

- Czarny kożuch do połowy ścian sięgał. Byliśmy już trochę zmęczeni pomieszkowaniem za szafą i brakiem nadziei na zmianę sytuacji, ale wtedy stał się cud. Któregoś dnia przyjechałam po zajęciach do naszego *domu*, a mąż mówi, że mamy nowe mieszkanie.



Piaseczno, liceum przy ul. Chyliczkowskiej, początek lat siedemdziesiątych, studniówka, stoją od lewej: Krzysztof Miksza (matematyka), Ludwik Wyszyński (matematyka), Sławomir Rechnio (mąż Teresy Rechnio, nauczycielki historii), Henryk Pogorzelski (muzyka), Elżbieta Trzeciak (język polski), Alicja Skowrońska (wydział oświaty), n. Majewska, Aleksandra Fusek (wychowanie fizyczne), Tadeusz Tokarski (matematyka, dyrektor LO). Fot. z archiwum Elżbiety i Tadeusza Trzeciaków

Na swoim

Gdy Tadeusz rozpoczynał pracę w piaseczyńskiej szkole, był środek roku szkolnego i brakowało godzin lekcyjnych dla nowego polonisty, został wtedy kierownikiem świetlicy.

- Rozdawałem dzieciom zabawki i pilnowałem, żeby grzecznie obiad zjadły – żartuje ze swojej funkcji.

Od września prowadził już lekcje języka polskiego, otrzymał też wychowawstwo klasy ósmej.

- To była liczna klasa, jak chyba wszystkie wtedy, pamiętam, że w jednej było ponad czterdzieścioro uczniów, nawet zapiski z tego czasu zostawiłem na pamiątkę – wspomina Tadeusz.

Z zachowanych przez niego notatek można się dowiedzieć, że w roku szkolnym 1964/65 w klasie VIII c było czterdziestu trzech uczniów, dziesięcioro powtarzało rok; jedenastu było urodzonych w Piasecznie, po jednym urodzonym w Chylicach, Gołkowie, Górze Kalwarii, Lesznowoli, dwóch w Głuskowie, ośmioro uczniów pochodziło z Warszawy, pozostali urodzili się z dala od Piaseczna: w Wołominie, Białymstoku, Brodnicy, Kołobrzegu, Radomiu, Grójcu, Koźienicach, Seroczynie, Wrocławiu. Trzydziestu uczniów mieszkało z rodzinami w Piasecznie, troje - u krewnych lub na stacji, pozostali dojeżdżali do szkoły autobusem albo pociągiem. Najdalej miał uczeń z Dobrzenicy - dojeżdżał autobusem 18 km, dwoje uczniów z Sobikowa

i Czarne Lasu pokonywało pociągiem 13 km. Wiadomo też, że dziesięć osób należało do ZHP, osiem do PCK³, siedem do LOK⁴ i trzy osoby do TPPR⁵.

- To wszystko były informacje, które należało wpisać do dziennika lekcyjnego, z czasem doszła jeszcze jedna rubryka: pochodzenie społeczne inteligenckie lub robotnicze. Nie trzeba chyba mówić, że to drugie było milej widziane przez władze i dawało przywileje, na przykład dodatkowe punkty na studia – wyjaśnia Trzeciak.

Wśród uczniów przydzielonej mu ósmej klasy był Andrzej Górczyński, którego ojciec pełnił funkcję przewodniczącego rady miejskiej. Poinformowany przez żonę, która przychodziła na szkolne zebrania, w jakich warunkach mieszka jeden z bardziej lubianych nauczycieli w szkole, postanowił mu pomóc. Dzięki niemu Trzeciakowie, ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu, dostali przydział na mieszkanie komunalne w bloku przy ulicy Puławskiej. Był to pierwszy blok wybudowany w tym rejonie miasta i chyba jedyny zbudowany z cegły, następne stawiano już z wielkiej płyty.



Piaseczno, ulica Kościuszki, koniec lat sześćdziesiątych, pochód z okazji 1 Maja. Od lewej nauczyciele z LO: Barbara Byszko, Bogusław Micza, Józefa Szczepaniak, Barbara Molak, Barbara Gudel, Aleksandra Fusek.

Fot. z archiwum Elżbiety i Tadeusza Trzeciaków

³ Polski Czerwony Krzyż (PCK) – najstarsza polska organizacja humanitarna, jej tradycje sięgają drugiej połowy XIX w., członek Międzynarodowego Ruchu Czerwonego Krzyża i Czerwonego Półksiężyca, zajmuje się m. in. udzielaniem pomocy humanitarnej w czasie klęsk, wojen, pomocą socjalną, nauką udzielania pierwszej pomocy, propagowaniem idei honorowego krwiodawstwa, źródło: <https://pl.wikipedia.org>

⁴ Liga Obrony Kraju (1962) – ogólnopolska organizacja paramilitarna skupiająca głównie młodzież i rezerwistów Wojska Polskiego, prowadzi działania mające na celu organizowanie samoobrony oraz umacnianie obronności państwa, źródło: <http://lok.org.pl>

⁵ Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (1944) – zajmowało się m. in. organizowaniem imprez propagandowych (obchody rocznic rewolucji październikowej, dni radzieckiej kultury, techniki, książki, filmu), wycieczek do Związku Sowieckich Republik Radzieckich, Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze; wydawało czasopismo Przyjaźń i Kraj Rad, z początkiem lat dziewięćdziesiątych XX w. przekształcone w Stowarzyszenie Polska-Rosja, źródło: <https://pl.wikipedia.org>

Mieszkanie było na parterze, miało widną kuchnię i pokój z dużą loggią – w sumie około trzydzieści metrów kwadratowych. Wprowadzili się tam na początku 1961 roku. W kolejno powstających blokach mieszkania otrzymywali także inni nauczyciele pracujący w szkole przy Chyliczkowskiej. Na ogół wszyscy byli zaprzyjaźnieni, więc kwitło życie towarzyskie.

-To były składkowe spotkania, odbywały się w naszym mieszkaniu, bo było największe. Ola i Andrzej Fuskowie dostali mieszkanie wspólnie z panem Szymańskim, nauczycielem matematyki w szkole podstawowej, Kamie Szubie przydzielono małej pokój bez kuchni na ostatnim piętrze w bloku przy Wojska Polskiego. Kuchenkę gazową i małą szafkę na naczynia Kama w przedpokoju postawiła, ledwo można było tam przejść – wspomina Elżbieta.

Harcerskim obyczajem

Tadeusz nie byłby sobą, gdyby nie włączył się w działanie funkcjonującej w piaseczyńskiej szkole drużyny harcerskiej, wspomagali z żoną organizację harcerskich obozów na Mazurach - w 1962 roku w Wielu i rok później w Spychowie, ale na tym się skończyło.

Wiele, wakacje w roku 1962, obóz harcerski, na pierwszym planie: oboźny Andrzej Dudek, w głębi: Elżbieta i Tadeusz Trzeciakowie.

Fot. z archiwum Elżbiety i Tadeusza Trzeciaków



- Władze harcerskie, pewno poinformowane o mojej przeszłości przez *życzliwego* mi byłego przełożonego, nie chciały współpracować i jakoś to umarło śmiercią naturalną - mówi.

W połowie lat sześćdziesiątych klasa Tadeusza wyjechała pod opieką swego wychowawcy i jego żony na trzydniową wycieczkę na Jurę Krakowsko-Częstochowską. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że była to, chyba pierwsza w dziejach szkoły, wycieczka piesza zorganizowana zgodnie z harcerskimi zasadami. Całodniowe wędrówki nieprzetartymi wtedy szlakami, nauka rozbijania namiotu, zdobywanie umiejętności gotowania, zakupy w wiejskich sklepach, w których były tylko margaryna, dżem, konserwy rybne lub mięsne i duże, okrągłe bochenki chleba.

- Chłopcy dźwigali namioty, śpiwory i materace, a dziewczyny prowiant. Żeby ułatwić sobie życie te wielkie, okrągłe chleby nosiły pod bluzami - wspomina Elżbieta, która wspomagała wówczas męża w opiece nad uczniami.

Piaseczno, liceum przy
ul. Chyliczkowskiej, luty 1967 r.,
Elżbieta Trzeciak (w ciemnej
sukience) ze swoją pierwszą
klasą, w której objęła
wychowawstwo.

Fot. z archiwum
Elżbiety i Tadeusza Trzeciaków



Pieszny rajd po Jurze głęboko zapadł w pamięci wszystkim jego uczestnikom, pamiętają piękno przyrody i radość młodości. W pamięci zapisała się też wycieczka statkiem z Warszawy do Płocka, był bowiem czas, gdy po Wiśle obywateli się takie rejsy.

Była to naprawdę wspaniała przygoda. Załoga, która chętnie opiekowała się panienkami, szarmancki kapitan, Wisła, mijane miejscowości, piękna panorama Płocka, leżącego na wysokiej wiślanej skarpie. Urzekły nas kaskady róż spadające tarasami do ziemi. Ten obraz mam ciągle w oczach, mimo że minęło już pół wieku opisuje Elżbieta w zbiorowej publikacji wydanej z okazji 70. jubileuszu powstania piaseczyńskiego liceum.

Tadeusz, pełen pomysłów, z duszą nowatora, znalazł obok nauczania, organizowania wycieczek, jeszcze jeden sposób na spożytkowanie swej energii. Gdy Elżbieta, jeszcze jako studentka czwartego roku, zaczęła uczyć języka polskiego w piaseczyńskim liceum, lekcje odbywały się w różnych salach. W szkole były pracownie chemiczna, fizyczna, biologiczna, ale nie było polonistycznej. Tadeusz, postanowił stworzyć ją od podstaw.

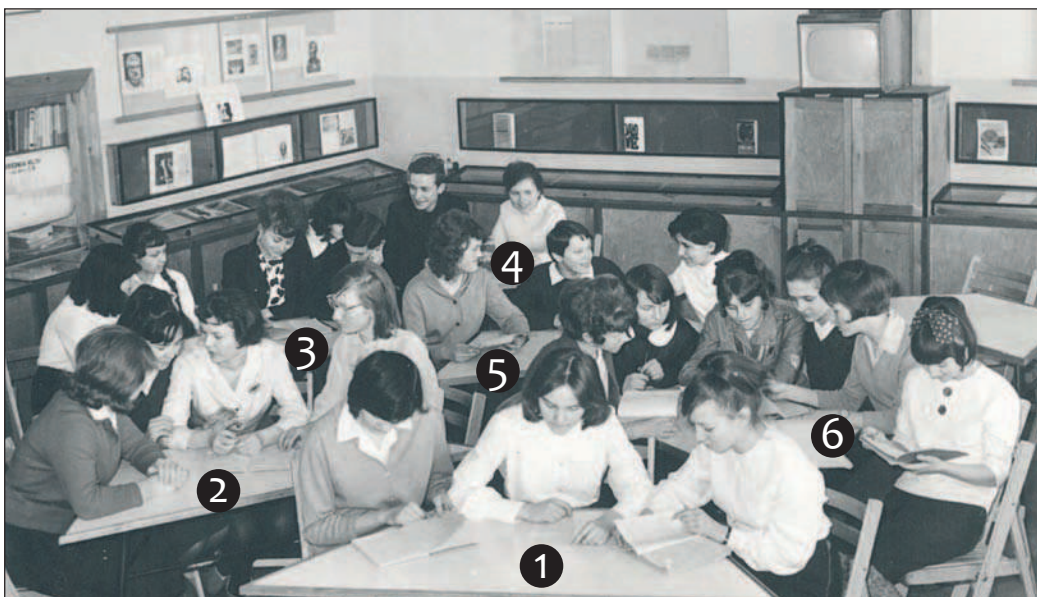
- Zapewne nic nie byłoby z moich pomysłów i dobrych chęci, gdyby nie dyrektor szkoły Tadeusz Tokarski. Całym sercem oddany swojej pracy pragnął, aby kierowana przez niego placówka jak najlepiej i najpełniej służyła uczniom. Nie tylko zaakceptował mój pomysł, ale wspierał w każdy możliwy sposób – przyznaje.

Kariera sali nr 31

Pracownia powstała na drugim piętrze szkoły w sali numer 31. Wszystkie sprzęty projektował Tadeusz Trzeciak, a wykonywał je i montował, przy dużym udziale projektodawcy – pracujący w szkole stolarz Komorowski. Zaczęło się od podobnych do muzealnych gablot, stojących szafek z przeszklonym blatem oraz szafek wiszących, także przeszklonych. Służyły jako miejsca okazjonalnych wystaw tworzonych własnoręcznie przez uczniów.



Piaseczno, liceum przy ul. Chyliczkowskiej, lata sześćdziesiąte, Tadeusz Trzeciak w zaprojektowanej przez siebie pracowni polonistycznej. Fot. z archiwum Elżbiety i Tadeusza Trzeciaków



Piaseczno, liceum przy ul. Chyliczkowskiej, lata sześćdziesiąte, pracownia polonistyczna, Elżbieta Trzeciak (druga od prawej) ze swoją klasą, **stolik nr 1**: od prawej siedzą: Jadwiga Miszczuk, Hanna Baran, Krystyna Wrześniewska, **stolik nr 2**: od prawej siedzą: Elżbieta Pucek, Elżbieta Skiba, n.n., n.n., **stolik nr 3**: od prawej siedzą: n.n., Maria Pusia Stolarczyk, n.n., n.n., **stolik nr 4**: od prawej siedzą: n.n., Antoni Soćko, n.n., **stolik nr 5**: od prawej siedzą: n.n., n.n., n.n., **stolik nr 6**: siedzą od prawej: Anna Charkowska, prof. Elżbieta Trzeciak, Lilka Jarek, Danuta Biegniewska, Halina Serafin.

Fot. z archiwum Elżbiety i Tadeusza Trzeciaków

- Młodzież była bardzo aktywna. Uczniowie wypisywali cytaty, rysowali mapy, podklejali zdjęcia i ilustracje, na lekcjach wychowania plastycznego tworzyli ilustracje do wielu utworów literackich, na przykład do bajek Krasickiego albo ballad Mickiewicza – wspomina Elżbieta.

Stojące w pracowni biurko, także zaprojektowane przez Tadeusza, miało podnoszony blat, pod którym na górnej półce stały radio i magnetofon szpulowy *Melodia*, z czasem zastąpiony magnetofonem *Tonette*, a na dolnej adapter.

- Mąż nagrywał audycje radiowe poświęcone sztuce, spektakle teatralne, koncerty muzyki poważnej. Dziesiątki skatalogowanych szpul magnetofonowych z nagraniami stało w przeznaczanej na te zbiory szafie – opowiada Elżbieta.

W pracowni znalazło się też miejsce na rzutnik⁶, epidiaskop⁷ i telewizor. Ale do oglądania zdjęć, przeźroczy czy audycji telewizyjnych potrzebne były odpowiednie warunki, czyli brak światła. I tu znów dużą rolę odegrała pomysłowość Tadeusza – zaprojektował i wykonał rolety do okien. Nad oknami powieszono stalową rurę z przyczepionymi do niej zasłonami z dermy⁸, kolejnym elementem rolet był łańcuch rowerowy łączący rurę z biurkiem nauczycielskim oraz korbką, do której był przy biurku przymocowany. Nauczyciel kręcił korbką i zasłony łagodnie przesuwali się w umieszczonych po bokach okien specjalnych wodzikach.

Nowatorskim pomysłem były też trapezowe stoliki. Ten, wydawałoby się, dziwaczny kształt, pozwalał na łatwe i wygodne zestawienie stolików umożliwiając uczniom pracę grupową.

Oparta na autorskich pomysłach niezwykła pracownia, której oficjalne otwarcie odbyło się we wrześniu 1963 roku, szybko stała się słynna. Na jej zwiedzanie przyjeżdżali goście z Polski nauczyciele języka polskiego z krajów całego Demoludu⁹, byli też goście ze Szwecji, a gdy kilka lat później odbywała się Powiatowa Wystawa Postępu Pedagogicznego nie obyło bez prezentacji sali nr 31.

Z dawnej pracowni zostały obecnie wspomnienia. W 2016 roku, podczas remontu szkoły została zdemonstrowana i zastąpiona nowym sprzętem.

Elżbieta o dawnej pracowni opowiada ze wzruszeniem.

- Żał mi jej, chociaż rozumiem zmiany, bo przecież świat idzie naprzód. Dzisiaj taki sprzęt wykorzystywanym chałupniczymi metodami może wydawać się śmieszny i toporny, ale wtedy był dla nas nowoczesny i luksusowy, tak jak nowoczesne było wprowadzanie ówczesnych środków audiowizualnych¹⁰.

⁶ rzutnik (diaskop) – urządzenie służące do wyświetlania przeźroczy na ścianie lub odpowiednim ekranie projekcyjnym, przy projekcji światło przenika przez materiały zawierające obraz, źródło: www.planetarium.toya.net.pl

⁷ epidiaskop – urządzenie projekcyjne będące połączeniem diaskopu (rzutnika) i episkopu. Episkop umożliwia wyświetlanie w powiększeniu np. stron gazet, książek, fotografii, rysunków itp. przy wyświetlaniu światło odbija się od materiałów zawierających obraz, źródło: www.planetarium.toya.net.pl

⁸ derma (skaj) - materiał imitujący skórę naturalną, stosowany m. in. w pokryciach tapicerskich, do wyrobu galanterii, ubrań, źródło: <https://pl.wikipedia.org>

⁹ Demoludy- potoczne określenie państw dawnego bloku wschodniego (także: blok socjalistyczny, kraje demokracji ludowej - KDL): w Europie Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, Polska Rzeczpospolita Ludowa, Niemiecka Republika Demokratyczna, Czechosłowacja, Węgry, Rumunia, Bułgaria, Albania; poza Europą: Mongolia, Korea Płn, Wietnam, Chińska Republika Ludowa i Kuba, źródło: www.szkolnictwo.pl

¹⁰ środki audiowizualne – wzrokowo- słuchowe sposoby przekazu stosowane w procesie nauczania (n.p. filmy, audycje radiowe, przeźrocza); także urządzenia techniczne wykorzystywane do przekazywania informacji (n.p. magnetofony, magnetowidy, telewizory, radia, komputery), źródło: <https://encenc.pl>

Bajki o kotku

Wyjść ze szkoły długo po ostatnim dzwonku, zdarzało nam się niemal codziennie, ale spóźnić się nigdy. To nie było nic nadzwyczajnego, nasza szkoła zawsze miała szczęście do ludzi, dla których nauczanie i praca z młodzieżą była pasją – mówią zgodnie wspominając nauczycieli, z którymi przyszło im rozpocząć swoją pracę.



Piaseczno, ulica Kościuszki, koniec lat sześćdziesiątych, pochód z okazji 1 Maja. na pierwszym planie nauczyciele z liceum przy ul. Chyliczkowskiej, od lewej: Bogusław Micza, Maria Kołatka, dyrektor LO Tadeusz Tokarski. Fot. z archiwum Elżbiety i Tadeusza Trzeciaków

Jedną z najstarszych była polonistka Sabina Sobczak, gdy Elżbieta zaczynała pracę ona była już na emeryturze i zajmowała się biblioteką szkolną. Była znana ze swych nienagannych manier, chętnie służyła radą młodszym koleżankom. Matematyki uczyła Albina Minnik, która nie lubiła swojego imienia i podawała jako własne Alina. Przekorna młodzież nazywała ją tym nie lubianym imieniem. Nina Batusiewicz uczyła języka francuskiego i, tak jak panie Sobczak i Minnik, pracowała od początku istnienia szkoły, jeszcze w starym budynku przy ulicy Zgoda.

Gdy w 1967 roku liceum z Zalesia Dolnego zostało włączone do piaseczyńskiego, wśród przybyłych stamtąd nauczycieli była Janina Znamirska, polonistka z tragiczną przeszłością. W czasie okupacji brała udział w tajnym nauczaniu, była aresztowana i wywieziona do obozu w Ravensbrück. Uczniowie mówili o swojej nauczycielce pieszczotliwie *Znamcia*.

Jedną z dłużej pracujących nauczycielek była ucząca łaciny Krystyna Zielińska. Mówiła piękną polszczyzną i poprawności w posługiwaniu się językiem polskim wymagała od swoich uczniów,

uczyła ich też dobrych manier, poprawnego zachowania. Słynny był jej dziesięciopunktowy *Regulamin grzeczności*, w którym jako główne zasady było poszanowanie godności człowieka, szacunek dla starszych i tolerancja dla inności.

- Pani Zielińska miała charakterystyczny strój, najczęściej chodziła w szkolnym fartuszk. Od stroju uczennic wyróżniał ją jedynie brak białego kołnierzyka – z uśmiechem wspomina Elżbieta.

Ucząca geografii Janina Sałapska - Fołta znana była ze swej punktualności. Długą drogę ze swojego domu przy ulicy Paprociowej do szkoły pokonywała pieszo, nigdy się nie spóźniła i tego samego wymagała od uczniów.

Leokadia Bielińska i Helena Skubij uczyły języka rosyjskiego. Leokadia Bielińska znana była z tego, że uczniowi, który zasłużył na ocenę niedostateczną, dawała drugą szansę, ale gdy znów był nieprzygotowany – stawiała hurtem dwie dwójki. Helenę Skubij uczniowie nazywali *Piękną Heleną*, może z powodu jej majestatycznego sposobu poruszania się. Była surowa i wymagająca, ale jej uczniowie zawsze zaliczali egzamin z języka rosyjskiego obowiązujący przy zdawaniu na studia.

Fizyki uczyła Kamila Szuba. Zdając sobie sprawę z tego, że przedmiot jest trudny, mawiała do swoich uczniów: *Droga do końca semestru będzie dla was usiana nie różami, a drutem kolczastym*. Uczniowie rewanżowali się powiedzeniami *Kto się szubi, ten się lubi* albo *Kto się szubi, ten nie zdaje*. Była niezwykle czytana osobą, a pasjonowała ją głównie literatura fantastyczna.

O Elżbiecie Trzeciak także powstawały wiersze. Jeden z roczników wręczył swojej nauczycielce laurkę z następującymi strofami: *Pani profesor Elżbieta to szatan nie kobieta, to Ona nas omotała, wprawną ręką osiodłała, to Ona nas ujarzmiła, to ona nas ... wykarmiła, chyba dlatego z tej szkoły wyjdziemy jako anioły*.

Wiersze dla Pani Profesor uczniowie pisali także wtedy, gdy byli dorosłymi ludźmi i szkołę dawno zostawili za sobą. Piotr Lasek, były uczeń Elżbiety, pewnego kwietniowego dnia 2001 roku spotkał swoją nauczycielkę w Warszawie na ulicy Chmielnej, przywitali się serdecznie a potem powstał wiersz z dedykacją: *z podziękowaniami za otrzymane nauki*.

Przez lata
widziałem tylko
schludny kostium
bez twarzy
jednym słowem
wprawiający w drżenie
76 par kolan
Aż kiedyś spotkałem Panią
na Chmielnej
I pomyślałem
Rety! Pani profesor
jest tylko człowiekiem...

Jedni pisali dla nauczycieli poezję, a inni uczniowie tworzyli bajki. Danuta Wojewódzka, nazywana przez uczniów *Danusią*, uczyła języka angielskiego. O jej łagodnym charakterze, dobroci serca, łatwowierności i roztargnieniu krążyły legendy. Uczniowie opowiadali niestworzone historie,

aby odwlec odpytywanie albo usprawiedliwić spóźnienie. Najbardziej znaną była wzruszająca opowieść ucznia, który po raz kolejny spóźnił się na lekcję, bo musiał wzywać straż pożarną do nieszczęśliwego, biednego kotka, który utkwiał na wysokim drzewie.

Bardziej niesfornym uczniom zdarzało się wchodzić do sali podczas lekcji na czworakach. Gdy spóźnialski wędrował do ławki, koledzy zagadywali panią profesor odwracając uwagę od tego, co się dzieje za jej plecami.

- Któregoś dnia wychodziłam z pokoju nauczycielskiego i przytapałam takiego delikwenta kłęczącego przed drzwiami, gotowego do wślizgnięcia się do sali. Wszystko się wtedy wydało – opowiada Elżbieta.

Uczniowskie żarty wspomina z uśmiechem, bo nigdy nie były grubiańskie, a młodzież często dawała odczuć nauczycielom, że są lubiani i szanowani.

Piaseczno, lata osiemdziesiąte, liceum przy ul. Chyliczkowskiej, studniówka, Elżbieta Trzeciak (na pierwszym planie) i Arkadiusz Czapski, uczeń klasy maturalnej, w głębi: n.n.

Fot. z archiwum Elżbiety i Tadeusza Trzeciaków



W liceum przy Chyliczkowskiej Elżbieta i Tadeusz pracowali do emerytury. Tadeusz odszedł na nią w 1997 roku, Elżbieta - sześć lat później. Mimo upływu lat wciąż mają kontakt ze swoimi uczniami, nawet z tymi pierwszymi rocznikami, znają ich historie rodzinne, są zapraszani na śluby, otrzymują zdjęcia pojawiających się na świecie dzieci i wnuków. Nie ma roku, w którym nie odbyłyby się rocznicowe klasowe spotkania. Tadeusz z racji zdrowia nie zawsze w nich uczestniczy, ale Elżbieta na każde czeka z radością. I czasem, z okazji spotkania, pisze dla swoich uczniów wiersze:

*To nie sztuka mieć znajomych tu i tam,
ale sztuka mieć jednego przyjaciela;
to nie sztuka krzyknąć „veto” kiedyś raz,
ale sztuka być w porządku tu i teraz.
Bo pamiętaj, życie to nie gra,
którą przerwiesz, kiedy masz ochotę,
ale sztuką przeżyć swoje życie tak -
byś mógł w lustrze spojrzeć sobie w oczy.*



Elżbieta i Tadeusz Trzeciakowie

Fot. z archiwum Elżbiety i Tadeusza Trzeciaków

Wspomina Grzegorz Zieliński

Opowieść o pięciu pokoleniach z ulicy Sienkiewicza

Rodzina Dąbrowskich, z której pochodzi moja mama, według przekazów rodzinnych związana jest z Piasecznem od bardzo dawna. W książce Ewy i Włodzimierza Bagieńskich *Drugie szkice z dziejów Piaseczna*¹ znalazłem informację, że nazwisko Dąbrowskich pojawia się w księgach metrykalnych w pierwszej połowie XVIII w. Nigdy nie prowadziłem badań genealogicznych, ale być może byli to protoplaści naszego rodu. Rodzina Zielińskich mieszka w Piasecznie znacznie krócej, bo moi przodkowie przyjechali tu z Warszawy w czasie I wojny światowej.

Jadwiga Ostaszewska, późniejsza żona Wacława Dąbrowskiego,
Piaseczno, lata trzydzieste XX w.

Fot. z archiwum Grzegorza Zielińskiego



Moim domem rodzinnym jest jednopiętrowa kamienica przy ulicy Sienkiewicza 2 zbudowana w latach siedemdziesiątych XIX w. przez moich pradziadków Dąbrowskich. Nie wiem, czy początkowo pradiadkowie mieszkali w niej sami, czy mieli lokatorów, w każdym razie rodzina rozrastała się i kolejne pokolenia zajmowały mieszkania w kamienicy. Za czasów mojego dzieciństwa mieszkali w niej Dąbrowscy, Starosowie i my - Zielińscy.

Dzieci w naszej kamienicy była duża gromada. Mniej więcej w moim wieku byli Zosia Dąbrowska, Maciek Dąbrowski, Januszek Staros, dzieci młodsze o kilka lat to: Krystyna Dąbrowska, Andrzej, Mirek, Ewa i Lucyna Dąbrowscy i siostra Januszka, Teresa Staros, których mama pochodziła z Dąbrowskich.

¹ *Drugie szkice z dziejów Piaseczna i okolic*, Ewa Bagieńska, Włodzimierz Bagieński, wydawnictwo Inne, rok wydania 2008



Stefania Wojciechowska z Zielińskich,
Piaseczno, lata czterdzieste XX w.
Fot. z archiwum Grzegorza Zielińskiego

Centrum naszego dziecięcego świata było podwórkó znajdujące się z tyłu domu. Stały tam chlewiki, bo wiele osób hodowało świnie, była stodoła, stajnia, na podwórku stał wóz konny, sprzęt rolny, bo wujek Michał Dąbrowski, dziadek Tereski i Januszka, miał gospodarstwo na tzw. *Półku*. Podczas żniw pomagaliśmy mojemu wujowi rozładowywać wóz ze słomą. Wujek wjeżdżał wozem do stodoły na klepisko, a snopki trzeba było umieścić w sąsieku. Rzucaliśmy je z wozu i staraliśmy się robić to szybko, żeby wujka słomą zarzucić. On się denerwował, wyganiał nas, ale po jakimś czasie złość mu mijała i znów mogliśmy pomagać.

Piaseczno, podwórkó domu przy ulicy
Sienkiewicza 2, stoją od lewej:
Januszek Poncyliusz, Grześ Zieliński,
Zosia Dąbrowska, Stasio Wojciechowski,
Bogdan Stefański, rok 1950 lub 1951
Fot. z archiwum Grzegorza Zielińskiego



Zofia i Mieczysław Zielińscy,
Piaseczno, lata czterdzieste XX w.
Fot. z archiwum Grzegorza Zielińskiego



Była też na podwórku studnia z korbą. Przy wyciąganiu wody nie było żartów, gdy korba wysunęła się z rąk i kubek leciał w dół, to kręcąc się z dużą szybkością korba mogła osobie wyciągającej wodę zrobić wielką krzywdę, nawet zabić. Studnia była zamykana i każdy tego pilnował, bo była głęboka, a poza tym woda musiała być czysta. Kiedyś utopił się kot w tej studni i była nieczynna przez dwa lub trzy lata. Po wodę chodziło się z wiadrami do najbliższej pompy na posesję mieszkających po drugiej stronie ulicy państwa Rowińskich, którzy nie bardzo chcieli nam pompę udostępniać. Kiedyś nawet dźwignię do pompowania wody przywiązano do pompy łańcuchem zamykanym na kłódkę. Po latach, przy okazji sąsiedzkich wspomnień, dowiedziałem się, że ograniczenia w dostępie związane były ze starością pompy, która często się psuła, a przedwojenne części były już niedostępne i trudno było ją zreperować. Kłopot był dużo mniejszy, gdy komuś przy wyciąganiu wody zerwał się z łańcucha kubek. Wyciągało się go ze studni tzw. kotwicą, a że była jedna na całą okolicę, w razie potrzeby szukało się jej u sąsiadów.

Od strony podwórka widać było młyn przy ulicy Czajewicza. Młyn był najpierw parowy, potem spalinowy, a pod koniec funkcjonowania elektryczny, jako mechanik – konserwator pracował tam mój wujek ze strony ojca, Tomasz Wojciechowski. Kiedyś mogłem wejść do środka młyna i zobaczyłem wielki, dwucylindrowy silnik, który pracował przez całą dobę. Jego stukot słychać było chyba w całym mieście, a unoszący się w powietrzu pył z mielonego ziarna nie pozwalał na otwieranie okien.

Obok naszego domu, granicząc płotem, była lodziarnia państwa Przestępnych. W bramie od ulicy była budka, w której lody sprzedawano, a w podwórku, w piwnicy, do której schodziło się po kilku schodkach, była wytwórnia lodów. Pracowała w niej pani Gnatowa. Gdy któryś z pojemników został opróżniony, pani Przestępna wynosiła go z budki i stawiała przed wejściem do piwnicy. Po jakimś czasie pani Gnatowa pojemnik odbierała, zносиła na dół, nalewała mleko, wbijała jajka i specjalną maszynką kręciła lody. Ale zanim pojemnik zniknął w piwnicy, często udawało się nam uprosić panią Przestępną, by pozwoliła wyczyścić go z resztek lodów. Gналиśmy do domów po obowiązkowe łyżki, drogę powrotną skracaliśmy sobie przez dziurę w płocie

i wyjadaliśmy rozpuszczony smakołyk. To była tajemnica naszej małej bandy, do której należałem ja, Zośka Dąbrowska, Maciek Dąbrowski i Januszek Staros.

W naszej kamienicy był niewielki warsztat naprawy rowerów, prowadzony przez pana Aleksandra Dadasza. Pan Oleś był dobrym człowiekiem. Dzieciaki z naszego podwórka i okolic przyprawdzały do naprawy swoje nie najlepszej jakości rowery, a on nieustająco te rowery naprawiał, łątał dętki i opony. Często nie brał za naprawę pieniędzy, w zamian pomagaliśmy mu czasem przy szlifowaniu dętki na ręcznej maszynce. Gdy miał dosyć naszej obecności przeganiał nas starą dętką rowerową i zdarzało się, że ktoś dostawał nią po nogach, czy plecach. Rodzice podchodzili wtedy do takich historii inaczej niż dzisiaj, nie mieli pretensji do pana Olesia, wychodząc z założenia, że zasłużyliśmy na to. Gdy warsztat rowerowy był zamknięty, wiadomo było, że pan Oleś jest na *śniadanku* u pana wulkanizatora, który miał zakład po drugiej stronie ulicy Kościuszki. Gdy miało się z wulkanizatorem dobre układy potrafił wyciąć ze starej dętki samochodowej dwie gumy do procy.

Za kamienicą Rowińskich, w podwórku, do którego wchodziło się od Kościuszki, miał swój zakład pan Wiśniakowski. Do niego biegaliśmy, żeby ostrzył nam scyzoryki. Niechętnie wpuszczał nas do warsztatu, najczęściej staliśmy w wejściu i stamtąd podziwiliśmy szlifierkę stojącą po prawej stronie od drzwi, tokarkę, wiertarkę stołową. Wszystkie maszyny wydawały się nam duże i wspaniałe.

Rodzeństwo Halinka i Marek Kądziałowie,
Piaseczno, lata pięćdziesiąte XX w.
Fot. z archiwum Grzegorza Zielińskiego



W kamienicy państwa Rowińskich, na parterze, była restauracja, która najpierw nazywała się *Gospoda Ludowa*, a potem *Pod Kaktusem*. Pracownicy kolejki, ci którzy ciężiej pracowali, dostawali bony obiadowe i realizowali je w tej restauracji. Okna mojego pokoju były naprzeciwko okien restauracji i często słyszałem panią kucharkę wykrzykującą: *Obiad kolejowy, dla kogo tam!*

Dzisiaj podwórko nie wydaje mi się tak duże, jak dawniej, a wtedy mieliśmy jeszcze tyle miejsca na bieganie i zabawy. Graliśmy w sznurowaną skórzaną piłkę, bawiliśmy się w wojnę, podchody, w strzelaninę, berka, w chowanego, a miejsc do schowania się było mnóstwo poczynając od stodoły przez strych do dachu, na który wchodziło się po drabinie zamykając za sobą tzw. dymnik².

Gdy już dorośliśmy do wieku sześciu – siedmiu lat i można było wychodzić na ulicę, tam też mieliśmy dużo ciekawych zajęć. Może trochę wstyd mówić, ale gdy padał ulewny deszcz i woda spływała rynsztokiem puszczałyśmy w nim zapałki, patyczki, okręciki, kawałki drewna i był wyścig, czyja zabawka prędzej do ścieku wpadnie.

Popularnym *bawidłem*³ było koło od roweru i *kieryga*, metalowy pręt podobny do pogrzebacza. Pędziło się przez miasto po chodnikach za kołem tocząc je *kierygą*. Kiedyś, podczas takiej zabawy doprowadziłem do wypadku, w którym głównym poszkodowanym był pan Biernacki.

Pan Biernacki prowadził zakład fryzjerski przy Kościuszki, w budynku⁴, gdzie mieściło się pogotowie ratunkowe. Obok była znana w mieście, jedyna zresztą, księgarnia. Po zamknięciu księgarni okna były zabezpieczane dużymi ramami z siatką drucianą, nakładanymi od zewnątrz i zamykanymi na klódki. Pani z księgarni, być może była to prowadząca księgarnię Maria Skaryszewska, umieszczała ramę w oknie, a ja gnałem chodnikiem ze swoim kołem całą uwagę skupiając na tym, żeby się nie przewróciło. Pani trochę przechyliła kratę w bok, ja całym impetem wpadłem na kratę, a krata na nogę przechodzącego pana Biernackiego. Uderzenie było tak silne, że pan Biernacki przewrócił się, a ja - z daleka, bo uciekłem z miejsca przestępstwa, ile miałem sił w nogach - patrzyłem, czy on żyje. Szybko wydało się, kto był winny. Rodzice przyjaźnili się z państwem Biernackimi, więc konsekwencji nie poniosłem, ale sytuację przeżywałem bardzo.

Zimą świetnym miejscem do zabawy były ulice. Nikt nie odśnieżał ulic i tworzyły się na nich kilkucentymetrowe naturalne lodowiska, po których świetnie jeździło się na łyżwach. Najlepsza jazda była wówczas, gdy złapało się z tyłu furmankę albo samochód za tylny zderzak. Trzeba tylko było wiedzieć, kiedy zderzak puścić. Najlepszy był fragment ulicy Kościuszki wyłożony szlifowaną kostką bazaltową, czyli odcinek od cmentarza do skrzyżowania z ulicą popularnie nazywaną *Węgiełki*, obecnie Gerbera. Samochody trochę tam zwalniały ze względu na śliską nawierzchnię i przecinające ulicę tory kolejki. Dawala nam taka zabawa wiele frajdy, ale nie była bezpieczna. Mój kuzyn, Włodek Dąbrowski, złapał się kiedyś potężnego samochodu ciężarowego i bał się go puścić. Zrobił to dopiero przed mostem na Jeziorce i przejechał jak długi spory kawałek drogi. Wyszedł z tej przygody poharatany od głowy do stóp.

Miałem pięć lat, gdy rodzice zapisali mnie do prywatnego przedszkola pani Zofii Różyckiej w Zalesiu Dolnym przy ul. Paprociowej. Przedszkole było połączone z dwuklasową szkołą podstawową. Bardzo miłe wspominał tamto miejsce. Pani Różycka była osobą pełną dobroci, spokoju, ciekawie prowadziła zajęcia, były zabawy, teatrzyki, w których brały udział wszystkie dzieci. Robione z krepiny stroje wymyślała pani Różycka i to były niebanalne kostiumy. Byłem bardzo zadowolony, że mogłem jeszcze dwa lata uczyć się w jej szkole. Wszystkie dzieci, chyba było nas

² dymnik tu: małe okienko w dachu służące do wentylacji i oświetlenia poddasza, źródło: <https://sjp.pwn.pl>

³ bawidło: dawna nazwa przedmiotu służącego do zabawy, zabawki, źródło: <https://sjp.pl>

⁴ Budynek Cechu Rzemiosł Różnych

piętnaścioro, a może i więcej, miały zajęcia w jednym, dużym pomieszczeniu. Starsze siedziały wokół okrągłego stołu i uczyły się pisać, czytać, liczyć, a młodsze zajmowały się swoimi zabawami. Było spokojnie, bezpiecznie i ciekawie.



Zalesie Dolne, przedstawienie w przedszkolu p. Różyckiej, piąty od lewej stoi Grześ Zieliński, lata pięćdziesiąte XX w. Fot. z archiwum Grzegorza Zielińskiego

Zalesie Dolne, przedstawienie w przedszkolu p. Różyckiej, w głębi: Zofia Różycka, pierwszy od lewej stoi Grześ Zieliński, lata pięćdziesiąte XX w. Fot. z archiwum Grzegorza Zielińskiego





Basia Zielińska, Piaseczno, rok 1962,
zdjęcie wykonane w zakładzie
fotograficznym Renau,
Fot. z archiwum
Grzegorza Zielińskiego



Grzegorz Zieliński, Piaseczno, rok
1958, zdjęcie wykonane w zakładzie
fotograficznym Renau.
Fot. z archiwum
Grzegorza Zielińskiego

Po skończonej drugiej klasie poszedłem do szkoły przy Świętojańskiej. Moją klasę języka polskiego uczyła pani Wróblewska, przedwojenna nauczycielka, niezamężna. Miała ogromną wiedzę, niezwykle zdolności pedagogiczne i całkowicie poświęcała się pracy. To ona nauczyła mnie polskiego, a jedną z form nauki był prowadzony przez nią teatrzyk szkolny, którym potrafiła zainteresować dużo dzieci.

Nauczycielem, który również potrafił zainteresować nauczanych przez siebie przedmiotem był pan Pyczek. Pan Pyczek mieszkał w Zalesiu Dolnym przy ulicy Granicznej, w szkole uczył historii, zamieniono mu ten przedmiot na prace ręczne, bo nie był *poprawny politycznie*. Pan Pyczek nie dał jednak za wygraną. Zajęcia prac ręcznych odbywały się w suterenie, w sali na końcu korytarza. Podczas lekcji drzwi od sali były uchylone, któryś z nas stał przy nich, by alarmować, gdy ktoś pojawił się w korytarzu, bo tak naprawdę nasz nauczyciel uczył nas historii. Wiedza, którą nam przekazywał nie miała nic wspólnego z oficjalnymi bzdurami wtłaczanymi nam do głów. Indoktrynacja⁵ była wtedy silna, w klasie siódmej historii uczył nas ktoś z wojewódzkiego komitetu partii a obowiązującym podręcznikiem była książka rosyjskiego autora, Aleksandra Jefimowa.

To były lata wczesne pięćdziesiąte i dla pana Pyczka taka działalność mogła skończyć się więzieniem lub wywózką gdzieś do łagrow⁶. Podobne kłopoty mogli mieć ci, którzy słuchali Radia

⁵ Indoktrynacja: systematyczne, zorganizowane i natrączywe wpajanie przez środki masowego przekazu, system oświaty szkolnej i pozaszkolnej ideologii i doktryn politycznych, religijnych lub społecznych. Istotną cechą tego procesu jest świadome pozbawianie wiedzy o kierunkach przeciwnych od wpajanych, źródło: <https://pl.wikipedia.org>, <https://sjp.pl>

⁶ Łagry - nazwa obozów koncentracyjnych oraz obozów pracy przymusowej w ZSRR podległych aparatowi bezpieczeństwa, więźniów wykorzystywano do prac m. in. w kopalniach węgla, kopalniach uranu, przy wyrębie lasów na Syberii, największe łagry znajdowały się na północy Azji, na Syberii i Dalekim Wschodzie, oficjalnie zostały zlikwidowane 1991 roku wraz z upadkiem ZSRR, źródło: <http://www.gulag.online>

Wolna Europa⁷, jednak mimo możliwych represji takich osób nie brakowało. U mnie w domu też słuchało się tej rozgłośni. Do dziś pamiętam sygnał radiowy, którym rozpoczynali nadawanie audycji i zapowiedź spikera: *Halo, halo! Tu Radio Wolna Europa! Mówi do was głos wolnej Polski. Nadajemy wiadomości złe i dobre, ale zawsze prawdziwe.*

Na początku mojej nauki w klasach były jeszcze krzyże. Wisiły nad tablicą, a po obu stronach miały za towarzystwo portrety Bieruta⁸ i Stalina. Gdy na początku lat pięćdziesiątych władza nakazała usunięcie krzyży ze szkół, wychowawca naszej klasy, pan Wieczorek, zlecił to mnie i Staśkowi Soleckiemu tłumacząc, że trzeba to zrobić, bo krzyż nie może wisieć obok portretów oficjalnych postaci. W czasie przerwy posłusznie zdjęliśmy krzyż z nad tablicy i powiesiliśmy nad drzwiami. Zrobiła się z tego kosmiczna awantura, rodzice musieli się mocno tłumaczyć, nas zawiesili na tydzień czy dwa w prawach ucznia, ale przyjęli z powrotem, bo ukończenie szkoły powszechnej było obowiązkowe. Nieprzyjemności miał też wychowawca, bo nie dopilnował krnąbrnych uczniów.

Piaseczno, ul. Kościuszki, parkan, na którym wieszano ogłoszenia i klepsydry, obok kiosku *Ruchu*, na rowerze Grzegorz Zieliński, rok 1956, Fot. z archiwum Grzegorza Zielińskiego



Zdarzały mi się też awantury z polityką nie związane. Było wtedy przyjęte, że w szkołach przeprowadzano zbiórki złomu i my też braliśmy udział w takiej akcji. Każda klasa miała wyznaczone patykiem na piaszczystym boisku miejsce na składowanie złomu i była rywalizacja, która więcej zbierze. Któryś z kolegów powiedział, że na stacji przeładunkowej leży wielki kawał złomu, stalowy *mel*, poszliśmy więc w ośmiu i przydźwigaliśmy znalezisko do szkoły. Okazało się, że to nie był złom, tylko zepsute stawidło, czyli belka łącząca koła w parowozie,

⁷ Radio Wolna Europa: utworzone w 1949 r. w Nowym Jorku, zaczęło nadawać w 1950 r., siedziba w Monachium, finansowane przez CIA (amerykańska Centralna Agencja Wywiadowcza). Nadawało audycje do krajów, które po 1945 roku dostały się pod wpływ ZSRR oraz do republik bałtyckich wcielonych do ZSRR. Na początku lat pięćdziesiątych słuchanie RWE było ścigane i karane przez wojskowe sądy rejonowe wyrokami 2-3 lat pozbawienia wolności za szerzenie wrogiej propagandy, źródło: <http://www.wolnaeuropa.pl>, <https://pl.wikipedia.org>

⁸ Bolesław Bierut (1892 – 1956): działacz komunistyczny, agent NKWD, wyznaczony przez Stalina na polską głowę państwa, od 1944 roku roku pełnił wiele funkcji partyjnych i rządowych m. in.: od 1947 do 1952 - prezydent Rzeczypospolitej, od 1952 do 1954 – premier, współodpowiedzialny za masowe represje, mordy polityczne, źródło: <https://ciekawostkihistoryczne.pl>

które kolejarzy wymontowali i zostawili przy torach, aby zabrać później do naprawy. Z tym że później, nie mieli czego zabierać. Awantura była na całe Piaseczno i szybko odnaleziono sprawców *kradzieży*. Nie dość, że musieli stawidło oddać i ich klasa straciła pierwsze miejsce, to jeszcze ponieśli dostownie bolesne konsekwencje.

Rodzice szybko dowiadawali się o prawie wszystkich moich chłopięcych wybrykach. Informacje przekazywały najczęściej klientki, które przychodziły do prowadzonego przez mamę sklepu spożywczego. Dużo mieszkańców Piaseczna robiło zakupy w naszym sklepie, a były klientki, które lubiły zajrzeć do mamy po prostu na pogawędkę. I w trakcie tych rozmów moja mama dowiadywała się o wszystkich wpadkach swojego syna.

Sklep był w naszym domu przy Sienkiewicza 2. W latach pięćdziesiątych władze tępiły prywatną inicjatywę i sklep był długi czas zamknięty, a gdy już można go było otworzyć, to funkcjonował nieprzerwanie do pierwszej połowy lat osiemdziesiątych.

Helena Wągradzka primo voto Jaskowska i jej
mąż, Józef Wągradzki, Piaseczno,
lata siedemdziesiąte XX w.
Fot. z archiwum Grzegorza Zielińskiego



Początkowo moja babcia Helena prowadziła sklep sama, z czasem zaczęła jej pomagać moja mama, a gdy babcia była już starszą panią, w pomoc mamie zaangażowała się moja siostra Basia. Mimo że mama nie pracowała sama, to wiem, że w ludzkiej pamięci sklep kojarzony jest z nią, z panią Zosią. Mama była pogodną, życzliwą, wyrozumiałą osobą. Zawsze dbała, żeby w sklepie było czysto, żeby towar był świeży, a klienci zadowoleni z zakupów. Moi znajomi do dziś wspominają ją jako kobietę zadbaną, z ładną fryzurą, delikatnym makijażem, w sklepie ubraną zawsze w czysty, biały fartuch.

Zofia Zielińska,
Piaseczno, lata siedemdziesiąte XX w.
Fot. z archiwum Grzegorza Zielińskiego



W latach siedemdziesiątych rodzice zbudowali dom, także przy ulicy Sienkiewicza, kilka posesji dalej od kamienicy dziadków. W nowym domu zamieszkała z nami babcia Hela Wągrodzka primo voto Jaskowska. Ja skończyłem studia na Politechnice Warszawskiej i zacząłem dorosłe, samodzielne życie. Moja młodsza siostra Basia, wyszła za mąż za Andrzeja Puchalskiego, po ślubie zamieszkali z rodzicami i babcią Helą otaczając ich troskliwą opieką. Równie troskliwie Basia i Andrzej pielęgnują rodzinne tradycje. To u nich, w rozbudowanym dzisiaj domu, cała rodzina zbiera się w Wigilię Bożego Narodzenia, a podczas wieczerzy zawsze czytana jest Ewangelia. U nich spotykamy się na obiedzie w Dniu Wszystkich Świętych. Tego dnia, niezmiennie od dziesięcioleci, na stole pojawiają się przygotowane według przepisu babci Heli zrazy wołowe z zasmażaną kapustą i ziemniakami oraz gorąca grzanka, którą zgodnie z dawnym przepisem przyrządza mój szwagier. Rodzinne zwyczaje przekazywane są już piątemu pokoleniu Zielińskich i wszystko wskazuje na to, że młodzi doceniają tradycję, rozumieją jej wartość.



Grupa młodzieży szkolnej z Piaseczna, rok 1923, w rzędzie pierwszym czwarty od lewej: Mieczyław Zieliński, Fot. z archiwum Grzegorza Zielińskiego

W okresie międzywojennym mój ojciec należał do Towarzystwa Gimnastycznego *Sokół*. Organizacja powstała pod koniec XIX wieku we Lwowie, jej ideą było pielęgnowanie tradycji narodowych, patriotyzmu, rozwój kultury, sprawności fizycznej, a należeć do niej mógł każdy, niezależnie od pochodzenia społecznego. W Piasecznie Towarzystwo założono w 1923 roku,

jednym z jego założycieli był Mieczysław Markowski, właściciel słynnej apteki przy Nadarzyńskiej, ostatni przedwojenny burmistrz miasta, rozstrzelany przez Niemców w 1940 roku w Palmirach. Towarzystwo miało swoją siedzibę oraz nieduże boisko piłkarskie mniej więcej w połowie ulicy Staszica, po jej prawej stronie. W latach trzydziestych boisko zmieniło lokalizację, zostało przeniesione w miejsce, w którym znajduje się do dzisiaj przy ul. 1 Maja. Właściciel położonego tam terenu część gruntu sprzedał Towarzystwu, a część przekazał jako darowiznę. Przez środek przyszłego boiska przebiegał głęboki rów i członkowie *Sokoła* po pracy niwelowali teren. Początkowo wykonywali wszystko ręcznie, ale udało się wypożyczyć od właścicieli cegielni w Baniosze tory i wagoniki tzw. *koliby*. To ułatwiło pracę i przyspieszyło jej wykonanie.



Piaseczno, członkowie Towarzystwa Gimnastycznego *Sokół*, w pierwszym rzędzie trzeci od prawej Mieczysław Markowski, w drugim rzędzie pierwszy od prawej: Mieczysław Zieliński.

Fot. z archiwum Grzegorza Zielińskiego

Ojciec grał w piłkę nożną i na tym boisku w 1936 roku strzelił szesnaście bramek zdobywając dyplom króla strzelców. Obok piłki nożnej ojciec uprawiał gimnastykę, poza tym grał na kornecie⁹ w orkiestrze *Sokoła* i w orkiestrze Straży Pożarnej.

W 1933 roku ojciec został powołany do wojska i służył w marynarce wojennej. W pewien sposób było to uznanie dla jego charakteru i postawy, bo w marynarce i w korpusie ochrony pogranicza mogli służyć tylko ci mężczyźni, którzy mieli rekomendację miejscowych władz kościelnych.

⁹ Kornet: instrument dęty blaszany w kształcie trąbki, źródło: *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych*, Władysław Kopaliński

Mieczysław Zieliński w stroju sokolim,
Piaseczno, ulica Sienkiewicza, lata trzydzieste XX w.
Fot. z archiwum Grzegorza Zielińskiego



Mój dziadek, Jan Zieliński był konduktorem na kolejce i można powiedzieć, że ojciec podtrzymał rodzinną tradycję, bo w 1940 roku też zaczął tam pracować. Najpierw był pomocnikiem maszynisty, potem maszynistą, gdy w starszym wieku miał problemy ze wzrokiem został dyspozytorem, zajmował się wyznaczaniem drużyn parowozowych. Pracował do sześćdziesiątego roku życia i nigdy nie powiedział o swojej pracy inaczej, jak *służba*.



Piaseczno, dworzec kolejki wąskotorowej, drużyna piłkarska Towarzystwa Gimnastycznego Sokół, w pierwszym rzędzie drugi od lewej stoi Mieczysław Zieliński, rok 1930 lub 1931. Fot. z archiwum Grzegorza Zielińskiego

Praca na kolei polegała m. in. na przetokach, czyli formowaniu składu, lubiłem, gdy ojciec tym się zajmował, bo pozwalał mi wtedy być razem z nim w parowozie. Mniej lubianym zajęciem było przynoszenie ojcu szykowanego przez matkę obiadu, to była zupa w bańce i drugie danie na talerzu przykrytym drugim talerzem, obydwa owinięte czystą, lnianą ściereczką. Nieraz trzeba było od zabawy się oderwać, ale nie było mowy, żebym protestował. Wiadomo było, o której godzinie skład będzie na dworcu w Piasecznie i musiałem być na czas, bo ciuchcia jeździła wtedy punktualnie co do minuty. Pamiętam z dzieciństwa czas spędzony z ojcem na kolejce, pamiętam, że w domu jadalśmy zimą kuropatwy, co też wiązało się z ojca pracą. Zimy wtedy były ostre, a i ptactwa było więcej niż dzisiaj. Duże stada kuropatw chowały się między torami, żeby przetrwać noc, gdy pociąg nadjeżdżał, zrywały się przerażone i część z nich ginęła. Maszynista zatrzymywał wtedy skład, ktoś wybiegał pozbierać martwe ptaki i był posiłek.



Piaseczno, defilada Towarzystwa Gimnastycznego *Sokół*, lata trzydzieste XX w.
Fot. z archiwum Grzegorza Zielińskiego

Czasem zdarzały się ojcu w pracy nietypowe sytuacje. Tak było podczas pożaru starego, drewnianego budynku przy ulicy Świętojańskiej, w którym mieściło się przedszkole i nauczycielskie mieszkania. Do dziś mam w pamięci ogromną łunę i wycie syreny strażackiej, która nadal znajduje się na dachu obecnego centrum kultury. Do pożaru przyjechało kilka jednostek straży z okolicznych miejscowości, ogień był taki, że zabrakło wody do gaszenia ognia, a węży było za mało, by sięgnąć nimi do Jezioroki. Ojciec miał wtedy dyżur i zorganizował dowóz wody pobieranej z bardzo wydajnej wieży ciśnień. Jeden parowóz z cysterną przyjeżdżał ze stacji w Piasecznie a drugi ze stacji w Baniosze. W cysternach było po kilka tysięcy litrów wody, więc była to skuteczna pomoc.



Piaseczno, rok 1931 lub 1932, orkiestra Straży Ogniowej Ochotniczej, trzeci od lewej w jasnym garniturze: Mieczysław Zieliński. Fot. z archiwum Grzegorza Zielińskiego

Gdy ojciec prowadził ostatni nocny skład do Nowego Miasta czy Góry Kalwarii, to razem z obsługą ciuchci nocował na stacji, by wyjechać stamtąd skoro świt jako pierwszy poranny pociąg. Kiedyś zapytałem ojca, czy mieli tam łóżka, a on się uśmiechnął i powiedział, że przez długi czas sypiali na drewnianych ławach okrywając się własnym płaszczem kolejarskim. Z czasem warunki znacznie się poprawiły, ale to już było w latach sześćdziesiątych.

Mniej więcej w tym czasie, a może trochę wcześniej, zaczęliśmy jeździć z rodzicami na bezpłatne wczasy wagonowe organizowane przez PKP dla swoich pracowników. W bardziej atrakcyjnych miejscowościach na boczne tory wciągano wagony towarowe z dobudowanymi do nich schodkami, w środku były łóżka, jakaś szafka, miednica, kubek. Z czasem z wagonów powstały wygodne domki kempingowe z podciągniętą bieżącą wodą, ale nawet początkowe spartańskie warunki nie przeszkadzały w cieszeniu się bliskością plaży, morzem, wakacjami spędzanymi razem z rodzicami.

Z opowieści ojca wiem, jak ważną rolę odgrywali w czasie wojny kolejarze piaseczyńskiej wąskotorówki. To w dużej mierze dzięki nim odbywał się z terenów grójeckich do Warszawy szmugiel¹⁰ żywności, szczególnie mięsa. Podwiązane na sznurkach pakunki z mięsem chowane były w tendrach, czyli zbiornikach na wodę znajdujących się po obu stronach kotła parowozu.

Kolejką dostarczane były do Warszawy broń i amunicja, najwięcej dostaw było przed wybuchem Powstania Warszawskiego. Skrzynie z nielegalnym ładunkiem ukrywano w parowozie

¹⁰ Szmugiel - w czasie II wojny światowej przemyt żywności ze wsi do miast oraz do gett żydowskich po wprowadzeniu przez władze niemieckie przydziałów kartkowych. Za szmugiel groziło zesłanie na roboty do Niemiec, obóz koncentracyjny lub kara śmierci. Osoby przyłapane na szmuglu były bite, a próbujących ucieczki zabijano na miejscu, źródło: <https://ssh.apsl.edu.pl>: Aneta Jasionek, *Szmugiel żywności do Warszawy w okresie okupacji hitlerowskiej w latach 1939- 1944*, Słupskie studia historyczne, nr 17, rok 2011

pod węglem. Konspiracyjny załadunek odbywał się na bocznicę, a skrzynie były zasypywane węglem zanim parowóz podłączono do składu. Należało przy tym tak obliczyć zapas paliwa, by wystarczyło na dojazd do Dworca Południowego w Warszawie i jeszcze została warstwa zakrywająca skrzynki. Skrzynki przewożono głównie w pociągach towarowych, które mniej były narażone na rewizję, niebezpieczeństwem był za to wartownik siedzący na końcu składu w tzw. *brankardzie*. Kiedyś skrzyń było tyle, że nie zmieściły się pod węglem. Osoba z konspiracji, która je dostarczyła naciskała, że muszą wszystkie dotrzeć do Warszawy, więc ojciec niewiele myśląc, postawił ostatnią na podłodze parowozu i ruszył w trasę. Była ostra zima, mróz i na pierwszej stacji przyszedł do ojca z *brankardu* niemiecki wartownik pytając, czy może jechać w parowozie, bo jest mu bardzo zimno. Ojciec nie stracił zimnej krwi i rzucił na skrzynkę swój kolejarzski płaszcz proponując Niemcowi wygodne miejsce.

Niewiele więcej wiem o wojennych przeżyciach mojego ojca, dorośli mało o okupacji opowiadali, chętniej swoje opowieści snuł mój wujek od strony babci Dąbrowskiej, Wicio Jakubowski, który w czasie wojny bolszewickiej¹¹ służył w 7. Pułku Ułanów Lubelskich, a za udział w walkach został odznaczony orderem *Virtuti Militari* V klasy. Wujek miał wiele opowieści z tamtych czasów, nie wszystkie nadawały się do opowiadania dzieciom i mama złościła się, gdy wujek raczył nas krwawymi historiami. Ale jedno wspomnienie ma inny charakter.

Witold Jakubowski, rok 1920
Fot. z archiwum Grzegorza Zielińskiego



¹¹ Wojna polsko-bolszewicka: 1919–1920, pomiędzy II RP a Rosją Sowiecką dążącą do podboju państw europejskich i przekształcenia ich w republiki sowieckie, źródło: <http://www.bitwawarszawska.pl>



Młodzieżowa drużyna Straży Ogniowej Ochotniczej w Piasecznie, sierpień 1936 r.

Fot. z archiwum Grzegorza Zielińskiego

Opowiadał wujek, jak to zaraz na początku wojny wojska polskie gdzieś się przemieszczały. Była listopadowa, zimna noc, siąpił deszcz, Wicio jechał na swoim koniu trochę ze zmęczenia przysypiając. Tą samą drogą ciągnęła artyleria. Wujek zerknął mimochodem na przejeżdżające obok działo i zobaczył, że siedzący na jaszczu wąsaty żołnierz wygląda jak Rowiński z Piaseczna, ten, na którego wszyscy mówili *Sokół*. *Myszę Rowiński, czy nie Rowiński – wspominał Wicio - noc jest ciemna, można się pomylić, ale krzyknąłem: „Sokół!” i on zaczął się rozglądać. Podjechałem do niego, przesiadłem się na jaszcz, on miał coś w manierce, ja też i do świtu czas nam jakoś minąć. Potem wojska się rozjechały i spotkaliśmy się z „Sokołem” w Piasecznie dopiero po dwóch latach wojny.*



Opowieści wujka Wicia o wojnie bolszewickiej, czy mojego ojca o tym, jak przewożono skrzynki z amunicją pewno nie są tak istotne, by znalazły się w naukowych opracowaniach historycznych, ale ważne są dla mojej rodziny i dla społeczności Piaseczna. Drobne zdarzenia opisywane z punktu widzenia pojedynczego człowieka łączą się w całość tworząc obraz przeszłości. Według mnie jest to ważne dla poczucia własnej tożsamości i przynależności do miejsca, w którym żyjemy.

Grzegorz Zieliński

Fot. z archiwum Grzegorza Zielińskiego



Piaseczno jako miasto bardzo otwarte i dynamicznie rozwijające się, aby zachować swoją tożsamość i budować własną markę, musi opierać się mocno na dziedzictwie przeszłości. Nic nie potrafi tak łączyć wartości teraźniejszych ze spuścizną przeszłości jak ludzie, którzy w tym mieście się wychowali, mieszkali w nim od pokoleń i obserwowali zmieniającą się rzeczywistość. W ramach akcji „Łapmy stare Piaseczno” chcemy uchwycić te wspomnienia, które pomogą nam zrozumieć procesy, jakie w ciągu kilkudziesięciu ostatnich lat zachodziły w naszym społeczeństwie, jak zmieniały się relacje sąsiedzkie, miasto i wyobrażenia o nim. Idea ta doskonale wpisuje się w działania zmierzające do zrewitalizowania zdegradowanych obszarów miasta i przywrócenia im dawnej świetności, co jest jednym z najważniejszych wyzwań stojących przed samorządem.

Daniel Putkiewicz
Burmistrz Miasta i Gminy Piaseczno



Gmina Piaseczno



ISBN 978-83-951312-1-9



9 788395 131219

